WYJMIJ Z NUMERU
I WYWIEŚ



GAZETKA ŚCIENNA O WYBORACH

BRUDNA KAMPANIA TRZASKOWSKIEGO

KOSINIAK-KAMYSZ: FINAŁ BĘDZIE ZASKOCZENIEM

CAŁA PRAWDA O DZIADKU WEHRMACHTU

POMNIKI NASZEJ CYWILIZACJI NA CELOWNIKU LEWICY

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 25 (394) 2020
15–21 czerwca 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

BEATA SZYDŁO TYLKO U NAS:

POWIEM WAM, JAK WYGRA DUDA

BYŁA PREMIER O ZWROTACH W KAMPANII, TRZASKOWSKIM, GOWINIE, KARCIE RODZINY, LGBT I ZASADNICZYM WYBORZE, PRZED JAKIM STOI POLSKA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269007 25

prasa.pl 1002e58ffc

CYFROWY POLSAT

NAJLEPSZE BAJKI, FILMY I SERIALE

Na start 3 miesiące TV bez opłat

Telewizja na Twoich zasadach z funkcjami TimeShift, reStart i CatchUP.













Oglądaj tak, jak Ci wygodnie

SAT TELEWIZJA SATELITARNA

IPTV TELEWIZJA KABLOWA

OTT TELEWIZJA INTERNETOWA

Promocje dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony, a w przypadku oferty telewizji kablowej IPTV i telewizji internetowej także opłat za internet. Funkcje TimeShift, reStart i CatchUP dostępne dla wybranych programów w ramach pakietów wykupionych przez Abonenta, a w ofercie telewizji satelitarnej dostępne są po podłączeniu do internetu na dekoderach EVOBOX LITE i EVOBOX HD. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna na dzień 3.06.2020 r.

„Kontra: Sieć" © MGM Television Entertainment Inc. and Bluebush Productions, LLC. „Pewnego razu w... Hollywood" © 2019 Visiona Romantica, Inc. „Angry Birds 2: Film" © Sony Pictures. Wszelkie prawa zastrzeżone.

To Trzaskowski jest kulturowym agresorem. Duda ma odwagę bronić naszych praw

Sprawa jest typowa dla sposobu działania propagandzistów obozu opozycyjnego – ludzie, którzy w lutym 2019 r. narzucili mieszkańcom stolicy skrajnie agresywną Kartę LGBT, przedstawiają dziś polityka, który chce przed tym samym uchronić resztę kraju, jako agresora.

Warszawska Karta LGBT nadaje ogromne przywileje mniejszościom seksualnym. Przekazem promującym ideologię LGBT mają zostać nasączone kwestie bezpieczeństwa, kultury, sportu, zatrudnienia, administracji i edukacji! Szkoły zostały zobowiązane do otwarcia się na inicjatywy w zakresie wychowania seksualnego (zgodnie z zaleceniami WHO – do których odsyła – od czwartego roku życia!) i pod tym kątem mają być monitorowane. Wprowadza się tematykę „identyfikacji płciowej". Każda firma, która chciałaby współpracować z miastem, ma wszystkich zapisów w karcie przestrzegać.

Trzaskowski patronował też tzw. paradom równości. Ich elementem są parodie mszy świętych i inne obsceniczne zachowania, epatowanie seksualnością – która jest prywatną sprawą – w przestrzeni publicznej.

Z jego otoczenia wychodzą plany doprowadzenia do przyznania parom homoseksualnym możliwości adopcji dzieci – etapami, przy stopniowym znieczulaniu opinii publicznej.

W czerwcu 2020 r. ten sam Rafał Trzaskowski startuje na prezydenta Polski – dzięki akcji zorganizowanej przez Jarosława Gowina Platforma dostaje szansę wycofania skrajnie nieudanej kandydatury Małgorzaty Kidawy-Błońskiej.

Karta LGBT jest w ogólnopolskiej kampanii Trzaskowskiego skrywana, ale przecież nie zniknęła. Prezydent Andrzej Duda przedstawił więc właśnie swoją Kartę rodziny. Zadeklarował, że „małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, zgodnie z zapisami Konstytucji RP", że nie da zgody na „adopcję dzieci przez pary homoseksualne". Zapowiedział też „ochronę dzieci przed ideologią LGBT".

Tu sięgnijmy do szczegółów, bo są one ważne. Ta ochrona ma się przekładać na:

– zakaz propagowania ideologii LGBT w instytucjach publicznych,

– prawo rodziców do decydowania, w jakim duchu będą kształcić swoje dzieci,

– decydujący wpływ rodziców na kształt edukacji seksualnej w placówkach edukacyjnych.

Te stwierdzenia odpowiadają na kluczowe wyzwania, przed jakimi stają Polacy w obliczu nachalnej często promocji ideologii LGBT, ale też często wulgarnych, obskuranckich przedstawień ludzkiej seksualności w ramach różnych parad i rzekomo edukacyjnych zajęć prowadzonych przez nie wiadomo jakich „aktywistów". Prezydent Duda ma odwagę, ale przecież nie tylko teraz, lecz przez całą kadencję, bronić praw zwykłych obywateli.

Słowa prezydenta przyniosły szybki kontratak. „Chce budować swoją popularność na nienawiści", „gra homofobiczną kartą", „putinowski standard" – to cytaty z wypowiedzi aktywistów tak zwanej nowej lewicy, skupionej na sprawach ludzkiej seksualności z uporem godnym lepszej sprawy.

Wyjątkowa bezczelność. Agresor kulturowy, niewykazujący żadnego szacunku dla uczuć i wrażliwości pozostałej części społeczeństwa, przedstawia się jako ofiara. Polityk, który ma odwagę stanąć po stronie obywateli, rodziców, dzieci, naprzeciw potęgom medialnym i biznesowym, opisywany jest jako zagrożenie. To ciąg dalszy tego samego kłamstwa.

Warto podkreślać: w tym sporze nie chodzi o to, jak kto żyje prywatnie, z kim sypia, ale o sposób organizacji wspólnoty, o prawo, o wartości. Dziś każdy w Polsce ma prawo do prywatności, bycia w związku, jakim chce, dziś nikt nikomu pod kołdrę nie zagląda. Te intymne ludzkie sprawy chce wyciągać na światło dzienne, grać nimi, nie obóz Zjednoczonej Prawicy, ale liberalna rzekomo i lewicowa opozycja. Ostatnio jedna z jej sztandarowych gazet nie wahała się karnie ujawnić orientacji seksualnej prawnika, który im podpadł.

Te dwie karty – rodziny, podpisana przez Andrzeja Dudę, i LGBT, promowana przez Rafała Trzaskowskiego – dobrze symbolizują różnice między kandydatami. Karta rodziny oznacza społeczny pokój, wzajemny szacunek. Karta LGBT to wywołanie wojny kulturowej, która – co już wiemy z Zachodu – nigdy się nie kończy. Raz przełamawszy społeczne opory, autorzy tej rewolucji idą dalej – rozpoczynają walkę z religią, ściągają masowo imigrantów, konfliktują pokolenia, obalają pomniki przeszłości.

Wybór należy do nas.

Michał Karnowski

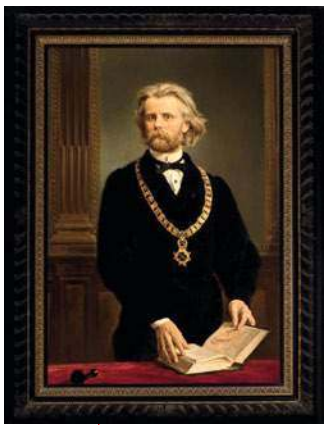


Reklama | 9/0320/F

eprasa.pl 1002e58ffc

SIECI

spis treści



42 *Portret ze spiskową teorią w tle*
Maja Narbutt



72 Z Redbadem Klynstrą-Komarnickim
rozmawia Dorota Łosiewicz



83 Niezwykłe eksponaty Muzeum II Wojny Światowej
cz. 4

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 CZAR SONDAŻY
Krzysztof Feusette

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 NIC MI NIE BĘDZIE OSZCZĘDZONE...
Jan Pietrzak

13 O CHAMSKIEJ HOŁOCIE
Bronisław Wildstein

14 ZDJĘCIA Z PODRÓŻY: JOLANTA FAJKOWSKA
Michał Korsun

15 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 PANDEMIA I PRAWO
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 OBYŚ WŁASNE DZIECI UCZYŁ!
Dorota Łosiewicz

TEMAT TYGODNIA

20 Z BEATĄ SZYDŁO
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

26 BRUDNA KAMPANIA TRZASKOWSKIEGO
Stanisław Janecki

29 JUŻ PRAWIE THRILLER
Aleksander Nalaskowski

32 Z WŁADYSŁAWEM KOSINIAKIEM-KAMYSZEM
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

38 KAMPANIA NA PIĄTYM BIEGU
Jakub Augustyn Maciejewski

42 PORTRET ZE SPISKOWĄ TEORIĄ W TLE
Maja Narbutt

46 Z ANNĄ MALINOWSKĄ
rozmawia Aleksandra Jakubowska

52 OCZKA WODNE - TEMAT WCALE NIE DO ŻARTÓW
Przemysław Barszcz

OPINIE

54 PEŁZAJĄCA REWOLUCJA
Konrad Kołodziejski

57 LINCOLN I KOŚCIUSZKO NA CELOWNIKU ANTYRASISTÓW
Jan Rokita

60 „DZIADEK Z WEHRMACHTU" 2020
Andrzej Rafał Potocki

SIECI KULTURY

65 CARYCA Z INSTAGRAMA
Łukasz Adamski

68 DRUGIE ŻYCIE ANNY JANTAR
Lidia Dudkiewicz

70 POLECA I ODRADZA
Łukasz Adamski

72 Z REDBADEM KLYNSTRĄ-KOMARNICKIM
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

77 ZWIĄZEK HAMBURGERA Z HAMBURGIEM
Piotr Cywiński

HISTORIA

80 W CIENIU TRIANON
Grzegorz Górny

83 NIEZWYKŁE EKSPONATY MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ
dodatek

KUCHNIA

90 MOJE SMAKI: RAFAŁ MROCZEK
Jolanta Gajda-Zadworna

91 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

92 DUDA I KONTRKANDYDACI
Wojciech Reszczyński

93 FELIETONY
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

94 WAKACJE CZASU WOJNY
Aleksander Nalaskowski

95 WOLSKI NIEPOLITYCZNY
Wiktor Świetlik

96 WIDMO IRRACJONALIZMU
Ryszard Makowski

97 SOBIE SAMEMU NA URODZINY
Leszek Długosz

98 EDUKACJA W CZASACH ZARAZY
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 16/0220/F

eprasa.pl 1002e58ffc

Gdy wracacie, **wraca uśmiech!**



Drodzy Pasażerowie,
dziękujemy, że wracacie, bo to Wasze podróże nadają naszej pracy sens. Razem sprawimy, że wzbijające się w powietrze samoloty znów wywołają uśmiech.

#WeAreAviation
#TogetherWeAreStrong

LOTNISKO CHOPINA WARSZAWA

eprasa.pl 1002e58ffc



Sygnalista nadaje

Równo dwa lata temu ***Rafał Trzaskowski*** zadeklarował: „Chciałbym być pierwszym prezydentem Warszawy, który udzieli ślubu parze homoseksualnej". Dziś zapewnia: „Jestem katolikiem, mam szacunek do Kościoła, tradycji". To być może najważniejsze pytanie tej kampanii: czy opozycji uda się znów oszukać Polaków? Czy kandydat o poglądach bardzo skrajnych, radykalnie wręcz lewicowych w polskim kontekście, zdoła się skutecznie przebrać w nowe szaty? Z jednej strony stoi za nim potężna maszyna, niezwykle biegła w sztuce manipulacji. Z drugiej – w 2005 r. Tuskowi ta sztuczka jednak się nie udała.

W ramach przebierania się w cudze szaty Trzaskowski pojechał do Zakopanego. Tam przywitała go posłanka PO Jagna Marczułajtis-Walczak: „Dla nas, górali, jest dziś symboliczny dzień – 6 czerwca przypada 23. rocznica wizyty Jana Pawła II w Zakopanem. Mamy nadzieję, że dzisiaj wizyta pana Rafała Trzaskowskiego będzie dla nas symboliczna i również będzie dla nas szczęśliwa, ponieważ wszyscy jako Polacy od Gdańska po Zakopane chcemy tej zmiany" – mówiła. Porównanie nie tylko niestosowne, lecz chybione, bo Jan Paweł II był utkany z prawdy i wiary, a nie wycięty z kartonu.

Drobny przykład zacierania śladów. Gdy Trzaskowskiemu wypomniano, że w grudniu 2019 r. wspierająca go większość w Radzie m.st. Warszawy zdecydowała o rezygnacji z zaproszenia księdza na tradycyjne spotkanie opłatkowe, Hanna Gronkiewicz-Waltz zaprotestowała. „Ponieważ TVP podało, że Trzaskowski nie zaprosił księdza na opłatek, to przypominam, że gospodarzem tej uroczystości była zawsze rada miasta, a nie prezydent" – wyjaśniła. Uczciwie jednak nie dodała, że on sam by zaprosił. Bo przecież by nie zaprosił.

Posłanka Koalicji Obywatelskiej Monika Rosa zabrała głos w sprawie rozterek wiceprezydenta Warszawy Pawła Rabieja: „Paweł jest wyautowanym gejem, jest w stałym związku i nie dziwię się, że chce mieć dzieci" – powiedziała, po czym dodała: „Każda kochająca się para, kiedy decyduje się na posiadanie dzieci, to po prostu chce je mieć!". Próbować każdy może.

Kandydata KO zapytano, dlaczego zaraz po dołączeniu do prezydenckiego wyścigu rzucił hasło: „Zaorać TVP Info". Trzaskowski odpowiedział, że „po tym, co zrobili, nie da się odbudować wiarygodności tej stacji". Jego zdaniem idea 24-godzinnego kanału informacyjnego w mediach publicznych „została całkowicie skompromitowana", a media publiczne powinny się poświęcić realizacji misji kulturalnej, edukacyjnej. „Będę wypalać żelazem to, co zrobił PiS. Nie tylko w mediach publicznych" – zapowiedział. Sens komunikatu jest jasny: jak wygramy, to tak urządzimy Polskę, by już nigdy nie wypadła nam z rąk.

Tymczasem w obozie prezydenta Dudy zmiana narracji. Teraz ma być mniej o wielkich inwestycjach, a więcej o sprawach, w których obóz dobrej zmiany ma większość – a więc 500+, wiek emerytalny, imigranci, ochrona rodziny przed ideologią LGBT oraz obrona złotego. Słusznie, bo CPK czy przekop mierzei, nawet jeśli mają poparcie społeczne, to jednak słabo mobilizują. A wybory – jak wiadomo – wygrywa się także emocjami. Jeśli kandydat nie szuka emocji, które skupią ludzi wokół niego, to daje przestrzeń rywalom i zazwyczaj przegrywa.

Tusk szczypnął Władysława Kosiniaka-Kamysza, który pozycjonuje się jako kandydat centrowy i oskarża

eprasa.pl 1002e581fc

obie największe partie („Oni są w tym uścisku nienawiści od lat"). Były premier postanowił więc przypomnieć, że Kosiniak wiele lat pracował z nim w jednym rządzie: „Drogi Władku, masz pełne prawo do satysfakcji i dumy z naszych wspólnych ośmioletnich rządów". Lider PSL odpowiedział stwierdzeniem, że „nie jest jednak bezkrytyczny wobec tamtych ośmiu lat i wyciągnął z nich wnioski". Co z tego wynika? Niewiele, poza kolejną okazją do konstatacji, że Tusk jest człowiekiem lubiącym rozdawać kopniaki.

W Sejmie opozycja kolejny raz pokazała, że nie szanuje reguł demokracji ani parlamentaryzmu. Były okrzyki, wyzwiska, zaczepki, przerywanie wypowiedzi. Prezes PiS Jarosław Kaczyński podsumował to stwierdzeniem: „Takiej hołoty chamskiej to jeszcze nikt nie widział w tym Sejmie". Wypowiedź rozpętała tradycyjną burzę w mediach opozycyjnych. Chamstwo opozycji jak zwykle pominięto dyskretnym milczeniem. W sumie nie ma się co dziwić: cała III RP już od dawna nie widzi, jak bardzo upadła w sferze obyczaju i kultury.

W sprawie zachowania opozycji szczególnie cenne jest świadectwo młodej posłanki Partii Razem Pauliny Matysiak, która zaraz po objęciu mandatu w zeszłym roku stwierdziła: „Mam wątpliwą przyjemność siedzieć w okolicy posłów Platformy Obywatelskiej, którzy co chwila buczą, krzyczą, dogadują. Oczekiwałabym jednak od parlamentarzystów zdecydowanie większej kultury osobistej". Później posłankę zapewne przywołano do porządku i już więcej tematu nie podniosła, ale ta wypowiedź pokazuje, po której stronie sali siedzi w Sejmie hołota.

Po wypowiedzi prezesa PiS aktor Mateusz Damięcki zażądał... przeprosin. „Daję panu 24 godziny. Jeśli nie przeprosi pan mojej żony, moich rodziców, mnie i moich wszystkich krewnych, i krewnych mojej żony, jeżeli nie przeprosi pan Frania, mojego syna – obiecuję panu, że nie spocznę w dążeniu do usunięcia pana z życia politycznego mojego kraju". Dlaczego Kaczyński ma przepraszać Frania? Bo „okazał pan pogardę wobec dziecka". „Będzie to pana bardzo, bardzo drogo kosztowało" – zapowiada aktor. Ludzie opozycji z kręgów artystycznych to naprawdę świry, do tego emocjonalnie rozdygotane jak po jakiejś wielkiej traumie. Że też nie szkoda im życia...

Jarosław Kaczyński wystosował list do członków PiS. Wzywa w nim do kampanijnej mobilizacji. „Ponowny wybór Andrzeja Dudy na prezydenta leży w elementarnym interesie Polski; jest on współtwórcą dobrej zmiany: reform w sferze polityki gospodarczej, zagranicznej i bezpieczeństwa" – podkreślił prezes partii, opisując także system, który może wrócić, jeśli Andrzej Duda przegra: „Opowieści o demokracji i państwie prawa, politycznym pluralizmie były w tym systemie wielkim oszustwem, a jedynym naprawdę obowiązującym prawem było prawo silniejszego i to zarówno tego z naszego kraju, jak i zewnętrznego". Ten potwór – jeśli wygra – będzie jeszcze brutalniejszy. Szkoda, że tak wielu ludzi prawicy tego nie dostrzega.









Wielu komentatorów zafrapował szczególnie ten oto fragment listu prezesa PiS: „Proponujemy społeczeństwu przeprowadzenie wielu dalszych, służących zarówno jednostkom, jak i całemu Narodowi, zmian. Są one niezbędne do osiągnięcia celu, o którym pisałem na początku tego listu, jakim jest Polska szczęśliwych, godnych oraz mających poczucie sensu i znaczenia swego życia Polaków. Zmiany są potrzebne w wielu dziedzinach. Potrzeba ich – nie ukrywam tego – również w naszych szeregach". Co ma oznaczać zapowiedź zmian „w naszych szeregach"? Dziś można tylko spekulować, ale wygląda na to, że po wyborach może nas czekać jakieś przyspieszenie.

Zdaniem Grzegorza Schetyny list prezesa Kaczyńskiego jest krzykiem rozpaczy. „Tak oceniam sam fakt napisania tego listu i argumenty, których tam prezes Kaczyński używa. To jest prosty wniosek z sondaży, które prowadzi PiS. Widzą, w jaki sposób i w jakim tempie traci poparcie prezydent Duda, i w jaki sposób nadrabia, redukuje tę różnicę Rafał Trzaskowski" – ocenił były lider PO. Oczywiście myli się, bo mobilizujące listy do działaczy Jarosław Kaczyński pisze przed każdymi wyborami. Tak doświadczony polityk jak Schetyna powinien o tym wiedzieć.

I jeszcze komentarz ***Władysława Frasyniuka*** do listu prezesa PiS: „Uwaga, Szanowni Państwo, takie listy jak dzisiejszy Kaczyńskiego to znane mechanizmy z komuny. Straszą, szczują na przeciwników, bezczelnie powołując się na konstytucję. Wtedy skończyło się stanem wojennym. Doświadczenie podpowiada – nie bagatelizować". Czarzasty ma rację: ludzie o takim poziomie politycznej analizy nie mogli obalić komuny. Mogli się co najwyżej dogadać.

Swój list do członków i sympatyków PiS napisał także Lech Wałęsa. Wzywa w nim do obalenia obozu rządzącego: „Odwagi! Zróbcie to i odsuńcie kaczyzm od władzy. Pierwszy krok to zbliżające się wybory prezydenckie, a więc apeluję o odwagę w decyzji! Ratujcie Nasze Wspólne Zwycięstwo! Ratujcie Polskę!" – pisze były prezydent, dodając, że „rządy prawicowych oszołomów, cyników i frustratów muszą przejść do historii". Wszystko mu się pomieszało – największego cynika odsunięto przecież od władzy już w 1995 r., a Polskę uratowano w 2015. Teraz rządzą profesjonalni patrioci.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 1002e58ffc

Czar sondaży



KRZYSZTOF FEUSETTE

Wszyscy łączą się przez Skype'a. Ekran podzielony jest na siedem okienek, w każdym z nich – jedna głowa. Za głowami widać biblioteczki, ceglane elewacje, portrety olejne Gomułki (u Budki) czy Trzaskowskiego (u Trzaskowskiego), plakaty wyborcze, a nawet kafelki w toalecie (bez nazwisk)...

Budka: *Cieszę się, że wszyscy jesteśmy. Poczekajcie, dołączę Małgosię. Małgosiu, słyszysz nas?*

Kidawa: *Nie.*

Kosiniak: *Jak „nie", jak słyszy?*

Bosak: *Słowa prawdy w kampanii nie powiedziała.*

Trzaskowski: *A co ty tu robisz, Małgoniu? Zmieniłaś zdanie, he, he?*

Budka: *Nie żartuj tak.*

Kidawa: *Owszem, zmieniłam. Chciałabym się bardziej zaangażować w twoją kampanię.*

Kosiniak: *O, i to jest dobra wiadomość!*

Biedroń: *Oczywiście! Małgosi bardzo w tej kampanii brakuje. Bardzo.*

Hołownia: *Przepraszam, a jaki jest cel naszego łączenia?*

Budka: *Już wyjaśniam. Celem jest połączenie. Jako takie. Czyli pełne przekazanie głosów w drugiej turze.*

Biedroń: *Komu?*

Kosiniak: *Akurat ty powinieneś raczej zapytać: „Jakich głosów?". Bo tak się składa, że ostatnie sondaże...*

Hołownia: *Dziękuję, że o tym wspomniałeś. Otóż pokazują one, że największe szanse w drugiej turze ma moja skromna...*

Biedroń: *...żona.*

Hołownia: *...osoba.*

Kosiniak: *Chyba z Prokopem na szpagaty. Zmartwię cię, Szymku, sondaże są kompletnie nieistotne.*

Kidawa: *Mówicie o mnie?*

Budka: *Nie, Małgosiu, rozmawiamy o drugiej turze.*

Kidawa: *To druga jest najpierw?*

Kosiniak: *Celna uwaga. Niestety, nie. Bo największe szanse w drugiej mam ja...*

Trzaskowski: *Ale nie masz szans, żeby się do niej dostać. Szkoda czasu na bzdety. Oddacie mi te głosy czy nie?*

Bosak: *Chciałbym pomóc, jednakowoż muszę zwrócić uwagę, że nawet wśród działaczy Platformy Obywatelskiej jest wielu krytyków pańskiej kandydatury.*

Trzaskowski: *Faszysta! Kto ci w ogóle udzielił głosu?! A pozostali?*

Kosiniak: *Ja nie mogę. Mnie już raz koalicja z tęczowymi prawie zadusiła.*

Biedroń: *Mi Adrian z Włodkiem nie pozwolą.*

Hołownia: *Ja robię partię.*

Kidawa: *A ja już całe poparcie przekazałam...*

Trzaskowski: *Aha. W takim razie muszę to wszystko przemyśleć po francusku. Ale najpierw muszę ochłonąć, bo ledwo żeśmy z tego Zakopanego uciekli, jak się miejscowi dowiedzieli, że niepełnosprawnym kasę przyciąłem, a lesbijkom daję.*

Kosiniak: *Taki z ciebie katolik.*

Trzaskowski: *Znalazł się tygrys tradycyjnych wartości. A kto szedł z tęczowymi w eurowyborach? Kto Jaździewskiemu klaskał? Komu Palikot przez osiem lat nie przeszkadzał?*

Biedroń: *Przepraszam, a tęczowi to gorsi są?*

Bosak: *A lepsi?*

Biedroń: *Homofob!*

Bosak: *Homofil!*

Hołownia: *Przestańcie! Polska musi być dla wszystkich!*

Biedroń: *Oprócz homofobów!*

Bosak: *I homofilów! Nie będzie homofilów, nie będzie homofobów.*

Hołownia: *Ja wzywam...*

Kosiniak: *Ja apeluję...*

Hołownia: *...żeby oddać głos człowiekowi, który ma największe szanse...*

Kosiniak: *...pokonać Dudę! Chodzi o mnie!*

Hołownia: *Nie bardzo. Zapraszam na scenę pana... Szymona Hołownię! Ojejku, jestem zaskoczony i wzruszony.*

Kosiniak: *Chcesz chusteczkę?*

Trzaskowski: *Oj, panowie. No, jak dzieci. Powiedz im, Borys...*

Budka: *Powiem. Spieszę zatem poinformować, że zamówiliśmy tak zwany sondaż wewnętrzny i właśnie przyszły wyniki. Rafał wygrywa w pierwszej turze!*

Biedroń: *W co?*

Budka: *Ze wszystkimi! Ponad 50 proc.!*

Kosiniak: *A ja?*

Budka: *Przedostatni.*

Kosiniak: *Za Żółtkiem?*

Biedroń: *Jakim znowu „żółtkiem"? Przecież to jest rasizm!*

Budka: *Przed Żółtkiem, ale z poważnych kandydatów masz za plecami już tylko pana Roberta...*

Biedroń: *Ale fajnie!*

Kosiniak: *Co fajnie? Że za plecami?*

Biedroń: *Że mnie Borys do poważnych zaliczył.*

Bosak: *A czy mogę zerknąć w ten sondaż? Bo ja miałem być prawie trzeci.*

Budka: *Proszę bardzo: sondaż wewnętrzny Platformy Obywatelskiej.*

Trzaskowski: *Chyba „dla Platformy Obywatelskiej". Myśmy to tylko zlecali.*

Budka: *I wykonali.*

Trzaskowski: *To znaczy?*

Budka: *Tak się robi sondaż wewnętrzny.*

Kosiniak: *Nie bardzo.*

Budka: *Małgosiu, jesteś z nami?*

Kidawa: *Oczywiście! Przecież ja jestem muzą chrzestną Rafała.*

Budka: *Dlaczego wprowadziłaś w błąd kierownictwo partii?*

Kidawa: *Ja?*

Budka: *Przysięgałaś, że wiesz, jak się robi sondaże wewnętrzne!*

Kidawa: *Bo tak się robi! Bierze się członków partii i się pyta, na kogo chcą głosować.*

Bosak: *To są prawybory.*

Kidawa: *No, tak... Ojej, przepraszam. To co, Borysku, może jednak bojkocik?*

Reklama | 3/0620/F

eprasa.pl 1002e58ffc



DOSTĘPNY W APTEKACH

TRISEPT MAX

Bezpieczeństwo każdego dnia

TRISEPT MAX – skuteczny środek do codziennej dezynfekcji rąk

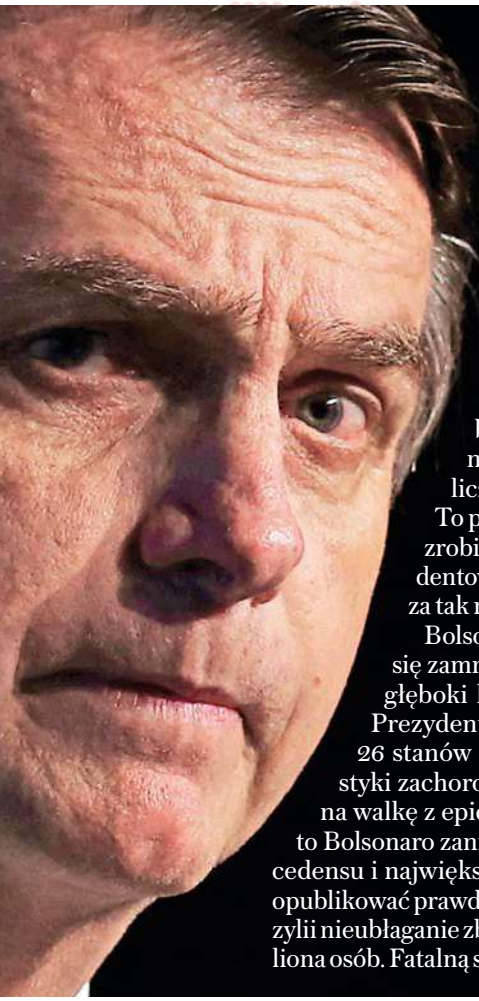
Działa **wirusobójczo, bakteriobójczo i grzybobójczo**

Produktów biobójczych należy używać z zachowaniem środków ostrożności. Przed każdym użyciem należy przeczytać etykietęi informacje dotyczące produktu.

Trisept MAX Płyn. Produkt służący do higienicznej i chirurgicznej dezynfekcji rąk o działaniu wirusobójczym, bakteriobójczym, grzybobójczym. Produkt do powszechnego stosowania oraz do zastosowania w obszarze medycznym. Skład: Etanol 73%, Propan -2 ol, 10%, gliceryna 10%, woda oczyszczona. Producent: Tarchomińskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa" S.A. 03-176 Warszawa, ul. A. Fleminga 2; Wysoce łatwopalna ciecz i pary. Działa drażniąco na oczy. Może wywoływać uczucie senności lub zawroty głowy. Pozwolenie nr 0001/TP/20 TRI/501/07/05/2020

TZF

eprasa.pl 1002e58ffc



Brazylia

Zgubna nonszalancja

Przez kilka tygodni władze Brazylii celowo wprowadzały w błąd swoich obywateli, zaniżając dane o liczbie ofiar koronawirusa. Stosunek prezydenta Jaira Bolsonaro do pandemii symbolizowała jego wypowiedź, gdy na pytanie dziennikarza o rosnącą liczbę zarażeń odparł: „I co z tego? To przykre, ale co chcecie, bym z tym zrobił?". Teraz wygląda na to, że prezydentowi przyjdzie zapłacić wysoką cenę za tak nonszalancką politykę.

Bolsonaro przez cały czas sprzeciwiał się zamrażaniu gospodarki. Wywołało to głęboki konflikt z władzami lokalnymi. Prezydent utrzymywał, że gubernatorzy 26 stanów Brazylii celowo zawyżali statystyki zachorowań, aby dostać wyższe dotacje na walkę z epidemią. Jednak w rzeczywistości to Bolsonaro zaniżał dane. Stała się rzecz bez precedensu i największe media wspólnie postanowiły opublikować prawdziwą liczbę chorych, która w Brazylii nieubłaganie zbliża się w ostatnich dniach do miliona osób. Fatalną sytuację zaogniły jeszcze protesty społeczne. Brazylijczycy, widząc, że ich kraj jest coraz mocniej dotknięty epidemią, zaczęli protestować przeciwko prezydentowi. Ich manifestacje rozpędza żandarmeria wojskowa.

Brazylia zajmuje obecnie drugie miejsce, jeśli chodzi o liczbę zakażeń, tuż za Stanami Zjednoczonymi. Kraj ten wskoczył też na trzecie miejsce na świecie pod względem liczby zgonów wywołanych koronawirusem i wszystko wskazuje na to, że już wkrótce znajdzie się na drugim. 10 czerwca brazylijskie ministerstwo zdrowia podało, że tylko w ciągu jednej doby przybyło ponad 30 tys. nowych przypadków, a liczba zgonów przekroczyła tego dnia tysiąc osób. Tymczasem Bolsonaro, idąc śladem prezydenta Donalda Trumpa, zagroził, że Brazylia opuści Światową Organizację Zdrowia, „jeśli nie przestanie ona być organizacją jednostronnie zaangażowaną politycznie".

Jeszcze jedna rzecz łączy Bolsonaro z Trumpem. Obu politykom zagroził impeachment. Będący drugą osobą w państwie przewodniczący Izby Deputowanych Rodrigo Maia z Partii Liberalnych Demokratów (DEM) oraz socjaldemokraci zarzucili prezydentowi Brazylii naruszanie demokracji. Trybunał Federalny prowadzi na dodatek dochodzenie w sprawie korupcji w otoczeniu prezydenta, któremu zarzuca się utrudnianie śledztwa (zmiana szefa policji federalnej i koordynacja kampanii fake newsów). Procedura impeachmentu została jednak na razie wstrzymana przez epidemię COVID-19. Brazylia wyjdzie z pandemii mocno poturbowana, ale prezydent Bolsonaro może z niej w ogóle nie wyjść cało.

Łukasz Adamski

Grecja

Athos w cieniu swastyki

Ateński magazyn „Lifo" opublikował kilkadziesiąt archiwalnych zdjęć z góry Athos z czasów II wojny światowej. Dla części greckich chrześcijan były one wstrząsem, poważnie naruszając wizerunek najważniejszego autorytetu duchowego w świecie prawosławnym.

Święta Góra leżąca na półwyspie Athos to istniejąca od ponad tysiąca lat republika mnichów prawosławnych, licząca dziś ok. 2,5 tys. mieszkańców, głównie zakonników greckich, ale też rosyjskich, serbskich, rumuńskich i bułgarskich. Enklawa posiada w ramach państwa greckiego autonomię i rządzi się swoimi prawami, np. od 1060 r. nie może postawić tam stopy żadna kobieta. Święci starcy atoniccy od wieków cieszą się w Kościele wschodnim sławą niedoścignionych mistrzów duchowych i ta opinia na ich temat panuje do dziś.

Tym większym zaskoczeniem okazały się zdjęcia z czasów okupacji półwyspu przez garnizon niemiecki. Przedstawiają one greckich mnichów w jak najlepszej komitywie z żołnierzami hitlerowskimi, wspólnie świętujących, biesiadujących i odpoczywających. Fotografie nie kłamią. 26 kwietnia 1941 r. przedstawiciele 20 klasztorów z góry Athos napisali list do Adolfa Hitlera „z gorącą prośbą, by raczył objąć to święte miejsce swoją dostojną osobistą ochroną i opieką". Do pisma dołączono wyrzeźbiony w drewnie przez miejscowego mnicha obraz Führera z napisem „O Adolf, o megas vasilias" (Adolf, wielki car). Wkrótce portrety kanclerza Trzeciej Rzeszy zawisły w atonickich monasterach.

W 1943 r., gdy grecki ruch oporu walczył z hitlerowcami, synod góry Athos ogłosił deklarację, w której stwierdził, że „Niemcy i ich sojusznicy wzięli na siebie obowiązek obrony chrześcijaństwa." Dlatego kapłańska wspólnota na Świętej Górze – jak czytamy w dokumencie – „modli się, by Bóg pobłogosławił zwycięską broń Wodza Rzeszy".

Ta wstydliwa przeszłość jest dziś przez mnichów z Athos przemilczana i nieznana ogółowi Greków. Dlatego publikacja „Lifo" stanowi dla wielu wstrząs i mocno podważa autorytet atonickich starców w trwających dziś sporach kulturowych.

Grzegorz Górny



eprasa.pl 1002e58ffc



Fot. Andrei Bortnikau/Shutterstock.com

Łukaszenka grozi wariantem siłowym

Białoruś

W trakcie ubiegłotygodniowego kolegium resortów siłowych białoruski prezydent Aleksandr Łukaszenka zaczął otwarcie straszyć społeczeństwo. Wszystko przebiega, jak powiedział, „zgodnie z wcześniej przyjętym scenariuszem". Ci kandydaci, którzy w zbliżających się wyborach zdecydowali się rzucić mu rękawicę, mają swoich „mocodawców z pieniędzmi", „a potem sformują grupy bojowników, którzy zorganizują bitwy uliczne". Łukaszenka sugeruje, że wielotysięczne kolejki na ulicach białoruskich miast to wcale nie są obywatele chcący wesprzeć kontrkandydatów Łukaszenki, ale opłacani za rosyjskie pieniądze aktywiści, których zadaniem jest „robienie tłoku".

Tego samego dnia, kiedy Łukaszenka wygłaszał pogróżki, sąd przedłużył areszt dla Siarhieja Cichanouskiego, znanego blogera, który organizował akcję zbierania podpisów pod kandydaturą swojej żony. Niewykluczone jest, że władze organizują przeciw niemu sprawę większego kalibru, bo poinformowały, że w trakcie rewizji na daczy jego matki znaleziono paczkę zawierającą 900 tys. dol. Zapomniały przy tym dodać, że dwa wcześniejsze przeszukania nic nie dały i potrzeba było trzeciego.

Na początku czerwca Łukaszenka dokonał też zmian w rządzie. Nowym premierem w miejsce Siarhieja Rumasa został Raman Hałouczenka. Bankowca zastąpił więc przedstawiciel resortów siłowych. Szefem komitetu kontroli państwowej został z kolei Iwan Tertel, który wcześniej nadzorował z ramienia KGB firmy państwowe. Łukaszenka wychwalał jego oddanie i to, że nie jest powiązany z żadnym „klanem". Wydaje się zatem, że głównym zadaniem Tertela będzie pilnowanie lojalności szefów firm państwowych i prywatnego biznesu.

Przy okazji powołania nowego gabinetu Łukaszenka wygłosił przemówienie programowe. Odżegnał się w nim od reform i prywatyzacji, ale uwagę przykuł inny fragment jego wystąpienia. W słabo zawoalowany sposób prezydent odwoływał się do doświadczeń z dawnych republik sowieckich, w których albo doszło, tak jak w Tadżykistanie, do wojny domowej, albo do krwawych zamieszek, jak za prezydentury Karimowa w Uzbekistanie. Łukaszenka mówił też o oderwaniu od Gruzji Abchazji i Osetii, o wojnie w Górnym Karabachu, która na pokolenia skłóciła Ormian i Azerów, oraz o obronie wieży telewizyjnej w Wilnie. Za wszystkimi tymi wydarzeniami stała Moskwa i – zdaje się – to Łukaszenka chciał przekazać słuchaczom.

Podkreślił przy tym wagę suwerenności i, samemu kreując się na jej obrońcę, przestrzegł, że w imię racji stanu władza czasem musi się decydować na drastyczne rozwiązania.

Marek Budzisz

Fot. Marcelo Chello/Shutterstock.com

Kryzys po kryzysie

Francja

Francuska gospodarka została mocno dotknięta przez pandemię i – jak przewiduje Bank Francji – PKB skurczy się w tym roku o 10–11 proc. Niemal milion osób straci pracę i w pierwszym półroczu 2021 bezrobocie wzrośnie do rekordowego poziomu 11,8 proc. Do końca maja ponad 8 mln obywateli francuskich pracowało w niepełnym wymiarze godzin, a aktywność gospodarcza firm spadła o 30 proc.

Francuska gospodarka nadal działa na zwolnionych obrotach, choć już w połowie marca rząd Édouarda Philippe'a uruchomił pakiet środków, w tym dotowane przez państwo urlopy, gwarantowane pożyczki, odroczenie podatków i ulgi dla małych firm. To może jednak nie wystarczyć, aby zamortyzować skutki kryzysu. Mocno kuleje sektor turystyczny, w który francuski rząd zamierza wpompować 18 mld euro, źle się dzieje w przemyśle (zatrudniającym 300 tys. osób), szczególnie w branży motoryzacyjnej, w której produkcja praktycznie stanęła podczas koronakryzysu. Zapowiedziane przez koncern Renault masowe zwolnienia (4,6 tys. pracowników we Francji, 10 tys. w świecie) wywołały ostre protesty związków zawodowych. Ponad 8 tys. osób wyszło na ulice, a w zakładach Renault w Maubeuge zorganizowano strajk ostrzegawczy. Francuski rząd postanowił wspomóc koncern pożyczką w wysokości 5 mld euro. Nie oznacza to jednak, że grupowych zwolnień nie będzie. Koncern po prostu zobowiązał się przeprowadzić je w „dialogu z partnerami społecznymi".

Renault to tylko jeden z wielu francuskich koncernów wymagających pomocy. W złej sytuacji znalazły się m.in. linie lotnicze Air France-KLM, które mają otrzymać państwową pożyczkę w wysokości 7 mld euro. Francuski rząd czeka także rewaloryzacja płac w służbie zdrowia (wydatek co najmniej 5 mld euro). W konsekwencji, jak twierdzi Bank Francji, dług publiczny wzrośnie w tym roku do 120 proc. PKB, a deficyt osiągnie 11 proc. PKB. Sytuacja może się okazać więc o wiele gorsza niż w dobie kryzysu finansowego lat 2008–2009. Francja zadłuża się bowiem – jak z rozbrajającą szczerością przyznał minister ds. budżetu Gérald Darmanin – w takim tempie jak niegdyś Włochy i Grecja.

Niektórzy francuscy ekonomiści krytykują rząd za to, że „zareagował za późno", a teraz „zbyt mocno stawia na proponowany przez Unię Europejską plan ratunkowy". Tymczasem rząd się zastanawia, jak uruchomić 100 mld euro oszczędności, które podczas kryzysu Francuzi zgromadzili w bankach. Aby zachęcić ich do wydatków, rozważane jest m.in. nałożenie podatku na oszczędności i przywrócenie podatku majątkowego.

Aleksandra Rybińska

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1002e58ffc

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nic mi nie będzie oszczędzone...



Jan Pietrzak

Pierwszy raz w tym roku wystąpiłem w Warszawie i muszę się pochwalić sporą frekwencją. Ponieważ liczba miejsc była limitowana, wiele osób nie mogło się dostać. Serdecznie przepraszam. Wierna publiczność trzyma mnie przy życiu.

Od 60 lat występuję i chyba przyzwyczaiłem się do tej profesji. Przerwa w pracy wytrąciła mnie lekko z rytmu. Nigdy nie miałem tak długiej, choć całe życie jestem wyrzucany, kasowany, skreślany, cenzurowany, spychany do kąta, wystawiany do wiatru... itp. Czynili to zawsze wrogowie Polski, co jest w pewnym stopniu zrozumiałe, bo mówiłem o nich różne nieprzyjemne rzeczy. Ale to inne środowiska niż młodociana pikieta, która z tęczowymi barwami protestowała przeciwko koncertowi „Zwycięski rok 20", wymyślając mi od dziadów.

Pal sześć chamstwo, którego pełno w Sejmie i mediach, ale czy ci młodzi ludzie są przeciwni naszej niepodległości? Czy wstydzą się bohaterskiej historii? Podczas rocznicowych imprez, które organizuje Towarzystwo Patriotyczne, nie zajmujemy się sprawami erotycznymi z wielu powodów, również dlatego, że tematyka niepodległościowa jest dużo ciekawsza. To pasjonująca historia dzielnego narodu. Jeżeli pojawiają się akcenty liryczne, są w stylu: „Rozkwitały pąki białych róż, wróć, Jasieńku, z tej wojenki wróć", „O mój rozmarynie, rozwijaj się". Piosenki z serca płynące, śpiewane przez „szarą piechotę" maszerującą do boju o niepodległość.

To było zaledwie 100 lat temu. Nie tak dawno. W rodzinnych legendach trwa pamięć o walecznych pradziadkach. Dopiero po koncercie ktoś mi uświadomił, że prowokatorom wartości patriotyczne nie pasują do Centrum Sztuki Współczesnej, które to miejsce uważają za swoje. Miły dyrektor p. Bernatowicz też pewnie nie wiedział, że ma cichych wspólników, którzy robią się głośni, kiedy im coś nie pasuje.

Dobrze znałem Wojtka Krukowskiego, wieloletniego dyrektora CSW, z czasów kiedy tworzył Akademię Ruchu. Bywał w Hybrydach, bywał Pod Egidą. Niejedno wino przegadaliśmy. Do głowy nam nie przyszło, że nasze projekty i działania są konfliktowe. Ktoś mnie w ten konflikt wkręcił. Nic mi nie będzie oszczędzone, jak mówiła mama.

Z Kamionki Wielkiej do Opola

Z Tomaszem Jaroszem, finalistą „Szansy na sukces", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Cieszy się pan, że już ustalono datę tegorocznego festiwalu w Opolu?

Tomasz Jarosz: Przede wszystkim się cieszę, że będę na tym festiwalu, że na nim zaśpiewam. Dla mnie to wielki zaszczyt, bo to legenda, największa i najważniejsza tego typu impreza w Polsce, a że termin 57. KFPP wyznaczono na wrzesień [4–6 plus 7 września alternatywny koncert TV Kultura – przyp. red.], to dobrze, bo będzie się można lepiej przygotować.

Jakie utwory doprowadziły pana do Opola?

Wszystko zaczęło się od odcinka z Formacją Nieżywych Schabuff – gdyby nie on, nie byłoby mnie w finale finałów – tam wszedłem z piosenką „Poranki". Potem w finale zaśpiewałem „Ławkę". Natomiast utworem, który dał mi chyba zwycięstwo, a który Artur Orzech szczęśliwie dla mnie wylosował, za co mu bardzo dziękuję, było „Póki na to czas" De Mono. Wykonane już w ścisłej trójce, podczas finału finałów.

Skąd przyjedzie pan do Opola?

Nie wstydzę się tego i nigdy nie będę się wstydził, że mieszkam na wsi i na wsi się wychowałem, dokładnie w Kamionce Wielkiej koło Nowego Sącza. Kiedy słyszę, żeby mi tylko teraz woda sodowa do głowy nie uderzyła, zapewniam: to mi nie grozi. Jestem zwykłym, skromnym facetem i to jest mój atut.

Były czasy, że o wszystkich Polakach mówiło się Lachy. W pana biogramie, poza informacją o studiach muzycznych i pracy w straży granicznej, pojawia się też określenie: Lach sądecki.

To bardzo ważne dla mnie określenie. Ludowizna, z jej muzyką zaszczepioną mi przez tatę Bartłomieja, jest we mnie od małego. I jestem za to ogromnie wdzięczny.



Fot. TVP

eprasa.pl 1002e58ffc

BRONISŁAW WILDSTEIN

O chamskiej hołocie



Strategia obrońców III RP polega na tym, aby bez przerwy prowokować kontestatorów, a więc głównie PiS, a następnie wyłapywać reakcje, które da się obrócić przeciw nim albo wykorzystać jako pretekst do dowolnych oskarżeń

Czy Jarosław Kaczyński powinien nazywać grupkę posłów z PO „chamską hołotą"? Nie, chociaż merytorycznie miał do tego wszelkie podstawy. Nie powinien tego robić dlatego, że należy trzymać się dobrego obyczaju – oczywiście, do pewnych granic – nawet jeśli druga strona go łamie, ale również dlatego, że dając się sprowokować, zalicza punkty przeciwnikom, którzy właśnie w tym celu prowadzą swoją grę.

Strategia obrońców III RP polega na tym, aby bez przerwy prowokować kontestatorów, a więc głównie PiS, a następnie wyłapywać reakcje, które da się obrócić przeciw nim albo wykorzystać jako pretekst do dowolnych oskarżeń. Działanie takie to wydrążanie polityki z treści i sprowadzanie jej do piarowskiej gry, w której nie liczą się racje, ale techniki dezawuowania i ośmieszania konkurenta. Dotyczy to nie tylko Polski, ale całego, coraz bardziej zdominowanego przez marketingowców, świata Zachodu. Znamienne, że odwołują się oni głównie do złych namiętności. Wiedzą, że łatwiej jest je wyzwalać i utrwalać, a ich główną strategią jest zohydzić przeciwnika i sprząc z nim negatywne emocje. Chodzi więc o niszczenie racjonalności publicznego życia i zastąpienie jej odruchami oraz idiosynkrazjami.

Te powszechne dzisiaj praktyki w III RP osiągnęły wyjątkowe natężenie. Jej reprezentanci dziedziczą je w dużej mierze z PRL, a ich patronami są ośrodki i postacie wywodzące się bezpośrednio z tamtych czasów, z Jerzym Urbanem na czele. Można uznać, że kampanie III RP są kontynuacją totalitarnych akcji zohydzania i deprecjacji. Niekiedy dotyczą tych samych instytucji, jak np. Kościoła. Współczesna lewica doskonale wchodzi w buty swoich ideowych antenatów. W mniejszym stopniu chodzi zresztą o idee, a w dużo większym o interesy. Lewica zintegrowała się z liberalizmem i wspólnie stworzyła nowy ustrój: liberalną demokrację, która gwarantować ma władzę określonym środowiskom odwołującym się do dominującej ideologii.

Historia PO jest dobrą ilustracją tego procesu. Ugrupowanie, które wyrosło z rozłamu w liberalnej UW, na początku, w dobie odsłonięcia kulis III RP przez aferę Rywina, a więc – wydawałoby się – w czasie definitywnej kompromitacji tego modelu ustrojowego, deklarowało w celu uzdrowienia państwa koalicję z PiS i budowę IV RP. Po wyborach w 2005 r. jego lider Donald Tusk doszedł do wniosku, że może zawalczyć o całościowe zwycięstwo, wchodząc w sojusz z establishmentem III RP. Program zastąpił mu atak na dawnego potencjalnego koalicjanta oraz jego stygmatyzacja. Na dobrą sprawę innego programu niż diabolizacja PiS i prezentowanie się jako bastion przeciw jego inwazji partia Tuska nie prezentuje. Wprawdzie gdy głębiej przyjrzeć się pojedynczym punktom jej programu, oznacza on rozmontowanie polityki, a więc i demokracji oraz parcelację wspólnoty między silniejszych graczy. Tego jednak ogół zwolenników PO nie zauważa, dla nich ważne jest przeświadczenie, że stanowią wspólnotę tych lepszych: młodych, wykształconych z wielkich miast, postępowych Europejczyków, a więc generalnie są atrakcyjni i budują opozycję do odrażających „pisuarów", czy jak jeszcze w żargonie „kulturalnych" przedstawia się zwolenników obecnej władzy.

Po to, aby wywołać reakcje wrogości, które stanowią polityczną rację III RP – w świecie na opak, jaki ona stanowi, przypisywane są one przeciwnikom – należy uruchomić osobiste uczucia. Nie wystarczy więc stan rzeczy, w którym antypis stanowił będzie nobilitację, jego rzecznicy mają się czuć stale obrażani przez swoich przeciwników. W tym celu należy każdą formę krytyki III RP przedstawić jako atak na jej mieszkańców. To zresztą znowu motyw z PRL, którego propagandziści sprzeciw wobec totalitaryzmu usiłowali przedstawić jako atak na zwykłych Polaków.

Wydawałoby się, że w tej fabryce nienawiści III RP odpowiedzi jej przeciwników nie mają znaczenia. Nie do końca jednak. Bo jeśli uda się sprowokować któregoś z liderów PiS – najlepiej oczywiście Kaczyńskiego – i wywołać jego gwałtowną reakcję, to będzie ona potem przez lata uzasadnieniem wszystkiego. W tym celu przeciwnicy posługują się najbardziej podłą metodą, grając na największej osobistej tragedii przywódcy PiS, jaką była śmierć Lecha Kaczyńskiego. „Zadzwoń do brata" – to odzywka, którą co jakiś czas rzuca któryś z harcowników PO. Już drugi raz przyniosła skutek. Teraz latami w odpowiedzi na dowolny argument w dyskusji dotyczącej dowolnej sprawy słyszeć będziemy o „chamskiej hołocie" i „zdradzieckich mordach".

Panowie z PO gratulacje! Udało się wam!

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1002e58ffc

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY *Jolanty Fajkowskiej* PRZED KORONAWIRUSEM



Najważniejsza dla mnie zawsze była wędrówka z bohaterami moich wywiadów. Słuchałam ich i przenosiłam się na koncerty, gdzie oni grali, na spektakle, w których występowali, na plany zdjęciowe – byłam wtedy razem z reżyserem i podsłuchiwałam, co przekazuje aktorom.



Pracuję całe życie w mediach elektronicznych i często rozmowa istniała tylko wtedy, gdy była emitowana. Na szczęście niektóre spisałam i ukazały się w dwóch książkach: telewizyjne w „Autografach", radiowe w „Muzyka z profilu i en face". Sięgam po nie i przypominam sobie...



W 2005 r. ze Stingiem w Londynie, mieszkanie bohatera w ekskluzywnej dzielnicy miasta, przed jego koncertem w Polsce. Sting wyluzowany, żartujący, starający się mówić po polsku (jego wuj pochodzi z naszego kraju), zaangażowany, chętny do opowieści, zainteresowany swoim wizerunkiem w Polsce. Cztery lata wcześniej z Anthonym Hopkinsem w Paryżu, zaraz po europejskiej premierze filmu „Hannibal", pokój z namalowanym florenckim widokiem, bo tam dzieje się film. Wspomnienie: taniec z aktorem po zakończonej rozmowie, taniec przeze mnie sprowokowany, bo takie miałam marzenie.



Do dziś mi się śni wywiad z Richardem Gere'em. Zaplanowany wyjazd na festiwal filmowy w Wenecji, ja na miejscu czekająca na gwiazdę. A on mówi – jestem zmęczony, nie chce mi się. Organizatorzy wybłagali w końcu zgodę na wywiad. Wtedy okazało się, że nie zapewniono nam kamery, co było wcześniej uzgodnione. Koleżanka, z którą wtedy byłam, zobaczyła przechodzącą obok ekipę z innej telewizji, porwała ją, zmusiła do nagrania naszej rozmowy. Babcia dziennikarki z francuskiej telewizji pochodziła z Polski. To się nazywa szczęście!



Albo z Placido Domingo we Wrocławiu w 2000 r., przed koncertem z okazji 1000-lecia założenia miasta. Nagranie nie było ujęte w harmonogramie jego pobytu we Wrocławiu, ale chyba przekonałam go swą determinacją. Był zaskoczony wieloma ciekawostkami na jego temat, do jakich dotarłam. Dziś, gdy można czytać gazety z całego świata, nie wychodząc z domu, nic się nie ukryje. Menedżer artysty mój wywiad umieścił w materiałach promocyjnych Placido Domingo.



eprasa.pl 1002e58ffc



W tzw. nowej normalności wyprawy są utrudnione, co mnie wcale nie martwi, bo nie lubię wyjeżdżać daleko. Moim celem są zawsze Mazury. Trochę się obawiam, że podobnie jak ja myślą inni i nie będzie ciszy w miejscowości, do której jeżdżę co roku. Lubię leżeć nad jeziorem, liczyć chmury i żałować jak Dyzio Marzyciel, „...że te obłoczki płynące/ Nie są z waniliowego kremu.../ A te różowe –/ Że to nie lody malinowe...".

Na zdjęciu z córką Marią dawno temu, w 1991 r., gdy jeszcze się opalałam.



Będę słuchać radia – Programu 1 i flagowej audycji „Lato z radiem". Będziemy wędrować po kraju, zachęcając do odwiedzenia znanych i mniej znanych miejsc. Spytamy się, jak nasi słuchacze spędzają wakacje. Zatańczymy razem „Polkę dziadek", nieśmiertelny sygnał audycji. Ruszamy w sobotę 20 czerwca punktualnie o 9. A w czwartkowe wieczory polecam podróże z moimi bohaterami. Artyści, muzycy, aktorzy w radiowej Jedynce mówią „Już taki jestem" i zapraszają do swego świata. Nie musimy pakować walizek, kupować biletów, wystarczy słuchać.

Spisał ***Michał Korsun***

Bohaterem tekstu jest dziennikarka, publicystka, szefowa „Czterech pór roku" w Programie 1 Polskiego Radia

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nie palcie portali



Dominik Zdort

Dwa fakty z ostatnich dni. Najpierw Facebook. Grupa naukowców oraz pracowników tego portalu społecznościowego zażądała od Marka Zuckerberga usunięcia wpisu Donalda Trumpa: „Kiedy zaczniecie rabować, zaczniemy strzelać". Stwierdzili, że to podżeganie do przemocy, w dodatku „o rasistowskiej konotacji". Cóż, jeśli komuś rabowanie sklepów kojarzy się wyłącznie z Murzynami, to już jego problem... Zuckerberg pokornie zadeklarował, że będzie wpisy usuwał.

Nie mam wątpliwości, że będzie dzielny. Kiedyś, gdy na swoim profilu zamieściłem odesłanie do tekstu z „Rzeczpospolitej", przy którym było zdjęcie z plakatem „zakaz pedałowania", zaraz mnie jego administratorzy zablokowali. Choć, słowo honoru, nie wzywałem do przemocy wobec homoseksualistów. A na pewno nie publicznie.

Teraz fakt numer dwa. Serwis aukcyjny Allegro usunął ze swoich stron książkę Rafała Ziemkiewicza. Decyzję podjęto po zgłoszeniu Stowarzyszenia „Nigdy Więcej", które uważa, że w książce wyrażane są „poglądy o charakterze antysemickim".

Na wszelki wypadek zastrzegę: grupa naukowców amerykańskich na pewno ma większy potencjał intelektualny niż sekciarska organizacja radykałów znad Wisły. Ale wspólna jest mentalność obu środowisk. Przekonanie, że na świecie nie powinno być miejsca na poglądy inne niż ich własne. I że najlepszym lekarstwem na całe zło są zakazy i cenzura. A słuszną i skuteczną metodą jest szantaż. No bo jeśli Facebook nie zakaże Trumpa, to będzie rasistowski. Jeśli Allegro nie zakaże Ziemkiewicza, to będzie antysemickie.

To jedna strona medalu. Druga jest taka, że Facebook i Allegro to prywatne firmy. Ich świętym prawem jest wyznaczyć sobie nawet najbardziej obskuranckie zasady, ograniczające wolność słowa i swobodę działalności gospodarczej. I kto jak kto, ale akurat rekin amerykańskiego biznesu Donald Trump i bojownik o upowszechnienie prywatnej własności oraz wolnego rynku Rafał Ziemkiewicz powinni najlepiej to rozumieć.

Pewne rzeczy trzeba powiedzieć wprost i powtarzać wielokrotnie, aby nikt nie miał wątpliwości: biznes ma konkretną narodowość, ma także swoje poglądy polityczne – a nawet jeśli sam ich nie ma, to łatwo ulega ideowemu szantażowi czasem niewielkich i niemądrych, ale głośnych totalitarnych grupek. Tak, to niesprawiedliwe. Ale nie palcie portali internetowych, zakładajcie własne.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 1002e58ffc

OGNIEM NA WPROST

Tkają sobie sznur



Jak zostać bohaterem lewicy? Pokazał to George Floyd. Najpierw najlepiej urodzić się czarnym. Potem zacząć ćpać, zajmować się dilerką, a z braku towaru kupić broń lub przy okazji „kroić frajerów". W dobrym tonie widziany jest napad rabunkowy na kobietę w ciąży. Kiedy za to wszystko dostaniesz kilka wyroków, w tym jeden pięcioletni, po wyjściu z więzienia należy niezwłocznie wciągnąć metamfetaminę i poprawić fentanylem (silny lek traktowany jako narkotyk, po którym zdarza się udusić). Załatwić trochę „chały" (fałszywe banknoty) i, płacąc nimi, dać się złapać. Ale tak, żeby ciebie stróże prawa potraktowali niczym „wyrwanie chwasta" i załatwili na amen. Pod warunkiem że twoje zejście z tego ziemskiego padołu zostanie nagrane na smartfona i odtworzone w CNN. Wtedy możesz być pewien, że pochowają cię z honorami w złotej trumnie, a burmistrz twojego miasta będzie ronił krokodyle łzy na pogrzebie, jakby żegnał własnego syna.

Neobolszewicka zaraza wyhodowana w renomowanych uczelniach świata i wprowadzana w życie na ulicach Minneapolis, Bronxu i Queensu dotarła do Europy. Jakby ktoś miał wątpliwości, jakie państwo pierwsze w naszej Unii ogarnęły „antyrasistowskie" zamieszki, to spieszę z wyjaśnieniem, że Szwecję. Chyba nikt nie jest zdziwiony. W ubiegły poniedziałek w Göteborgu spłonęło 30 samochodów. Według policji grupy młodych ludzi na skuterach wybijały szyby w autach zaparkowanych w dzielnicy Hisingen oraz podpalały je. W centrum w wyniku manifestacji, w której uczestniczyło kilka tysięcy osób zamiast dozwolonych w związku z epidemią 50, doszło również do zamieszek. Demonstranci w kierunku policji rzucali kamieniami oraz butelkami. Zniszczeniu uległy witryny kilku sklepów. W Szwecji trwa debata na temat działań policji, która oskarżana jest o zbyt liberalne podejście, zezwalając na wymykające się spod kontroli zgromadzenia. Trudno się dziwić coraz mniejszej skuteczności tamtejszej policji, skoro coraz więcej funkcjonariuszy zamiast pacyfikować szabrującą bandyterkę, klęka przed nią, przepraszając, że żyje.

Po Göteborgu, Sztokholmie przyszła kolej na zdemolowanie Brukseli, Londynu, gdzie „uchodźcy" złapali trochę oddechu i pod wodza Antify pogonili bobby's (policję) na moście Westminsterskim. Potem na pobliskim Parliament Square zniszczyli pomnik Winstona Churchilla, ponieważ ubzdurali sobie, że był rasistą. Ale także ulicami Krakowa przeszedł całkiem liczny pochód nawiedzonych idiotów pod hasłem „pamięci George'a Floyda". Na pierwszym planie jednego ze zdjęć manify zobaczyć można czarnoskórą dziewczynę, trzymającą całkiem sporych rozmiarów planszę z napisem w języku angielskim: „Nie jesteśmy tacy jak nasi przodkowie – rozp...my was". I jeżeli będziemy się biernie temu przyglądać, a nie daj Boże popierać, to słowa niesione przez czarną kobietę ciałem się staną.

Rewolta w USA nie chce wygasnąć. Trudno się dziwić, skoro nie spotyka się z właściwą reakcją sił porządkowych. Wszystkich przeciwników rozruchów sparaliżował strach i nie wiedzą, co z tym zrobić z obawy przed zarzutem naruszania swobód demokratycznych sporej grupy obywateli. We wschodnim Seattle manifestanci zajęli komendę policji. Wyznaczono strefę autonomiczną, w której ruch wewnętrzny i wejścia są kontrolowane przez anarchistów, komunistów i innych aktywistów lewackich. „Bojownicy" nazywają teren swoją gminą. Opuszczony przez państwo i zdewastowany obszar zamienił się w squat przemianowany na „Departament Ludowy Seattle, okręg Wschodni". Protestujący antyrasiści z Seattle zaopatrzeni są w koce i namioty. Antifa ustawiła barykady do obrony granic strefy i wezwała ochotników do wstępowania do uzbrojonej straży. Na czele protestu stanęła Kshama Sawant, radna miejska Seattle i działaczka Socjalistycznej Alternatywy. Demonstranci zajęli również ratusz i domagali się dymisji burmistrz Jenny Durkan. Sama Durkan to demokratka, więc nakazała policji usunięcie się i teraz ma już w mieście komunę, a także strefę bezprawia. Amerykańscy demokraci są podzieleni. Jedni krytykują protesty, inni, jak Durkan, robią za pożytecznych idiotów. Powoli całe to towarzystwo tka sobie sznur, na którym „bojownicy o wolność, demokrację i socjalizm" z Antify i podobnych organizacji ich powieszą. Historia rewolucji pozostaje bowiem niezmienna.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1002e58ffc

Pandemia i prawo



Marta Kaczyńska-Zielińska

Pandemia wywiera wpływ na niemal wszystkie sfery naszego funkcjonowania – zarówno na życie codzienne, jak i działalność gospodarczą, które w ostatnich miesiącach napotykały na utrudnienia.

W związku z brakiem możliwości wywiązania się z wielu zawartych uprzednio zobowiązań dochodzi do sporów, w których strony, broniąc swoich interesów, powołują się na koronawirusa jako przejaw działania siły wyższej. W prawie cywilnym mianem siły wyższej określa się zjawisko, zdarzenie, sytuację lub stan, które mają charakter zewnętrzny, nadzwyczajny i przemożny. Pandemia niewątpliwie spełnia wskazane kryteria. Każdy, kto powołuje się na wystąpienie tego zjawiska, musi jednak udowodnić tę okoliczność, a ponadto wykazać istnienie związku przyczynowego pomiędzy brakiem możliwości spełnienia świadczenia a stanem pandemii. Trzeba zatem wykazać, że mimo zachowania należytej staranności – oczekiwanej w danej profesji – wskutek wystąpienia pandemii nie było jak wykonać ciążącego na stronie obowiązku. Powoływanie się na jej wystąpienie nie będzie jednak skuteczne w każdym przypadku braku możliwości wywiązania się z ciążącego na stronie obowiązku. Przepisy Kodeksu cywilnego obligują do dotrzymywania umów, a wystąpienie koronawirusa automatycznie nie wpływa na sytuację prawną stron.

Warto pamiętać, że na zasadzie swobody umów każda ze stron może wystąpić z inicjatywą modyfikacji wzajemnych praw i obowiązków celem zniwelowania skutków wystąpienia pandemii, zaspokojenia wzajemnych roszczeń na nowych zasadach i zapobieżenia popadnięcia w spór z drugą stroną. Strony mogą odroczyć termin płatności, spełnić inne świadczenie w miejsce pierwotnego. Na swoją prośbę dłużnik może także zostać zwolniony z długu przez wierzyciela.

Gdy obie strony mają wzajemne wymagalne wierzytelności, to w razie niemożności spełnienia świadczenia można posłużyć się instytucją potrącenia. Wystarczy, gdy jedna ze stron złoży odpowiednie oświadczenie i wierzytelności umarzają się do wysokości niższej. Jeżeli jedno ze świadczeń wzajemnych stało się niemożliwe wskutek okoliczności, za które żadna ze stron odpowiedzialności nie ponosi, strona, która miała to świadczenie spełnić, nie może żądać świadczenia wzajemnego, a w wypadku, gdy je już otrzymała, obowiązana jest do zwrotu. Ponadto o ile treść czynności prawnej na to pozwala, nie wykluczają tego przepisy prawa ani natura świadczenia lub świadczenie ma charakter przemienny, można się posłużyć do jego wykonania pomocą innej osoby, co zapewne w takim przypadku jak wystąpienie choroby lub konieczności poddania się kwarantannie pozwala na wykonanie umowy. Podobnie gdy występuje wielość dłużników lub wierzycieli, świadczenie może być spełnione przez jedną z osób zobowiązanych, a pozostałe będą obowiązane się z nią rozliczyć. Stan epidemiczny może stanowić przesłankę powołania się na wystąpienie nadzwyczajnej zmiany stosunków, które powoduje że spełnienie świadczenia jednorazowego albo zobowiązania o charakterze ciągłym byłoby połączone z nadmiernymi trudnościami albo groziłoby jednej ze stron rażącą stratą (czego strony nie przewidywały przy zawarciu umowy). W takim przypadku w razie udowodnienia przez stronę powołującą się na konsekwencje koronawirusa możliwa jest zmiana sposobu wykonania zobowiązania, wysokości świadczenia lub rozwiązanie umowy.

Powoływanie się na występowanie pandemii nie będzie skuteczne w przypadku przyjmującego zamówienie w umowie o dzieło lub umowie barteru. W razie opóźniania się przez przyjmującego zamówienie z rozpoczęciem lub wykończeniem dzieła tak dalece, że nie jest prawdopodobne, żeby zdołał je ukończyć w czasie umówionym, zamawiający może bowiem bez wyznaczenia terminu dodatkowego od umowy odstąpić jeszcze przed upływem terminu do wykonania dzieła. Skuteczne udowodnienie, że niewykonanie zobowiązania nastąpiło wyłącznie z powodu wystąpienia siły wyższej, sprawia, że dłużnik nie ponosi odpowiedzialności z tytułu niedotrzymania terminu spełnienia świadczenia i nie ma obowiązku uiszczenia należności tytułem odszkodowania.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że dnia 5 czerwca 2020 r. zmarł w Londynie

ŚP

PŁK MARIAN TOMASZEWSKI

urodzony 13 lipca 1922 r. w Przemyślu.
W listopadzie 1939 r. po aresztowaniu przez NKWD,
następnie zesłany do Karagandy w Kazachstanie.

Po amnestii, w sierpniu 1941 r. w Buzułuku wstąpił ochotniczo
do Armii Polskiej formowanej w ZSRR.
W lipcu 1942 r. ukończył Szkołę Podchorążych Broni Pancernej
przy 6. Dywizji Piechoty w Shahrisabz w Uzbekistanie.
Jako dowódca czołgu w 6. Pułku Pancernym „Dzieci Lwowskich"
w składzie 2. Warszawskiej Brygady Czołgów
przeszedł cały szlak bojowy 2. Korpusu Polskiego w kampanii włoskiej.

Uczestniczył w walkach frontowych z Niemcami
o Monte Cassino, Piedimonte San Germano, Ankonę i Bolonię.
W kwietniu 1945 roku awansowany do stopnia podporucznika.
Po wojnie pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii,
gdzie aktywnie włączył się w działalność niepodległościową i kombatancką.

Uhonorowany między innymi
Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Walecznych,
Krzyżem Monte Cassino,
Medalem Pro Bono Poloniae
oraz innymi odznaczeniami
polskimi i zagranicznymi.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

13/0620/F

eprasa.pl 1002e58ffc

WIEŻA BAB

Obyś własne dzieci uczył!

Uczniowie poczuli nagle, że szkoła może być nieocenionym dobrem, którego wcześniej nie mieli okazji docenić

Gdy w zeszłym roku strajk nauczycieli położył się cieniem na maturach i egzaminach ósmoklasistów, współczuliśmy młodym ludziom, że przychodzi im wkraczać w dorosłość w tak trudnych okolicznościach. Jednak kto liczył, że rok 2020 będzie normalniejszy, ten srogo się zawiódł.

Za nami matury w ostrym rygorze sanitarnym, przed nami egzaminy ósmoklasisty z takimi samymi obostrzeniami. Wszystko podlane przeciągającą się niepewnością i lękiem, czy się uda, czy też nie uda się napisać, emocje były w wielu przypadkach przyprawione samotnością, wynikającą z konieczności odizolowania się od przyjaciół i dotychczas znanego stylu życia.

Za nami także trzy miesiące eksperymentu, jakiego ani polska szkoła z nauczycielami i dyrektorami na czele, ani uczniowie i ich rodzice jeszcze nie doświadczyli, czyli wymuszona przez epidemię, wdrażana z konieczności edukacja na odległość. Z dnia na dzień wszystkie strony tzw. systemu edukacji musiały dokonać technologicznego skoku, co w wielu miejscach z braku sprzętu i doświadczenia wcale nie było łatwe.

Niekiedy było śmiesznie. Gdy w zasięgu kamery pojawiali się rozneglizowani rodzice, poszukujący panicznie części garderoby, a wiadomo, że jak coś się raz zobaczyło, tego nie da się „odzobaczyć". Niektóre szkoły w trosce o równowagę psychiczną uczniów i nauczycieli wprowadziły zakaz włączania kamer. Czasem było tragicznie. Były przypadki, gdy podczas internetowych łączeń ujawniła się przemoc domowa. A wszyscy musieli sobie jakoś poradzić z sytuacją. Rodzice, którzy nagle stali się nauczycielami, nauczyciele, którzy musieli (w wielu przypadkach z własnych pieniędzy) doposażyć się w sprzęt, wskoczyć na nowy poziom korzystania z dostępnej technologii, a w efekcie i tak nie mogli mieć pewności, czy bardziej oceniają pracę dzieci czy kreatywność rodziców.

Podczas tych trzech miesięcy widziałam, jak komu to zadanie wychodziło. Szybko okazało się, kto lubi swoją pracę, a kto ją wykonuje z braku lepszego pomysłu na życie. Było mnóstwo kreatywnego podejścia, wspaniałe, przygotowywane w pocie czoła prezentacje, ewentualnie wysyłane ciekawe materiały, były łączenia, podczas których słychać było ożywione dyskusje dzieci z nauczycielem na drugim końca kabla. Były jednak i sytuacje, w których nauczyciel kazał przeczytać dzieciom rozdział Y, zrobić zadanie Z, a następnie efekt wysłać mailem.



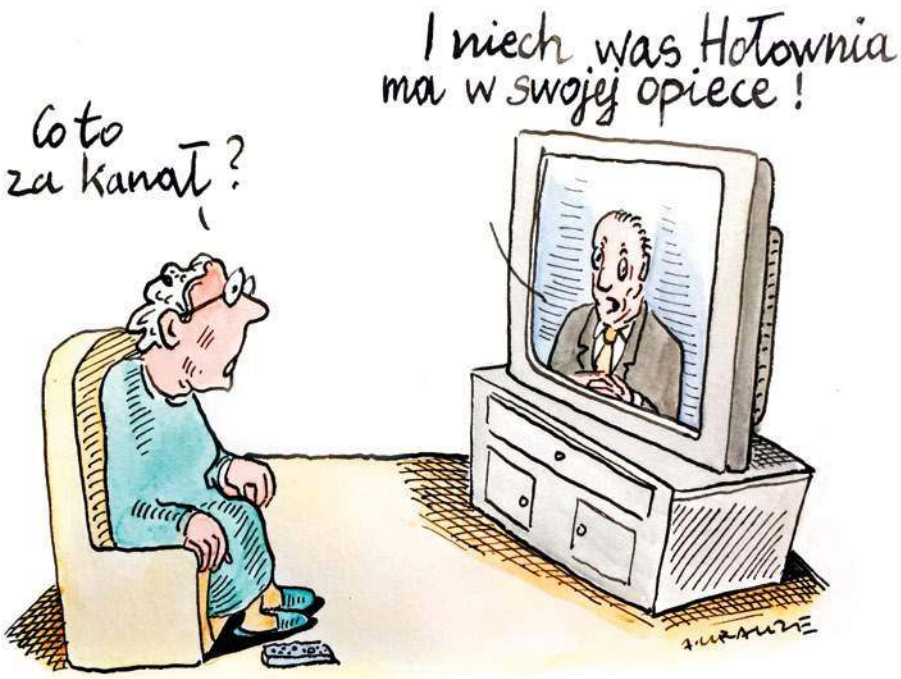
Ale edukacja to nie tylko nauczyciele, to także uczniowie. Niektóre z moich dzieci równie chętnie oglądały prezentacje, co rozwiązywały polecone zadanie, a innym (szczególnie jednemu) pod górkę było z każdą formą zdalnej edukacji, bo każda pozbawiona bezpośredniego przymusu okazywała się po prostu niepotrzebną stratą czasu, który można było spożytkować na granie na komputerze, skakanie na trampolinie, kopanie piłki czy rzucanie do kosza (na czas kwarantanny wywieźliśmy dzieci na działkę, bo inaczej wszystkim groziłoby zamknięcie w szpitalu psychiatrycznym). I na nic się zdały apele „wszystkich świętych", że to nie koronaferie, oraz nasze, rodziców, granie na nucie odpowiedzialności i straszenie przyszłym potencjalnym bezrobociem wynikającym z braku ukończenia szkoły.

Nieoczekiwanie jednak wszystkie strony edukacyjnej barykady chyba bardziej niż kiedykolwiek doceniły tradycyjny model nauczania. Uczniowie poczuli, że szkoła może być nieocenionym dobrem, którego wcześniej nie mieli okazji docenić. Okazało się, że niespodziewane spełnienie marzenia większości, by „budę szlag trafił", nie jest tak atrakcyjne, jak można było się spodziewać. Za kontaktem z uczniami, może i nawet za tymi opornymi, zatęsknili też nauczyciele. Jednak lepiej mówi się do kogoś, kto chociaż czasem słucha, niż do komputera. Okazało się też, że przygotowanie ciekawej prezentacji jest bardziej czasochłonne niż przygotowanie tradycyjnej lekcji. Za szkołą zatęsknili też rodzice, którzy może wreszcie będą mniej sarkać na pedagogów. Dla niektórych odkrycie, co w istocie znaczy powiedzenie: obyś cudze dzieci uczył, może być przełomowe. Właściwie to po narodowej kwarantannie należałoby ukuć jego nową, bardziej wymowną wersję: obyś własne dzieci uczył.

A ja po raz kolejny się przekonałam, że niewiele zależy od systemu, a wszystko od człowieka. Bo każdy system tworzą ludzie. I to oni decydują, czy twoja edukacja to miła przygoda zakończona sukcesem, czy koszmar, który wolisz wymazać z pamięci.

Dorota Łosiewicz

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

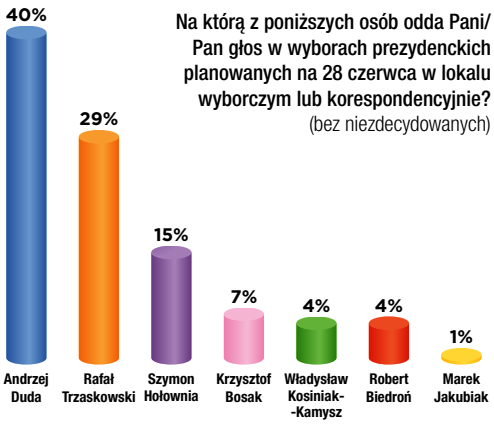
KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK.COM

nasz sondaż — pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

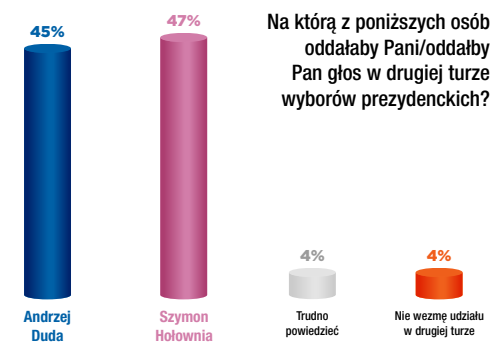
Na którą z poniższych osób odda Pani/Pan głos w wyborach prezydenckich planowanych na 28 czerwca w lokalu wyborczym lub korespondencyjnie?
(bez niezdecydowanych)



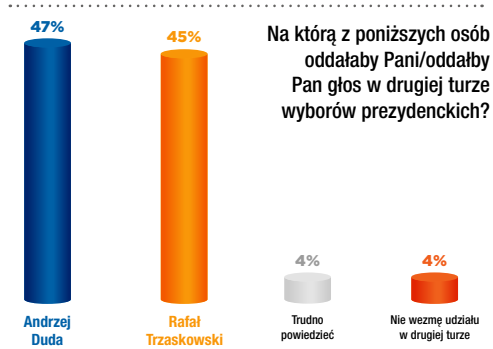
Na które ugrupowanie oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez niezdecydowanych)



Na którą z poniższych osób oddałaby Pani/oddałby Pan głos w drugiej turze wyborów prezydenckich?



Na którą z poniższych osób oddałaby Pani/oddałby Pan głos w drugiej turze wyborów prezydenckich?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1069.

Zakres czasowy badania 5–9 czerwca 2020 r.

eprasa.pl 1002e58ffc



Tak Andrzej Duda wygra te wybory

Zdecydują zaangażowanie i emocje. Ten, kto skupi je wokół siebie, ten wygra. Atutem Andrzeja Dudy jest to, że nikogo nie udaje, nie musi się jak inni przebierać w żadne kostiumy. Mówi prawdę, zrobił to, co obiecywał, ma atrakcyjną wizję ambitnej Polski

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Beatą Szydło, byłą premier, politykiem Prawa i Sprawiedliwości, posłem do Parlamentu Europejskiego

O co są te wybory? Jaka – poza wyborem konkretnej osoby na urząd prezydenta – jest stawka?

Beata Szydło: To są wybory, których stawką jest kontynuowanie tego wszystkiego dobrego, co udało się zrobić w ciągu ostatnich pięciu lat, a co rozpoczął przecież prezydent Andrzej Duda. To po jego zwycięstwie stało się możliwe wprowadzenie także programów prorodzinnych, społecznych, dla mnie szczególnie ważnych. Ale jak wiemy, będących także kołem zamachowym gospodarki. Zdecydujemy w tych wyborach, czy to ma być kontynuowane, obronione, ale i rozwijane, bo uważam, iż Polskę stać na kolejne takie działania. Czy chcemy Polski szacunku i godności, czy tego, co było przez osiem lat rządów PO-PSL. To duża, ogromna stawka.

Na spotkania z panią przychodzi bardzo wielu Polaków, co widzieliśmy choćby w lutym, tuż przed epidemią, w Oświęcimiu. Widać tam i słychać, jak bardzo przeżywane są sukcesy i porażki Zjednoczonej Prawicy, jak silna jest świadomość, że kolejna taka szansa na reformy i obronę tożsamości narodowej, jeśli zostanie zmarnowana, może się pojawić za dekady. Jaki jest zatem w pani ocenie bilans tych pięciu lat? Można było zrobić więcej?

Zawsze można zrobić więcej i lepiej. Popełniliśmy w ciągu tego czasu sporo błędów. Tym jednak różnimy się od innych formacji, że umiemy je uczciwie nazwać, wyciągnąć wnioski, dokonać zmian. Patrząc wstecz, wiem, że wiele spraw można było zrobić lepiej, sprawniej, szybciej. Taka jest w ogóle natura działania ludzkiego, że zawsze jest ono obarczone błędami. W sumie jednak uczciwa ocena prowadzi do wniosku, że udało się zrobić bardzo dużo, więcej niż komukolwiek wcześniej, w warunkach bardzo trudnych, przy potężnych przeciwnościach zewnętrznych i napięciach wewnętrznych. Nie zrobiliśmy tego, co tyle razy wcześniej zrobiono Polakom – piękne hasła wyborcze, zapowiedzi zmian, a potem konsumowanie władzy. Obiecaliśmy reformy i uparcie je wprowadzaliśmy, próbując podnieść jakość życia Polaków i siłę państwa polskiego we wszystkich wymiarach. To też oczywiście wywoływało opór. Te pięć lat to był dobry czas dla Polaków i Polski.

Istota zobowiązania Andrzeja Dudy z 2015 r. zawiera się w dotrzymanych obietnicach zmiany życia Polaków. Krytyka wobec niego skupia się jednak na rzekomej uległości wobec prezesa Prawa i Sprawiedliwości, na braku samodzielności. Jak pani odpowie na te zarzuty?

Bardzo mnie irytują takie stwierdzenia, bo bywały momenty, w których to w mojej ocenie szło za mocno w drugą stronę, kiedy prezydent bardzo się odrywał od swojego obozu. Ale odnosząc się do istoty sprawy: Andrzej Duda zobowiązał się w kampanii do przeprowadzenia kilku zasadniczych zmian. Szukał dla tych spraw poparcia wszędzie. Czy z tego, że znajdował je właśnie w obozie rządzącym, można robić zarzut? Nie sądzę. Sam był autorem wielu inicjatyw, które potem wdrażał rząd.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1002e58ffc

I wreszcie wyszliśmy wszyscy z tego samego obozu, mamy wspólne korzenie ideowe, polityczne. Podobnie jest u naszych konkurentów – Rafał Trzaskowski nie spadł tu z księżyca, ale był ważnym ministrem w rządzie Donalda Tuska, jest prominentnym politykiem w Platformie Obywatelskiej. Podobnie Małgorzata-Kidawa Błońska, a wcześniej Bronisław Komorowski. Są to zatem zarzuty zastępcze, zmierzające do skupienia uwagi opinii publicznej na sprawach bez znaczenia. Po to, by nie rozmawiać o sukcesach Andrzeja Dudy.

W czasie gdy pani była premierem, w lipcu 2017 r., Andrzej Duda zawetował reformy sądowe.

Byłam wtedy na niego zła, wręcz wściekła. Uważałam, że popełnił błąd. Do dzisiaj sądzę, że gdyby te reformy zostały wtedy podpisane, być może bylibyśmy w innym miejscu. Różniliśmy się w tej sprawie znacząco. Ale nigdy nie ośmieliłam się skrytykować pana prezydenta, bo wiem, że kierował się najlepszą wolą. Widocznie z jego punktu widzenia, w tamtym momencie, w konkretnych okolicznościach, te ustawy w takim kształcie nie mogły być zaakceptowane. Stąd weto, do którego miał prawo. To najlepszy dowód, choć dla zwolenników tamtych ustaw gorzki, że to polityk niezależny, kierujący się własnym osądem spraw. I jeszcze jeden wątek: nie życzę Polsce, by doczekała prezydenta, który nie ceni współpracy z rządem, ale kieruje się zasadą wojny, który chce wszystko wypalić gorącym żelazem. Wtedy nic się już nie da zrobić, żadnych zmian wdrożyć, żadnych programów społecznych uruchomić.

Z listy rozpowszechnianych przeciw prezydentowi argumentów wybierzmy jeszcze jeden – że jest jak Bronisław Komorowski w roku 2015, oderwany od życia, zamknięty w pałacu, nierozumiejący Polaków. Jak pani na to odpowie?

To absurd, bo prezydent był całą kadencję i jest z ludźmi, właśnie w odróżnieniu od Bronisława Komorowskiego. Ale oczywiście nie jest też tak, że to jest taka sama kampania jak w roku 2015, choćby dlatego, że Polska się zmieniła na lepsze, inne są dziś oczekiwania, a prowadzenie spotkań z wyborcami z pozycji urzędującego prezydenta jest trudniejsze, związane z wieloma kwestiami, choćby bezpieczeństwa, obowiązkami głowy państwa. Dla mnie osobiście też jest to trochę inna kampania, bo inną odgrywam w niej rolę niż pięć lat temu. Ale zapewniam, że zrobię wszystko, aby pomóc Andrzejowi Dudzie wygrać te wybory.

> Andrzej Duda, ten ze spotkań z wyborcami, nie różni się od tego przy kawie z przyjaciółmi. Nie ma w nim krzty cynizmu, jest ogromny szacunek dla każdego człowieka, pragnienie dialogu, przywiązanie do wartości

Kampania prezydencka zawsze premiuje osoby, które wchodzą do wyścigu. Ludzie postrzegają to trochę jak przedstawienie, więc oczywiste, że nowi aktorzy budzą większą ciekawość. Z tego powodu niektórzy prezentują się fałszywie jako nowi. Kandydat PO to osoba z rdzenia tej partii, a udaje, że nigdy wcześniej go tu nie było.

Pani rząd tuż po przejęciu sterów władzy musiał się mierzyć z konsekwencjami podjętej przez poprzedników decyzji, w tym przez ówczesnego wiceministra spraw zagranicznych Rafała Trzaskowskiego, o zgodzie na przymusową masową relokację migrantów. Pamięta pani?

Oczywiście, że pamiętam. I pamiętają Polacy – jeśli, nie daj Boże, Rafał Trzaskowski zostałby prezydentem, takie próby powrócą, bo to jest jego pomysł na Polskę i Europę. Wierzę jednak, że Andrzej Duda wygra i do tego nie dopuści.

Druga tura wyborów wydaje się jednak nieunikniona?

Wszystko jest możliwe. Uważam, że szansa na wygraną już w pierwszej turze jest możliwa. To zależy od naszej mobilizacji, od tego, jak będziemy przez te ostatnie tygodnie pracować.

A jak powinniście pracować?

Podstawa to być wśród ludzi. Andrzej jest prezydentem wszystkich Polaków, ludzie go kochają, wiedzą, że ich nie zawiódł. To widać każdego dnia: prezydent był w każdym powiecie, odbył tysiące spotkań, a ludzie wciąż nie mają dość, wszędzie przyjmują go serdecznie. Jeżeli w tej kampanii tego atutu, tej prawdy, się nie zgubi, nikt z naszym kandydatem nie ma szans. On to wygra.

Niech pani zatem nam powie, jak to zrobi, jak wygra?

Tak, jak zrobił to w roku 2015: porwie za sobą serca i umysły Polaków. Zbierze owoce swojego wysiłku z pięciu lat, kiedy zawsze znajdował czas dla zwykłych Polaków. Wiem coś o tym, bo sama zawsze stałam przed wyborem: sprawy związane z rządzeniem czy kontakt z ludźmi, wyjazd w teren. Trzeba znaleźć równowagę, trzeba dać z siebie wszystko, trzeba często ograniczać sen. Ja to robiłam, robił to i robi jeszcze mocniej Andrzej Duda, był wśród Polaków bez wytchnienia. To pozwala mu w kampanii być na czasie, wiedzieć, o czym rozmawiają Polacy, rozumieć ich problemy, dostosować do tego swoje propozycje. To ważne szczególnie dziś, gdy wciąż walczymy z epidemią, gdy może być spowolnienie, a ludzie obawiają się pogorszenia swojego poziomu życia. Odpowiedzialny i czujący ludzkie emocje polityk musi być dziś wśród ludzi! Ale nie na pokaz. A Andrzej

eprasa.pl 1002e58ffc



Fot. flickr.com/andrzej_duda

Duda, który nikogo nie udaje, był, jest i będzie wśród ludzi. Nie tylko w czasie kampanii.

Wiarygodność jako największy atut prezydenta?

Tak. To polityk, którego siłą jest wiarygodność. Co obiecał – zrealizował. I zawsze postępował uczciwie. Jeśli wiedział, że coś jest niemożliwe, trudne, potrwa dłużej, uczciwie o tym mówił. To mu daje wielki kredyt zaufania Polaków. Co mamy po drugiej stronie? Setki obietnic zarzucanych dzień po wyborach, jak w Warszawie.

Prezydent wygra też postawą propolską, szacunkiem, który niesie w słowie i czynie wobec przeszłości naszego narodu, jego wielkiej historii. Upartą walką o dobre imię naszej ojczyzny. Konsekwentnym staniem na straży spraw ważnych dla Polski i Polaków, troską o rodziny, wspieraniem polskich firm. Andrzej Duda wygra te wybory naszą wspólną pracą, wysiłkiem ludzi, którzy wiedzą, że to wszystko nie jest oczywiste, że los Polski zależy od nas.

> Bardzo mnie ucieszyło, że prezydent przedstawił Kartę rodziny, która odpowiada na obawy wielu Polaków przed agresją kulturową lewicy. Stałam obok Andrzeja Dudy w Stalowej Woli i widziałam życzliwą reakcję ludzi, gdy mówił o inwestycjach, i gorącą, żywą, gdy podniósł kwestie wartości, których będzie bronił

Wspomniała pani o wątpliwym dorobku jednego z kontrkandydatów, w stolicy i wcześniej. Ale jest obawa, że ten radykalny polityk przebierze się teraz w szaty patriotyczne, owinie biało-czerwonym szalikiem, powie, że jest katolikiem, człowiekiem wrażliwym społecznie, i jakąś grupę zwiedzie. Potężne media pracują, by ta operacja się udała.

Przypominanie, jak naprawdę postępowali inni kandydaci, to zadanie dla sztabu kandydata i wszystkich ludzi, którzy cenią prawdę. To, że w tym wyborczym show niektórzy zakładają kostiumy, nie jest niespodzianką. Ważne, jak się na takie zagrożenie odpowiada. Trzeba ludziom mówić prawdę. O tym, że kandydat Trzaskowski, który wprowadził w Warszawie skrajną Kartę LGBT, to samo zafunduje jako prezydent całej Polsce. O tym, że nie warto mu wierzyć, gdy mówi, że docenia 500+ i inne programy, bo przez lata ze swoją partią robił wszystko, by tego nie było, a jego zaplecze z tego szydziło. Podobnie z wiekiem emerytalnym, który drastycznie podnieśli, a przywrócił do ludzkich wymiarów właśnie Andrzej Duda – bo to był projekt prezydencki. To kluczowe sprawy. Dopóki my, wyborcy, damy się zwodzić takim

eprasa.pl 1002e58ffc

sztuczkom, dopóty będziemy oszukiwani. Patrzmy na to, co kto wcześniej zrobił. To czyny, a nie słowa weryfikują polityków.

W wyborczym wyścigu Rafał Trzaskowski ma jedną przewagę: jest wypoczęty, gdy inni kandydaci są zmęczeni długą i męczącą kampanią, pełną niewiadomych. Jaki to może mieć wpływ?

Udało się Platformie wprowadzić nowego zawodnika i stworzyć na chwilę wrażenie, że to jest jakaś nowa twarz. Cieszą się, tym bardziej że poprzednia kandydatka okazała się nieporozumieniem, a nowy kandydat na tym tle jawi się jako lepszy mówca, polityk bardziej energiczny. Ale ta premia już mija – zaczyna docierać do ludzi, że to polityk głęboko zanurzony w rządach PO-PSL. To, że opozycja dostała możliwość wymiany kandydata, wynika z tego, że nie odbyły się wybory 10 maja. Uważam, że źle się stało. Ale stało się, musimy walczyć w tych warunkach – i też damy radę. Widać już, że Andrzej Duda znalazł rytm, ma energię, pomysły, walczy. To dobre prognostyki.

Niektórzy, jak Szymon Hołownia czy Władysław Kosiniak-Kamysz, stracili jeszcze więcej.

Kampanie tych dwóch polityków, mam wrażenie, straciły impet, a oni sami okazję do zrobienia dobrego wyniku. W ich interesie leżały wybory w maju, nie mieli jednak odwagi, by tego terminu bronić.

Dopytamy jeszcze o Jarosława Gowina: obiecał ostatnio, że zrobi wszystko, by Andrzej Duda wygrał w nowym terminie wyborów. Jak dużo musi w pani ocenie zatem zrobić?

Rozterki Jarosława Gowina są jego sprawą, wiem, że popełnił bardzo duży błąd. Motywów nie znam, nie mam pojęcia, na co liczył. Wiem, że z punktu interesu państwa przyniosło to straty, wprowadziło chaos, postawiło pod znakiem zapytania konstytucyjne terminy. Podziękowania ze strony pana Borysa Budki dla Jarosława Gowina też zastanawiają. Dzięki jego akcji PO dostała koło ratunkowe. W jakimś sensie to pan Gowin jest ojcem chrzestnym kandydatury Rafała Trzaskowskiego. Konflikt wokół terminu wyborów, w mojej ocenie, był najpoważniejszym z dotychczasowych. Mało przecież brakowało, by Polska nie miała wybranego w konstytucyjnym terminie prezydenta! To bardzo poważne zagrożenie, którego uniknęliśmy, choć konsekwencje nie są jeszcze w pełni znane. Ale i tutaj udało się znaleźć sposób, by jednak działać razem i iść dalej. Oczywiście mamy prawo to oceniać, powiedzieć, jak widzimy. Ale to już było, trzeba to zamknąć.

> Jeżeli Polacy uwierzą, że to, co wszyscy razem osiągnęliśmy przez ostatnie lata – podniesienie jakości życia wielu rodzin, zatrzymanie złodziejstwa, budowanie pozycji Polski i szacunek dla jej historii – jest już oczywiste i nienaruszalne, to niestety boleśnie się przekonają, że tak nie jest

Akcja Jarosława Gowina, to, że mówił o politykach opozycji „moi partnerzy", a w tym samym czasie jego zaplecze medialne rzucało siekierami w obóz pisowski, prowadzi nas do pytania o kondycję Zjednoczonej Prawicy po pięciu latach sprawowania rządów. Czy to są już tłuste koty, czy jeszcze im się chce? Czy poziom konfliktów, naturalnych w polityce, wśród ludzi tak ambitnych, nie przekroczył bezpiecznego stanu? Czy jest poczucie zjednoczenia wokół walki o reelekcję Andrzeja Dudy?

Władza na pewno zużywa, zwiększa napięcia, konflikty personalne, mnoży niesnaski. Czasami to nie wynika z niskich pobudek, ale odwrotnie – z poważnego podejścia do różnych wyborów, decyzji, z troski o sprawy wspólne. Największą umiejętnością jest zdolność wychodzenia z takich zawirowań, pójście do przodu, wybaczenie i dalsza współpraca. Jeżeli ta zasada będzie utrzymana, ten obóz może rządzić jeszcze długo. Na pewno też wygrana prezydenta Dudy nada obozowi nową energię, ponownie zespoli. Bo przy wszystkich kłopotach i załamaniach nie ma dziś dla Polski lepszej alternatywy. To, co przemawia za nami, to nie piękne słowa, ale czyny, dorobek, który kiedyś wydawał się nie do osiągnięcia, niemożliwy, którego propozycje wyśmiewano. A jednak – zrobiliśmy to.

Mówi pani, że zwycięstwo Andrzeja Dudy da obozowi Jarosława Kaczyńskiego nową energię. A co, jeżeli będzie porażka? Co wtedy z Polską?

Wolałabym nie snuć wizji o przegranej, bo jestem głęboko przekonana, że mimo zaciętego boju zwyciężymy. Ale oczywiście w polityce każdy scenariusz trzeba rozważać. Powiem więc tak: jeżeli Polacy uwierzą, że to, co wszyscy razem osiągnęliśmy przez ostatnie lata – to podniesienie jakości życia wielu rodzin, to zatrzymanie złodziejstwa, to budowanie pozycji Polski i szacunek dla jej historii – jest już oczywiste i nienaruszalne, to niestety boleśnie się przekonają, że tak nie jest. Jeżeli te wybory wygrają nasi oponenci, to wizja Polski ambitnej, solidarnej, inwestującej w rodziny, zostanie zniszczona. Cofniemy się i paradoksalnie oddalimy od Europy, bo w Parlamencie Europejskim pracuję teraz m.in. w komisji spraw społecznych i widzę z bliska, jaką wagę przykłada się do tych programów i w UE, i w poszczególnych krajach, zwłaszcza w czasie kryzysu. Wiele państw chce z nas wziąć przykład, często jestem pytana o szczegóły.

eprasa.pl 1002e58ffc

W Unii wielu kibicuje PO, marzy o przegonieniu PiS.

Tak, choć nie wszyscy. Kibicują przede wszystkim ci, którzy tęsknią za czasami, gdy głos Polski był tylko echem potężnych, a nie samodzielną obroną naszych interesów. W tej grze o wpływy za uciszenie tego naszego głosu wielu jest w stanie dużo zapłacić. Gdziekolwiek spojrzymy, widzimy, że to jest wyborcza walka o przyszłość Polski. Te rozstaje dróg są bardzo wyraźne, od rodziny, przez gospodarkę, kulturę, pluralizm w mediach, po realną pozycję naszego kraju w międzynarodowej rywalizacji. Albo dobro wspólne, albo interesy wąskich elit oligarchicznych, politycznych, medialnych. Albo dalszy rozwój, uparta walka o interesy Polaków, albo skok w przeszłość. Po stronie naszych konkurentów ta tęsknota za tym, co było, jest wyraźna.

Jaka powinna być główna oś podziału, nazwana różnica w tej kampanii? Dużo się mówiło o inwestycjach, ale czy to może porwać serca Polaków? O czym przede wszystkim powinien mówić prezydent Duda?

Inwestycje są ważne. Plan Dudy, w tym budowa CPK, przekop Mierzei Wiślanej, to wyzwania, które są kluczowe dla naszego rozwoju. Trzeba o tym mówić, ale dla mnie osobiście na pierwszym planie muszą być emocje i sprawy fundamentalne, te najbliższe ludziom. Wielkie inwestycje dadzą nowe, jakże potrzebne dziś, miejsca pracy. Ale musimy zrobić wszystko, aby utrzymać te miejsca pracy, które już istnieją, a tym, którzy pracę stracą, pomóc. I tu przecież Andrzej Duda jest bardzo aktywny.

Jasne wybory, przed którymi stoimy, trzeba nazywać po imieniu. Wtedy ludzie za tobą pójdą. Bardzo mnie ucieszyło, że prezydent przedstawił Kartę rodziny, która odpowiada na obawy wielu Polaków przed agresją kulturową lewicy. Stałam obok Andrzeja Dudy w Stalowej Woli i widziałam życzliwą reakcję ludzi, gdy mówił o inwestycjach, i gorącą, żywą, gdy podniósł kwestie wartości, których będzie bronił. Prezydent też tę różnicę zauważył, wie, co ludzi niesie, co budzi żywiołową reakcję, co jest w sercach.

Skąd ta różnica?

Z tego, że infrastruktura jest ważna i wyborcy ukarzą tych, którzy inwestycje zaniedbają. Ale dziś pytania, które sobie zadają miliony Polaków, dotyczą tego, czy nasze poglądy, wartości, wiara będą szanowane, czy atakowane, obrażane, często wulgarnie. Czy będzie wolność, a zgadzam się z prezesem Jarosławem Kaczyńskim, że nasz kraj jest wyspą wolności w Europie, czy przymusowa reedukacja, także dzieci, w duchu agresywnych lewicowych poglądów. Nie da się wygrać wyborów prezydenckich bez dotarcia do ludzkich serc.

> Władza na pewno zużywa, zwiększa napięcia, konflikty personalne, mnoży niesnaski. Największą umiejętnością jest zdolność wychodzenia z takich zawirowań, pójście do przodu, wybaczenie i dalsza współpraca. Jeżeli ta zasada będzie utrzymana, ten obóz może rządzić jeszcze długo

Czasami słychać głosy, że tematy programów prorodzinnych się zgrały.

To nieprawda. Ten, kto tak mówi, nie zna Polski naprawdę, odbiera ją wyłącznie przez niechętne nam media. Te programy zmieniły życie wielu rodzin i pamięć o tym, jak było za Tuska, jak ciężko się żyło, jest żywa, emocjonalna. Ich znaczenie w czasie perturbacji wywołanych epidemią, jeszcze wzrasta. Jeżeli jednak pozwolimy, by przeciwnicy narzucili inne pola sporu, niektórzy mogą dać się zwieść i zagłosować wbrew własnym interesom. W polityce, gdy przestajesz przekonywać do swoich wartości i dorobku, inni wchodzą w to miejsce.

Przed nami nerwowe tygodnie. Rywalizacja na spoty, plakaty, wiece i sondaże, czyste i nieczyste chwyty. Wyrównana walka. Co zdecyduje o wyniku?

Emocje Polaków. Ten, kto skupi je wokół siebie, ten wygra. Atutem Andrzeja Dudy jest to, że nikogo nie udaje. Nie jest innym człowiekiem do południa niż po południu. Ten ze spotkań z wyborcami nie różni się od tego przy kawie z przyjaciółmi. Nie ma w nim krzty cynizmu, jest ogromny szacunek dla każdego człowieka, jest pragnienie dialogu, przywiązanie do wartości. Tak został wychowany, takim pozostał.

Zdecyduje zaangażowanie wyborców, mobilizacja ludzi. Tu długo miałam pewne obawy, także ze względu na epidemię, która każdego zmusiła do zajęcia się innymi sprawami. Ostatnio na szczęście dużo się zmieniło, widać wzrastającą aktywność, świadomość, że jak my się nie ruszymy, to nikt tego nie zrobi. Sama także chciałam z tych stron tygodnika „Sieci" poprosić wszystkich, którym zależy na Polsce, dla których mój głos coś znaczy, o pełną mobilizację, przekonywanie przyjaciół, znajomych, sąsiadów. Bądźmy aktywni, roznośmy ulotki, wieszajmy plakaty, pokazujmy alternatywę: Polska solidarna bądź taka, która się odwróci od zwykłych obywateli. To jest ten wybór. I każdy z nas musi zrobić wszystko, by sprawy potoczyły się dobrze. Kandydat jest świetny, ale sam, bez naszego wsparcia, nie wygra. Ja dam z siebie wszystko, będę na wyborczej trasie. Wierzę, że będzie nas wystarczająco dużo. Zadanie jest trudne, ale jesteśmy przecież w tych bojach zahartowani. Głęboka wiara i ciężka praca mogą góry przenosić.

eprasa.pl 1002e58ffc

Ta kampania w sposób totalny łamie dotychczasowe reguły. Niektórzy kandydaci zachowują się tak, jakby żadne zasady ich nie obowiązywały. Wszystkie chwyty są dozwolone

Brudna kampania Trzaskowskiego



STANISŁAW JANECKI

Kampanie wyborcze bywały już brudne – bardziej w socjologicznym i politologicznym znaczeniu tego terminu, choć w moralnym także, zwykle na poziomie brudnych metod i treści. W 2020 r. mamy jednak nową jakość. „Brud" stał się bowiem zasadą organizującą oraz przenikającą wszystkie poziomy kampanii Rafała Trzaskowskiego, kandydata Koalicji Obywatelskiej na prezydenta. Przy czym wizerunkowo, czyli na powierzchni, ta kampania ma wyglądać na czystą, odwołując się do pozytywnych pojęć i skojarzeń: wspólnoty, zgody, solidarności, współdziałania, tolerancji, afirmacji, konsensu, kompromisu, deliberacji, uśmiechu czy zakazu dyskryminacji, wykluczania i podrzędności.

To jednak tylko atrapa w stylu potiomkinowskim, zasłona dymna, zresztą typowa dla wszystkich brudnych kampanii, nie tylko wyborczych. A im więcej deklarowanych pozytywów, tym więcej „brudu" można pod nimi ukryć. Po to zresztą tak są prowadzone.

DYSKRYMINACJA, CZYLI UPRZYWILEJOWANIE

Kampania Rafała Trzaskowskiego nie byłaby możliwa bez „brudu pierworodnego" czy „brudu założycielskiego", czyli wielkiego, bezczelnego i bezwstydnego kłamstwa na temat niby to śmiercionośnych wyborów 10 maja 2020 r. (i w każdym innym majowym terminie). Ten „brud pierworodny" był potrzebny, żeby wymienić Małgorzatę Kidawę-Błońską na obecnego

Fot. Damian Klamka/East News

kandydata KO. Później się okazało, że wybory 10 maja, a tym bardziej 17 czy 23 maja, byłyby zapewne nawet bezpieczniejsze niż te ustalone ostatecznie na 28 czerwca 2020 r., które dla tych samych sił i osób nie są już nawet w minimalnym stopniu „śmiercionośne". „Brud pierworodny" ratował Platformę Obywatelską, jej przewodniczącego, ale też cały obóz III RP przed totalną klęską. I umożliwiał umieszczenie nowej kampanii w świecie na opak, znowu zbudowanym na kłamstwie.



Rafał Trzaskowski jako nowy kandydat miał być na starcie dyskryminowany: krótszym czasem na zbieranie podpisów i kampanię, na organizację spotkań wyborczych, mniejszą pulą pieniędzy do dyspozycji, koniecznością łączenia obowiązków kandydata i prezydenta stolicy, dziedzictwem nieudanej kampanii Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. To wszystko było oczywiście wielką „ściemą", występowanie w roli pokrzywdzonego i dyskryminowanego w rzeczywistości dawało Rafałowi Trzaskowskiemu przewagę nad innymi kandydatami, czyniło go uprzywilejowanym. Zapewniało nieprzerwaną obecność w mediach i pozytywne nastawienie tych wszystkich, którzy chcieli dyskryminowanemu zrekompensować domniemane krzywdy i straty. W dodatku wszystko to zostało zaplanowane i przeprowadzone z premedytacją, czyli mieliśmy faul (brudne zagranie) w postaci udawania pokrzywdzonego. To odpowiednik udawanego faulu w piłce nożnej, po którym dostaje się możliwość egzekwowania rzutu karnego. (Ale gdy sędzia uzna, że zawodnik symulował, dostaje żółtą kartkę, a nawet czerwoną, która wyklucza go z gry. Polityka to jednak nie piłka. Tu nie ma niezależnych arbitrów). W kategoriach etycznych można to nazwać oszustwem.

W cieniu dyskryminacji i krzywd mniemanych całkiem gładko przeszło nielegalne zbieranie podpisów z poparciem dla kandydata na prezydenta (trudno oszacować, w jak dużej skali), co normalnie powinno być przestępstwem ściganym z całą surowością, skoro dotyczy procesu wyborczego.

ŚWIAT NA OPAK

Brudna kampania Trzaskowskiego opiera się przede wszystkim na stworzeniu świata na opak, gdzie wszystko jest swoim przeciwieństwem, a sensy i znaczenia są odwrócone. Sam Rafał Trzaskowski, jego sztab, partyjny aparat oraz kampanijni aktywiści, szczególnie wędrowne grupy robiące zadymy, grają role atakowanych, czyli ofiar, choć w istocie są atakującymi, prowokatorami, napastnikami bądź sprawcami. Za fasadą kryją się bowiem elementy wręcz bojówkarskie, szczególnie w wydaniu grup przeszkadzających w kampanii prezydenta Andrzeja Dudy. Do tego dochodzi aktywność takich specjalistów od (bardzo) brudnej kampanii jak SokzBuraka, którego twórca Mariusz Kozak-Zagozda mógł korzystać (czasem jednocześnie) z pieniędzy z funduszu wyborczego, z PO czy ze stołecznego ratusza. Widoczne są też wielkie akcje dyskredytowania, a wręcz dyfamacji urzędującego prezydenta w telewizjach, radiach, gazetach, w portalach i w kanałach posługujących się przekazami wideo, które potem są powielane i przekazywane dalej (tzw. pudła rezonansowe) przez polityków, współpracowników oraz sympatyków KO oraz Rafała Trzaskowskiego.

Ale to nie wszystko. Organizuje się też doraźne akcje dyfamacyjne, takie jak umieszczenie w gablotach przystankowych, należących do firmy AMS (części koncernu Agora), materiałów szkalujących ministra zdrowia prof. Łukasza Szumowskiego, czyli ważnej osobistości z politycznego zaplecza prezydenta Andrzeja Dudy. W tym samym czasie w mediach Agory pojawiają się liczne materiały uderzające w ministra Szumowskiego, a wręcz sugerujące jakieś jego korupcyjne działania.

Osobnym rozdziałem brudnej kampanii w świecie na opak są napaści na pierwszą damę – Agatę Kornhauser-Dudę, rzekomo usprawiedliwione atakami na rodzinę Rafała Trzaskowskiego, czyli przypomnieniem tego, co o tej rodzinie mówiła sama Małgorzata Trzaskowska oraz co wynika z akt IPN.

BRUDNA ENERGIA

Pozytywne działania rządu i prezydenta są przedstawiane jako negatywne, a wręcz jako zagrożenie dla państwa, demokracji i różnych grup społecznych. Obstrukcja senackiej większości jest działaniem na rzecz demokracji. Utrudnianie i opóźnianie prac nad kolejnymi tarczami antykryzysowymi jest pomaganiem tym, których te tarcze mają chronić. Działania rządu mające zmniejszyć skutki pandemii są raz atakowane jako zbyt późne, za małej skali i nie dość radykalne, a gdy zaczynają działać – są dezawuowane z odwrotnych pozycji. Zamach na majowe wybory jest obroną prawa do wyborów i powodem do dumy. Bezpieczne wybory korespondencyjne są igraniem „kopertami śmierci". Raz mamy domaganie się zamknięcia przedszkoli, szkół i uczelni, innym razem żąda się ich otwierania w gorszej sytuacji epidemicznej. Raz lockdown jest dobry, innym razem zabójczy. Nic nie jest bezwzględnie wartościowe, co sprawia, że doraźny „brud" kampanii powoduje erozję całego systemu moralnego, przenosi się na inne dziedziny życia, wywołuje deprawację na wielką skalę, czyni z kłamstw, oszczerstw i zniesławień pełnoprawne narzędzie uprawiania polityki.

I to jest znacznie gorsze w skutkach niż doraźne brudne ataki w kampanii prezydenckiej. Tym bardziej że brudna kampania w świecie na opak korzysta z osłony (zasłony) w postaci zamętu moralnego, jaki wynika z odwrócenia pojęć, ról, znaczeń, wektorów czy wartości moralnych, łatwiejszego w czasie pandemii. W świecie na opak to, co w kampanii Rafała Trzaskowskiego jest przedstawiane jako pozytywna energia, w istocie ma niszczyć wszystko to, co Trzaskowski i jego zaplecze uznają za konieczne do zniszczenia, z telewizją publiczną na czele. W efekcie

eprasa.pl 1002e58ffc

generowana jest brudna energia, która ma być wykorzystana do zemsty i odwetu na politycznych przeciwnikach, ich sympatykach oraz instytucjach (i pracujących w nich ludziach), którymi zarządzają.

ATAK NA POCZUCIE BEZPIECZEŃSTWA

Narzędziem brudnej kampanii w 2020 r. jest atak na szeroko rozumiane poczucie bezpieczeństwa. Nieprzypadkowo ich celem ze strony zwolenników i zaplecza Rafała Trzaskowskiego stali się, obok Andrzeja Dudy, minister zdrowia Łukasz Szumowski oraz minister aktywów państwowych, wicepremier Jacek Sasin. Szumowski jest kluczową postacią w walce z pandemią, więc atak na niego ma zburzyć poczucie bezpieczeństwa epidemicznego i szerzej zdrowotnego. Z kolei Jacek Sasin odpowiada za materialne i logistyczne zaplecze walki z pandemią, więc atak na niego również jest próbą zachwiania poczuciem bezpieczeństwa, wzniecaniem lęków, a potem oskarżeń, że państwo nie jest przygotowane do zwalczania pandemii, a w efekcie grozi nam jakiś armagedon, choć nic takiego się nie dzieje.

Ma to tak zdestabilizować społeczeństwo, aby stworzyć popyt na wybawcę, a nim ma być oczywiście Rafał Trzaskowski. Nieważne, jak bardzo szkodliwe mogą być działania uderzające w poczucie bezpieczeństwa Polaków. To samo dzieje się na poziomie polityki zagranicznej i obronnej. Brudna kampania Trzaskowskiego dotyka strategicznego sojuszu z USA (pod pretekstem sympatyzowania z ofiarami nowej fali rasizmu w USA), także militarnego. Nieprzypadkowo Trzaskowski o tym sojuszu właściwie nic nie mówi. Podlizując się Brukseli i innym europejskim stolicom, uczestnicząc w przeszłości w tworzeniu różnych „dokumentów" umożliwiających ataki na Polskę i „mrożenie" wspólnotowych środków dla naszego kraju, musi grać na unijnych sprzymierzeńców. Z tego powodu nie może powiedzieć nic dobrego o USA ani prezydencie Trumpie.

SZKARADNA MASKA Z PRZYKLEJONYM UŚMIECHEM

Ważną częścią brudnej kampanii Rafała Trzaskowskiego jest demonstracyjne obrażanie prezydenta Andrzeja Dudy. O głowie państwa w tej kampanii mówi się jako o „długoPiSie", „marionetce", „kukiełce", „kłamcy", „podnóżku prezesa" (niecenzuralnych obelg nie warto przytaczać). Te obraźliwe określenia mają pokazywać mały format obecnej głowy państwa. Na tym tle Rafał Trzaskowski ma być formatem wielkim, wręcz międzynarodowym, choć na razie nie ma najmniejszych dowodów, żeby zaistniał w świadomości politycznych elit na świecie jako ktoś, o kogo istnieniu warto cokolwiek wiedzieć.

Ta megalomania żywiąca się pogardą dla obecnej głowy państwa ma być lekarstwem na europejskie i światowe kompleksy zaplecza i zwolenników Rafała Trzaskowskiego. I zapewne na kompleksy jego samego, skoro ma tyle samo lat co Andrzej Duda, a osiągnięcia jednak mocno skromne. Chyba że za takie uznać zrobienie szamba z Wisły czy miejskiego parku z palet na placu Bankowym.

> Kampania Rafała Trzaskowskiego opiera się przede wszystkim na stworzeniu świata na opak, gdzie wszystko jest swoim przeciwieństwem, a sensy i znaczenia są odwrócone. To powoduje erozję całego systemu moralnego, przenosi się na inne dziedziny życia, wywołuje deprawację na wielką skalę, czyni z kłamstw, oszczerstw i zniesławień pełnoprawne narzędzie uprawiania polityki

Brud kampanii Trzaskowskiego w odniesieniu do prezydenta Andrzeja Dudy coraz częściej zamienia się jednak w groteskę. Postponując i pomniejszając rolę oraz samodzielność prezydenta Andrzeja Dudy, Rafał Trzaskowski postanowił nie odnosić się do niego, lecz bezpośrednio do Jarosława Kaczyńskiego. Z tego powodu poczuł się np. uprawniony do recenzowania listu prezesa PiS (z 9 czerwca 2020 r.) do członków partii: „Strach, strach i jeszcze raz strach". Oczywiście chodzi o strach przed wielkim mężem stanu Rafałem Trzaskowskim. Problemem jest to, że ta brudna groteska wystawia Trzaskowskiego na śmieszność: konia kują, żaba nogę podstawia. To tak, jakby porównywać (przy całej sympatii dla tego zespołu) A-klasową drużynę LZS Sudety Dziećmorowice z Barceloną, Realem Madryt albo Bayernem Monachium. Śmieszność nie jest jednak ważna, gdy chodzi o wdrukowanie nie tylko zwolennikom, lecz generalnie opinii publicznej, że jest się w wyższej klasie rozgrywkowej, a wręcz w ekstraklasie. Tylko jeszcze trzeba by mieć jakiś samodzielny dorobek, choćby myślowy. Taka groteska spełnia jednak swoje funkcje, mobilizuje bowiem wyznawców i elektorat, a nawet fanatyzuje, co w PO dokonuje się zawsze, gdy chodzi o Jarosława Kaczyńskiego.

Brudna kampania Trzaskowskiego może być uznana za coś w rodzaju pierwszej polskiej postkampanii (nie tylko dlatego, że ma swego rodzaju dogrywkę). Choćby z tego powodu, że w sposób totalny łamie wszystkie dotychczasowe reguły (nawet gdy już wcześniej w różny sposób były one łamane) i występuje w pełnym przebraniu, spod którego nie widać już nic oryginalnego. A ponieważ jest pierwszą tego typu kampanią, jej skutki są trudne do przewidzenia. Dlatego nie powinno się jej lekceważyć, tym bardziej że brud jest tym, co wybija się ponad wszystko i wszystko oblepia. I ma prowadzić do powszechnego ubrudzenia, w którym żadne zasady nie będą już obowiązywać. A wszystko to pod maską z przyklejonym uśmiechem.

eprasa.pl 1002e58ffc





Już prawie thriller

Po wysłuchaniu wystąpień Trzaskowskiego nie bardzo wiadomo, czy rozumie on w ogóle rolę prezydenta kraju, bo najczęściej przemawia jak premier. Robi przy tym wrażenie, jakby był z kosmosu. Jak przysłany z odległej planety zbawca narodu i długo oczekiwany prorok

Fot. M. Czutko, Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1002e58ffc

Pozycja Andrzeja Dudy w toczącej się kampanii prezydenckiej jest nie do pozazdroszczenia. Jest zwyczajnie arcytrudna. Daleko trudniejsza niż pozostałych kandydatów. Ich można pytać bowiem tylko o obietnice, a urzędującemu prezydentowi powiedzieć „sprawdzam". Sęk w tym, że kończąca się kadencja to ogromny sukces prezydenta i jego otoczenia. Bez dwóch zdań. A głosy mówiące, że Duda to marionetka albo prezydent nieaktywny, należy traktować tak samo, jak stwierdzenie, że Putin to demokrata. Udana współpraca z rządem i większością parlamentarną to jeszcze nie zależność. Warto, aby niektórzy krytycy tej prezydentury wbili sobie to do głów. Po owocach ich poznacie. A nasze skrzynie pełne są fruktów.

NIEATRAKCYJNA NORMALNOŚĆ

W tej sytuacji urzędujący prezydent musi mówić o sprawach ewidentnych, widocznych gołym okiem, obecnych na co dzień. Nie ma wyboru – musi się po prostu chwalić. Ale od razu dodajmy – ma czym, bo skok, który Polska zrobiła, jest na miarę wyczynu Boba Beamona w 1968 r. na olimpiadzie w Meksyku. Tym skokiem jest wejście Polski na ścieżkę normalności. Na ścieżkę, na której jest znakomita redukcja bezrobocia, rozbudowane programy socjalne (czyli właściwa dystrybucja podatków), ogromna redukcja liczby rozmaitych afer i oszustw, znaczące usamodzielnianie Polski od wasalnych relacji z Niemcami i Rosją, realna obecność prezydenta wśród obywateli. Nie bez znaczenia jest też tutaj klasa Andrzeja Dudy. Zupełny brak wpadek typu krzesło w Japonii, bigos w Białym Domu czy zapalenie goleni w Charkowie. To międzynarodowe rozmowy z politykami bez udziału tłumacza, nienaganna kindersztuba, znakomite wystąpienia mówione z głowy, a nie z przygotowanej przez asystentów kartki. Bez wątpienia fundamentem tej normalności jest pełna współpraca prezydenta z rządem.

Czy to wszystko jest czymś nadzwyczajnym? Ależ nie! Tak właśnie wygląda normalność. Chociaż dla czytelników



ALEKSANDER NALASKOWSKI

„Gazety Wyborczej" niekoniecznie. Ale zostawmy ich w ich własnym obskurantyzmie. Są tak wiarygodni jak „ranny" Diduszko.

Ale normalność ma też jedną paskudną cechę. Jest niemal przezroczysta. Kompletnie niefotogeniczna. Pamiętam, gdy jeszcze prowadziłem szkołę, to sukcesywnie zatrudniani nauczyciele byli pod wrażeniem ciszy, zaskakiwały ich nierozwrzeszczane przerwy, brak wiercącego uszy dzwonka, głośnego tupotu dziesiątków stóp. Ale była to atrakcja krótkotrwała. Szybko stawała się niezauważalna i oczywista. Wystarczyło kilka tygodni, aby nauczyciele zapomnieli, z jakiego jazgotu przyszli do naszej szkoły.

Normalność trudno się sprzedaje. Jest z gruntu nieatrakcyjna. Filmy o normalnych ludziach nie są tak ciekawe jak fabuły o gangach, szlachetnych szeryfach i złych koniokradach, rozwodach, zdradach i morderstwach. Bo normalność jest przezroczysta jak szkło. Im bardziej normalna, tym bardziej przypomina przezroczystość kryształu. A mówić o czymś, co jest, a czego nie widać, jest najtrudniej. Bo to mówienie o oczywistości. To nic, że jeszcze niedawno normalność nie była oczywista, żyjemy bowiem teraz, a nie kiedyś tam. I dlatego Andrzej Duda ma niezwykle trudne zadanie. Musi przypominać o tym, co we współpracy z rządem zrobił, a czego się już nie pamięta, jakby było od zawsze. Tutaj też przypomina się anegdota o tym, jak babcia opowiadała wnuczce o głodzie w czasie wojny. A mała po prostu zapytała: „To dlaczego nie poszliście do Biedronki?".

POLITYCZNE SŁUPKI

Wiele lat prowadziłem badania empiryczne. Bywało, że zbiorowości rozpoznawane trzeba było liczyć w tysiącach, a interpretacja wyników wymagała zespołowej burzy mózgów. Kto ciekaw, niech sięgnie po moje wcześniejsze książki. Można mi zatem wierzyć, że wiem, na czym polegają sondaże i jakie kryją się w nich pułapki. A wyniki sondażu, a raczej tego, co podaje się za wynik, są nie tylko polem do manipulacji i pospolitych fałszerstw, lecz także mogą kształtować postawę elektoratu. Spadające poparcie kandydata może na przykład powodować chęć uratowania swojej mocy sprawczej i nieoddanie głosu na tego, który „i tak przegra". Nikt nie chce oddać głosu straconego. Sposób przeprowadzenia sondażu, tembr głosu pytającego, rozłożenie akcentów, kolejność pytań mogą znakomicie wpłynąć na wyniki sondażu. Sondażownie przestały być beznamiętnymi, zimnymi i neutralnymi zespołami badawczymi, a stały się tworami politycznymi, półjawnymi współkreatorami rzeczywistości politycznej. Przecież i tam są tylko ludzie, a nie anioły. Ludzie ze swoimi sympatiami, niekiedy słabi wobec pokus, świadomi siły tego, co robią. Spadek poparcia dla urzędującego prezydenta nigdy przez przemądrzałych komentatorów socjologicznych nie został kompetentnie wyjaśniony. Spadek poparcia o 20 proc. (!) bez zaistnienia jakichś katastrofalnych zdarzeń, wpadek czy gwałtownych zwrotów jest tak tajemniczy, że musi generować pytanie, skąd się ów wynik wziął? Czy zatem z całą pewnością możemy wykluczyć, że nastąpił on głównie w zaprezentowanych wynikach, a nie w realnym świecie opinii?

PRETENDENCI DO FINAŁU

Tylko nieliczni mieli okazję spotkać się osobiście z prezydentem czy innymi kandydatami do tego urzędu. Jeszcze mniejsza, a z perspektywy całego zbioru wyborców wręcz mikroskopijna, grupa miała szansę poznania ich w akcji, w pracy, w realnym działaniu. I tę lukę wypełniają szczelnie media.

Tak naprawdę urzędującego prezydenta poznajemy przez pięć lat

eprasa.pl 1002e58ffc

kadencji. Oceniamy jego wizyty zagraniczne, znamy kroki, jakie podejmuje, inicjatywy, aktywność polityczną na rzecz kraju. Jest on tym samym na wskroś weryfikowalny. Jego kontrkandydatów widzimy wyłącznie jako twory medialne, są oni własnymi słowami. Ale tylko w kampanii. Starają się oni bowiem ukryć przeszłość, zamazać kompromitujące epizody.

I tak Kosiniak-Kamysz chce być w kampanii tygrysem, ale tak naprawdę jest wlokącym się w ogonie ślimakiem, który pozostawił po sobie ślad w postaci ponurych decyzji w rządzie PO-PSL. Im mniej ma punktów w sondażach, tym ostrzej przemawia. A że głos ma okropnie płaczliwy, to w ostatecznym kształcie wychodzi na nieudacznika. Raczej przesunął się już w stronę politycznego folkloru. Hołownia, także kandydat folklorystyczny, udaje, że całym jego dorobkiem nie jest komentowanie zza kulis epizodów w „Mam talent". Ten niedoszły ksiądz, a dzisiaj kandydat, to elokwentny pustak uciekający się do tanich sztuczek socjotechnicznych, takich jak łzy nad konstytucją. Mój Boże, żałosne... Biedroń, mówiąc o Polsce, udaje, że nie łgał o naszym kraju jak najęty w Parlamencie Europejskim, że złamał dane publicznie słowo, że chce tylko wygrać wybory, a do Brukseli się nie wybierze. To niegroźni harcownicy, polityczni figlarze i kandydacie bez szans.

ZADANIE DO WYKONANIA

Niebezpieczny jest natomiast Rafał Trzaskowski. Po usunięciu Kidawy-Błońskiej z roli kandydatki na prezydenta, wybranej w ogólnopartyjnym plebiscycie, został błyskawicznie i już z pominięciem wszelkich procedur, którymi do niedawno chwaliła się Platforma, wysunięty jako kandydat. Jego ewentualny wybór na prezydenta obciążyłby tę partię bardziej niż Rzewuskiego Targowica. W mojej ocenie, podkreślam – mojej, Trzaskowski jest ideologicznym i politycznym ryzykiem. Z jednej strony jest bardzo warszawski. Człowiek z metropolii, z którą mu jednak od początku wyboru na prezydenta stolicy było jakoś nie po drodze. Tu nie idzie nawet o karygodne zaniedbania, o słynne palety wypoczynkowe czy spalarnię śmieci, tu idzie o wręcz manifestacyjne ignorowanie stolicy, o dziwaczne uniki (zwolnienia lekarskie albo urlop w kluczowych momentach). Zachowuje się

> Prezydent Duda musi mówić o sprawach widocznych gołym okiem, obecnych na co dzień. Nie ma wyboru – musi się po prostu chwalić. Ale od razu dodajmy – ma czym, bo skok, który Polska zrobiła, jest na miarę wyczynu Boba Beamona w 1968 r. na olimpiadzie w Meksyku

Trzaskowski jak Henryk Walezy, który od chwili wyboru na króla myślał tylko o tym, aby z Polski zwiać. Odnoszę wrażenie, że Warszawa jest mu głęboko obojętna, że nie dba o swój wizerunek jako jej prezydent. Zatrudnia podsuwanych (?) mu ludzi, lekceważy prawdziwe problemy stolicy i nawet przez chwilę nie troszczy się o to, aby zostawić po sobie jakiś pomnik. Lech Kaczyński, opuszczając warszawski ratusz, odchodził w glorii znaczącego prezydenta, inicjatora budowy Muzeum Powstania Warszawskiego, jednego z najlepszych w tej klasie na świecie. Prezydentura warszawska była dla Kaczyńskiego znakomitą legitymacją do startu w wyborach prezydenckich. Tymczasem dla Trzaskowskiego jest epizodem deligitymizującym. Jego pomnikiem będzie zanieczyszczona Wisła czy hostel dla homoseksualistów. Trzaskowski wydaje się tym nie przejmować.

Jako przyszły prezydent obiecuje zatrzymanie kluczowych dla nas inwestycji. Przekopu Mierzei Wiślanej i budowy multiportu w centrum Polski. Zupełnie tak, jakby w życiu nie miał w rękach mapy Polski, nie widział, z kim sąsiadujemy i co w tym kontekście owe inwestycje znaczą.

Przemawia i zachowuje się tak jak w piosence Młynarskiego szeryf „z zupełnie innej wsi". Po wysłuchaniu jego wystąpień nie bardzo wiadomo, czy rozumie w ogóle rolę prezydenta kraju, bo najczęściej przemawia jak premier. Robi przy tym wrażenie, jakby był z kosmosu. Jak przysłany z odległej planety zbawca narodu i długo oczekiwany prorok. Wsłuchałem się w kilka jego wystąpień i trudno mi oprzeć się wrażeniu, że on zupełnie nie dba o swoją wiarygodność, a obietnice i argumenty, których w tej kampanii używa jako instrumentu, są dobrane niestarannie, wręcz niechlujnie, wyświechtane i jakby pozbawione troski o skuteczność czy oryginalność. Zupełnie tak, jakby swojej siły i szans, a wręcz pewnej wygranej, upatrywał zupełnie gdzieś indziej niż w kampanii wyborczej. Jakby był politycznym cyborgiem.

Jednakże jest w tej strategii słaby punkt, który może się okazać decydujący. O ile Trzaskowski jest uwodzicielem w dużych aglomeracjach, w których tradycyjnie dominuje elektorat lewacki, lewicowy i liberalny, o tyle nie ma najmniejszych szans na prowincji, która jest na jego zaloty zupełnie nieczuła. Zwłaszcza ta od Wisły na wschód. A ta prowincja może wygrać tylko frekwencją, bo tam wysoka frekwencja oznaczać będzie duży odsetek sprzeciwów wobec tej kandydatury. Kandydatury człowieka tak naprawdę znikąd, bodaj nieobliczalnego, jakby wyznaczonego do administrowania przydzielonym mu krajem, o który zadba tak samo jak o Warszawę. Kryje się w tym wszystkim jakaś niebezpieczna tajemnica. Dlatego musimy walczyć do końca.

eprasa.pl 1002e58ffc



Finał będzie zaskoczeniem

O sondażach, zmianie kandydata Koalicji Obywatelskiej, wiarygodności opozycji, doświadczeniu w polityce, obciążającej przeszłości u boku Donalda Tuska i pomyśle na zwycięstwo z Andrzejem Dudą z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

Żałuje pan, że pomógł Platformie przełożyć wybory?

Władysław Kosiniak-Kamysz: Wybory nie zostały przełożone po to, by komukolwiek pomagać, tylko żeby w bezpieczny sposób je przeprowadzić.

Panie prezesie... rozmawiajmy poważnie. Po co Platforma chciała przełożyć wybory?

Nie dokonałoby się to, gdyby nie postawa Jarosława Gowina. I dobrze, że miał odwagę powiedzieć co innego niż jego koalicjanci. Ja też uważam, że 10 maja wybory nie były możliwe do przeprowadzenia, szczególnie w formie korespondencyjnej.

Ale nie o to pytamy. Pan był za przełożeniem tych wyborów, ale nie da się nie zauważyć, że 10 maja był pan w nieporównywalnie lepszym miejscu niż dzisiaj.

Na początku kampanii, w lutym, też byłem w innym miejscu, za dwa tygodnie też będę w innym. Bazarek z sondażami jest bardzo rozedrgany, on moim zdaniem nie opisuje rzeczywistości, tylko ją kreuje. Wyniki wyborów 28 czerwca będą zaskoczeniem dla wielu.

eprasa.pl 1002e58ffc



> Niektórzy próbują stworzyć taką atmosferę, że po stronie opozycyjnej nie powinno być żadnej dyskusji między kandydatami. Nie zgadzam się z tym

Po czym pan tak wnioskuje, jeśli nie po badaniach?

Po tym, że jestem wśród wyborców nie od dwóch–trzech tygodni, tylko od wielu lat. Zdecydowałem się na ten start w listopadzie 2019 r. nie jako opcja ratunkowa. Jestem do tego przygotowany i merytorycznie i, jak widać, wytrzymałościowo. Mój program wynika z rozmów z Polakami, nie został napisany przez jakąś firmę marketingową, która opierała się na fokusach.

Do kogo pan pije? Czy któremuś z kandydatów firma PR wydrukowała program?

[śmiech] Nie wiem... Mnie nie! Ale jeśli ktoś wcześniej nie jeździł po Polsce ani nie spotykał się z ludźmi, to pewnie nie ma takiego jak ja rozeznania w diagnozie, jaką trzeba postawić, i leczeniu, które trzeba zaproponować.

Szymon Hołownia twierdzi, że spotyka się z ludźmi od lat...

Spotkania są różne. Ja odbywałem rozmowy wyborcze, polityczne, merytoryczne w różnych częściach Polski, z różnymi grupami społecznymi. I one dotyczyły problemów i tego, jak je trzeba rozwiązać. Myślę, że tu mam dużo większe doświadczenie niż inni kandydaci, mimo że jestem jednym z najmłodszych.

Co zadziałało po 10 maja? Platformie wystarczyło zmienić kandydata i już humory im dopisują.

Pojawiła się nowa postać, która, co ciekawe, nie jest tak bardzo łączona z PO. Polacy bardziej utożsamiają Rafała Trzaskowskiego z funkcją prezydenta Warszawy niż wiceprzewodniczącego Platformy. To dało pewien oddech, który działacze tej partii poczuli i dobrze spożytkowali. Ciekawe, czy to będzie tylko efekt chwili, bo takie zrywy już w polityce widzieliśmy, a na wynik wyborczy to się nie przekładało. Przypomnę choćby gwiazdę Nowoczesnej i króla sondaży Ryszarda Petru, z którego na końcu drogi zbyt wiele nie zostało.

Dlaczego dziś nie słychać o „śmiercionośnych kopertach"? To było tylko straszenie Polaków?

Jeśli ktoś zmienia swoje zdanie odnośnie do zdrowia i życia, bo liczy na lepszy wynik wyborczy, to na końcu i tak wyjdzie to na jaw. I będzie to nie tylko klapa polityczna, lecz także ogromna strata dla nas jako społeczeństwa.

Dziś po stronie opozycji nie ma zgody. To w naturalny sposób wzmacnia prezydenta Dudę.

Niektórzy próbują stworzyć taką atmosferę, że po stronie opozycyjnej nie powinno być żadnej dyskusji między kandydatami. Nie zgadzam się z tym. Polemizuję z nimi, chyba dosyć skutecznie, skoro sam Donald Tusk to zauważył. Widzę też, że inni kandydaci czerpią ze mnie. Rafał Trzaskowski przedstawia

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1002e58ffc

hasło: „Silny prezydent, wspólna Polska", dwa dni po kolejnej odsłonie mojej kampanii i haśle: „Polska wspólna sprawa". Inspirację ma dobrą, tylko czy u niego to hasło jest wiarygodne? Chociaż jeszcze jemu osobiście byłbym w stanie uwierzyć, ale nie uwierzę Platformie. Nie mam zaufania, bo wiem, że żywią się konfliktem z PiS, w który weszli 15 lat temu i w nim tkwią.

To bardzo panu współczujemy, że przez osiem z tych 15 lat musiał pan żyć w tej koalicji i w tym konflikcie osobiście uczestniczyć.

W tej koalicji były spore różnice, udało się wiele dobrych rzeczy przeprowadzić. Z wielu jestem dumny, ale widzę też niedociągnięcia. I tym się różnimy, że nie jestem bezkrytyczny wobec tych rządów. Czym innym jest koalicja, a czym innym przynależność polityczna. Gdyby PSL miało wtedy 200 posłów, bylibyśmy w innej sytuacji.

Naprawdę uważa pan, że wystarczy powiedzieć: „Było trochę błędów, ale wyciągnęliśmy wnioski", i wyborcy o tym zapomną?

Nie uciekam od odpowiedzialności ani nigdy nie będę się za nikim chował. W polityce bagaż doświadczeń buduje, a nie osłabia. PiS było w koalicji z Samoobroną Andrzeja Leppera i LPR Romana Giertycha i myślę, że też wyciągnęło wnioski. Część rzeczy się wtedy udała, część nie. Nie ma co się tak cofać, bo zaraz dojdziemy do AWS i błędów w decyzji o reformie systemu emerytalnego.

Co dla pana oznacza wyciąganie wniosków? Często pan o tym mówi, jednocześnie zarzuca PiS „zawłaszczanie państwa, partyjniactwo, upokorzenia dla wielu osób, brak możliwości prezentowania swoich poglądów". A przecież to jakby wypisz wymaluj recenzja rządów PO-PSL.

Tu się nie zgodzę. Nie było nigdy takiej sytuacji, w której przez wiele miesięcy nie jestem zapraszany do głównego programu po „Wiadomościach" w telewizji publicznej. Na szczęście ostatnio miałem taką okazję. Nie lał się hejt tak, że ktoś boi się przyjść na spotkanie ze mną, by nie wylecieć z pracy. Boją się zalajkować post na Facebooku, bo są monitorowane strony kandydatów, które ktoś lubi. Ludzie boją się wystartować w wyborach samorządowych, bo są represje i przerzucanie do pracy o 100 km dalej. Tak jest za czasów PiS.

> Nie uciekam od odpowiedzialności ani nigdy nie będę się za nikim chował. W polityce bagaż doświadczeń buduje, a nie osłabia

Chyba pan mocno przesadza. I zapomina, jak cudownie było za PO, gdy ABW wchodziła do redakcji tygodnika „Wprost"?

Nie. I to jest to wyciąganie wniosków. Jeśli nie zmienimy w tym względzie ustroju, że będzie większa odpowiedzialność polityka przed obywatelem, a nie tylko przed szefem partii, to nie wyjdziemy na prostą. Nie lubię takiego mówienia: a bo wyście tyle, a my tylko tyle.

Nie unikniemy tego. To sprawdzanie wiarygodności kandydata, czy sam nie robił tego, co dziś zarzuca konkurentom.

Mogę odpowiadać za siebie, jak pracowało moje ministerstwo, jak współpracowałem z posłami. Pracowały u mnie osoby o różnych poglądach, nikt nigdy nie miał kłopotów z powodu tego, na kogo głosował, czy na jakie spotkania chodził.

Żeby domknąć wątek pana udziału w rządzie Donalda Tuska, przypomnijmy podsłuchaną wypowiedź Pawła Grasia z restauracji Sowa & Przyjaciele, gdy nie mógł się pana nachwalić za „przeprowadzenie dwóch najgorszych historii w wolnej Polsce, po Buzku – reformę 67 i OFE". Odklei się to kiedyś?

Powtórzę: doświadczenie polityka buduje się przez wyciąganie wniosków. Mówiłem już o moich bardzo uznawanych dokonaniach, ale były też, nie ukrywam, sprawy trudne. Diagnoza, którą wówczas postawiliśmy, jest aktualna do dziś. Jest kryzys demograficzny, społeczeństwo się starzeje, pokolenia w latach 30. i 40. XXI w. będą bardzo obciążone, bo będzie mniej rąk do pracy, a więcej osób na emeryturze. Wiele państw w Europie podejmowało wówczas decyzję o wydłużeniu wieku emerytalnego. W Polsce została ona zanegowana, wyborcy dali temu wyraz w wyborach w 2015 r., akceptuję to. Ale co zrobiono przez ostatnie cztery lata? Jakie zachęty stworzono do dłuższej aktywności zawodowej, by nie rosła liczba osób pobierających emerytury poniżej minimalnej? Proponuję zwolnienie pracujących emerytów z podatku. To by pozwoliło ich wspomóc bez obciążania kolejnych pokoleń. To jest postulat, który budzi emocje. Widzę to na prawie każdym moim spotkaniu.

Czy na tych spotkaniach pytają pana, ile to będzie kosztowało?

Gdy Andrzej Duda mówi o 500+, to chyba też go o to nie pytają.

To my zapytamy, ile będzie kosztowała „emerytura bez podatku"?

Ok. 20 mld zł. Musi być sfinansowana z kół napędowych polskiej gospodarki – odnawialnych źródeł energii i postawienia na przemysł zbrojeniowy. Polska armia powinna być silna tym, co produkujemy. Do tego dochodzi uwolnienie energii gospodarczej polskich przedsiębiorstw, stawianie na rodzime i rodzinne firmy. Umieściłbym w tarczy antykryzysowej projekt „punkty za Polskę". Firmy startujące w przetargach publicznych powinny dostawać preferencyjne warunki za to, że płacą podatki w Polsce.

Jak byśmy czytali program Andrzeja Dudy...

Promocja polskich producentów była przez moje środowisko polityczne stosowana o wiele wcześniej niż Andrzej Duda w ogóle zafunkcjonował w polityce.

eprasa.pl 1002e58ffc



To nie do przeprowadzenia przy fetyszu równego dostępu do rynków dla państw członkowskich w Unii. Komisja Europejska nigdy się na to nie zgodzi.

Myślę, że by się zgodziła. To jest ten moment, gdy w związku z koronakryzysem powstają kolejne tarcze i właśnie teraz moglibyśmy z tym wystąpić. Zresztą w tarczach niemieckich czy francuskich też nie ma równości, tamtejsi producenci są na ich rynkach uprzywilejowani i KE się na to zgadza.

Czyli kontynuujemy przekop Mierzei Wiślanej? Tam pracuje 50 polskich firm.

Głosowałem za tym i swoje zdanie podtrzymuję. Poparliśmy ten pomysł właśnie dlatego, że słuchaliśmy wyborców z tamtego terenu.

Dlaczego teraz ta kwestia budzi emocje i tak wyraźnie dzieli kandydatów na prezydenta? Dlaczego Rafał Trzaskowski tego nie chce?

Bo jego chęć do porozumienia jest tylko deklaratywna. W niemal każdej sprawie merytorycznej chce mieć inne zdanie niż PiS i Andrzej Duda. Wychodzi na jaw prawda, że on jednak nie ma wiarygodności i wcale nie jest skory do współpracy.

> Chęć Trzaskowskiego do porozumienia jest tylko deklaratywna. W niemal każdej sprawie chce mieć inne zdanie niż PiS i Duda. Wychodzi na jaw prawda, że on jednak nie ma wiarygodności i wcale nie jest skory do współpracy

Myśli pan, że wyborcy na dłuższą metę uwierzą, że to miły facet, który ma umiarkowane poglądy?

To jest właśnie pytanie o wiarygodność, o to, czy jego postawa wynika z kalkulacji przed tymi wyborami. Wydaje mi się, że dziś cała Platforma schowała gdzieś swoją prawdziwą twarz, którą kreowała przez ostatnie lata. Dziś przywdziała szaty łagodności i spokoju.

A jacy naprawdę są PO i jej kandydat? W ubiegłym tygodniu opisaliśmy go w „Sieci" jako ekstremistę. Bo jeśli odsiać cały jego PR, to się okazuje, że w bardzo wielu sprawach ma poglądy skrajne.

To wasza ocena.

Pan chce w nim widzieć gołąbka pokoju? W swoim największym rywalu? To my tu rzucamy panu koło...

Ale i bez koła potrafię dobrze pływać.

No to płetwy.

Nie robimy jeszcze zanurzenia peryskopowego.

O militariach będzie za chwilę. A tymczasem wróćmy do prezydenta Warszawy.

Platforma jest z PiS w uścisku wzajemnego konfliktu. I to się nie zmieni. Wybór Rafała Trzaskowskiego nie da szansy na współpracę ze środowiskiem,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1002e58ffc

które dziś rządzi. Widzimy nawet, jak ta współpraca kuleje choćby na linii Ministerstwo Pracy–warszawski ratusz. Z tego należy wyciągać wnioski. I możemy słuchać haseł o braterstwie, zgodzie, współpracy, a dzień po wyborach będziemy już mieli co innego.

Wierzy pan, że Rafał Trzaskowski w sferze ideologicznej zmienił poglądy? Jedną z jego pierwszych decyzji po wygranych wyborach w Warszawie był ukłon w stronę środowisk „tęczowych" – podpisanie karty LGBT. Dla PSL to było za dużo, więc wyszliście z Koalicji Europejskiej.

Na pewno podpisanie tej karty było błędem i odbiło się na wyniku Koalicji Europejskiej.

Zaczęło panu doskwierać, że zaczęto na pana mówić „tęczowy Władek"?

To jest nieprawdziwe, więc nie może mnie to boleć. Ale był to moment, w którym się przekonaliśmy – pomimo wezwania wielu obywateli do stworzenia jednej listy – że wspólnota szczytnego celu poprawy pozycji Polski w UE nie wystarcza. Zabrakło wspólnoty wartości. Dlatego dzień po wyborach europejskich podjąłem decyzję o pójściu własną drogą. Trudną decyzję, ale – jak widać – dobrą i opłacalną. Dziś tworzymy nowe środowisko, umiarkowane centrum z ruchami społecznymi, z ruchem Kukiz'15, z Unią Europejskich Demokratów, z przedsiębiorcami, z konserwatystami Marka Biernackiego.

To teraz o niedalekiej przyszłości. Gdy, jak pan mówi, te sondaże zaczną się już wyrównywać...

...z sondażami różnie może być, bywają naprawdę odklejone od rzeczywistości. Ale w finale będzie inaczej, niż dziś się wszystkim wydaje. Spójrzcie na przypadek Słowacji – zresztą ciekawy, bo właśnie wydłużono tam zakaz publikowania sondaży do 50 dni przed wyborami. Zuzanna Čaputová, która w wewnętrznych badaniach miała cały czas niskie poparcie, została prezydentem.

Zupełnie jak Andrzej Duda.

To prawda. A przypomnijcie też sobie casus Pawła Kukiza. Na dwa tygodnie przed wyborami dawano mu maksymalnie 7 proc. I dopiero w ostatniej chwili część sondażowni „uwolniła prawdę". Ostatecznie zdobył prawie 21 proc. głosów.

A zatem gdy w wewnętrznych sondażach Platforma zauważy, że Trzaskowski wcale nie jest taki mocny, zacznie kąsać. Nie obawia się pan, że znów uruchomią przeciw panu np. SokzBuraka, jak wtedy, gdy delikatnie zaczepiliście Małgorzatę Kidawę-Błońską, wytykając jej słowa o wyższości konstytucji nad życiem ludzkim?

> Wydaje mi się, że cała Platforma schowała gdzieś swoją prawdziwą twarz, którą kreowała przez ostatnie lata. Dziś przywdziała szaty łagodności i spokoju

Myślę, że ta kampania będzie ostra wobec mnie ze strony różnych komitetów. Wiedzą, że jestem dla nich zagrożeniem i mam szansę wygrać te wybory.

Nie uważa pan, że takie związki z najbardziej hejterskim miejscem w polskim internecie powinny być dyskwalifikujące? Udowodniliśmy, kto stoi za SokiemzBuraka. Wiemy, że jego twórca i mózg został zatrudniony w warszawskim ratuszu, w jednej z miejskich spółek, w sztabie Kidawy-Błońskiej, w klubie KO, w partii PO. Wszędzie, gdzie się dało.

Potępiam hejt, niezależnie od tego, kto go produkuje.

To dlaczego tak świetnie się mają Wieści24.pl?

Jeśli tam są jakieś hejterskie treści, to muszą się tym zająć powołane do tego instytucje. Każdy portal, również Wieści24, traktuję tak samo. Nie ma mojego przyzwolenia na chamstwo. Ani w telewizji publicznej, ani na żadnym portalu.

Znów pan mówi Rafałem Trzaskowskim. On też się na to nie zgadza, ale współpracuje z SokiemzBuraka.

Ale kto o tym mówi od lat – Trzaskowski czy ja? Czy używałem sformułowań: „pisowska szarańcza", „zdradzieckie mordy", „dorżnąć watahę"? U mnie takich nie znajdziecie.

A pan przeklina w ogóle?

Tak.

To gratulujemy, że udaje się publicznie powstrzymywać. Za to Paweł Kukiz potrafi publicznie zakląć.

I Włodek Czarzasty.

To może przejdźmy na format prezydencki. W nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego jako główne zagrożenie dla Polski parokrotnie jest wymieniona Rosja. Nareszcie ten dokument odpowiada rzeczywistości i należycie opisuje czasy, w jakich się znajdujemy. Zgadza się pan?

Tak, choć w tej strategii brakuje mi jednak zwrócenia uwagi na zagrożenia biologiczne (część została dopisana, gdy pojawił się koronawirus) i związane z cyberatakami. Na tym powinniśmy się skupić i wzmacniać naszą pozycję w NATO, realizując prawdziwe partnerstwo z USA oraz poprawiać naszą rangę w UE. Musimy mieć bezpieczną flankę wschodnią, nie tylko ze względu na bezpieczeństwo nasze, lecz i całej Europy.

Czyli cieszy się pan, że część żołnierzy amerykańskich z Niemiec zostanie prawdopodobnie przerzucona do Polski?

Uważam, że pan prezydent powinien teraz zwołać Radę Bezpieczeństwa Narodowego i powinniśmy o tym porozmawiać.

Ale to dobry kierunek? Przyjdzie pan na tę Radę i co powie prezydentowi?

eprasa.pl 1002e58ffc

Dobry, ale niewystarczający. Bo gwarantem bezpieczeństwa państwa jest wspólnota narodowa, a nie tylko sojusze, nawet najlepsze. Sojusze nas w historii zawodziły, a rozbita wspólnota doprowadzała do tragedii i upadku. Dziś konflikty konwencjonalne są dużo dalej od nas niż np. starcia w cyberprzestrzeni. Wypowiedzenie wojny kłamstwu, fake newsom jest podstawowym celem.

Wojny konwencjonalnej nie można jednak bagatelizować, nawet jeśli gwarantem naszego bezpieczeństwa jest Pakt Północnoatlantycki. Bo wiemy, że gdyby – odpukać – Rosja nas zaatakowała, to zanim na Zachodzie zapadną decyzje o zastosowaniu art. 5, minie wiele tygodni.

Dlatego nie ma mowy o bezpieczeństwie bez szybkiej mobilizacji. I nad tym trzeba pracować. Ale mocniej stawiałbym inne kwestie – niezależność energetyczną, odnawialne źródła energii. Tu nie możemy być uzależnieni ani od Wschodu, ani od Zachodu.

To dobrze, że nie ma pan już u swego boku Waldemara Pawlaka.

Mam. Jest wieloletnim prezesem PSL, byłym premierem, dzięki niemu mogłem zaistnieć w wielkiej polityce.

Tu nas pan zmartwił. Rysujemy panu na tej karteczce wielkimi cyframi: 2037. Wie pan, co to oznacza – propozycję Pawlaka dla Moskwy uzależnienia nas od rosyjskiego gazu do tego roku. Wie pan, co on obiecywał Igorowi Sieczinowi.

A co podpisał minister Jasiński i na co się zgodził bez czytania?

W jakich to się odbywało okolicznościach? W czasie ministra Jasińskiego Gazprom trzymał za gardło całą Europę, a w czasie negocjacji Pawlaka cała Europa negocjowała stawki z Rosjanami. Cała poza nami.

Tu będę zawsze bronił dobrego imienia Waldemara Pawlaka i odwołam się do tego, co dostał w spadku po ministrze Jasińskim. Przypomnę też, że ostatecznie sprawa trafiła do arbitrażu międzynarodowego i udało się obniżyć koszty kontraktu.

Ale to wiceminister aktywów państwowych Janusz Kowalski może dziś triumfować, bo to sukces PiS.

Panowie, możemy długo dyskutować o energetyce.

Bardzo chętnie.

Ale Waldemar Pawlak akurat jest tym, który na odnawialne źródła energii stawiał od wielu, wielu lat. Jeśli on o tym mówił, to inni się z tego śmiali.

A dziś panu doradza?

Oczywiście, jest ważnym politykiem PSL zasiadającym we władzach partii i często z sobą rozmawiamy.

Co panu radzi w kwestiach energetyki?

O tym akurat nie rozmawialiśmy.

A o czym?

O polityce, o kampanii wyborczej.

Jaka jest jego recepta?

Iść swoją drogą i podkreślać swoją tożsamość. Ciekawie rozmawialiśmy też o odmrażaniu gospodarki. Zwracał uwagę, że warto było luzować restrykcje regionalnie. Bo są powiaty – jak Żuromin – w których nie było żadnego przypadku zakażenia. I tam restrykcje nie były potrzebne tak długo.

Jak pan patrzy na Andrzeja Dudę, który wspiera koła gospodyń wiejskich, rozdaje sprzęt dla OSP? Niczym lis w waszym kurniku.

Jeśli to służy mieszkańcom, to dobrze. Ale warto przy tym pokazać, że nie robi tego jako pierwszy. Bo np. ja sam miałem okazję wiele wozów strażackich przekazywać, m.in. ze śp. Wiesławem Wodą, który mnie wprowadzał do polityki. Gwarantowaliśmy środki UE w ramach programu rozwoju obszarów wiejskich dla kół gospodyń, dla inwestycji w kulturę, tradycję wsi itd. Na pewno pamiętają panowie, jak nasz minister Zdzisław Podkański dotował kapele ludowe. Frontalnie go za to atakowano.

To było 20 lat temu. A dziś to kandydat Zjednoczonej Prawicy ma „ten teren".

Ma taką możliwość, bo rządzi. Gdy ja miałem taką możliwość, też to robiłem. Wprowadzałem program aktywności osób starszych, fundusz inicjatyw obywatelskich. Pamiętajmy też, że to się nie przekłada tak łatwo na poparcie w wyborach. My wprowadzaliśmy dopłaty bezpośrednie dla rolników i później nie było z tego powodu jakiegoś wysypu głosów. Ale też nie informowaliśmy w takiej skali jak dziś o tym, co dobrego zrobiliśmy.

O których czasach pan mówi?

Np. nie miałem szans powiedzieć o swoich dokonaniach w resorcie pracy – o rocznych urlopach macierzyńskich, o tysiącu złotych na dziecko, o Karcie dużej rodziny, o 2,5 tys. żłobków...

I tak przez cztery lata ministrowania był pan sekowany? Kto panu zabraniał się chwalić?

Jak pamiętam ówczesne wywiady w telewizji publicznej, nie miałem tam możliwości prezentowania tych rozwiązań.

Czyli tylko zasługi króla Donalda można było opiewać? A prezes Braun zabraniał pytać Kosiniaka o kosiniakowe?

Nie wydaje mi się, by ktoś pisał jakieś nakazy czy zakazy w tych sprawach. Ale możliwości informowania o sukcesach, wsparciu dla wielu grup społecznych, były ograniczone. Nie było zainteresowania tymi tematami. Wyciągnąłem z tego wnioski, że oprócz robienia dobrych rzeczy, trzeba też o nich informować.

Tygrys uczy się całe życie. Skąd się wzięła pana ksywka, ujawniona przez żonę?

Najbliżsi przyjaciele, współpracownicy tak do mnie mówili.

Ale dlaczego?

To z czasów pracy w ministerstwie, gdzie naprawdę trwała nieustająca walka. Trzeba w niej było sprawności i zwinności tygrysa.

eprasa.pl 1002e58ffc



Na początku czerwca udało się sztabowi Andrzeja Dudy przejąć w kampanii inicjatywę narracyjną. Politycy dali do zrozumienia, że skończyły się spory w Zjednoczonej Prawicy, spowodowane przełożeniem wyborów, oraz że zagrożenie epidemiczne jest pod kontrolą. Ponadto ofensywa urzędującego prezydenta przeszła w jednoznaczne światopoglądowe tematy, których bała się opozycja

Kampania na piątym



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Co okazało się zastrzykiem nowej energii sztabu Andrzeja Dudy? – Plan Dudy – odpowiada tygodnikowi „Sieci" poseł Jarosław Gowin, do niedawna wicepremier, obecnie już tylko prezes koalicyjnej partii Porozumienie. Mowa tu o ogłoszonym 6 czerwca planie wielkich inwestycji gospodarczych, które prezydent zapowiedział w Stalowej Woli – symbolicznej stolicy Centralnego Okręgu Przemysłowego, czyli wielkiego projektu gospodarczego przedwojennej Rzeczypospolitej.

Plan Dudy dotyczy inwestycji na czterech płaszczyznach: strategicznej, lokalnej, zdrowotnej i nakładach na środowisko. Ta pierwsza zawiera spektakularne pomysły budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego, systemu gazociągów Baltic Pipe czy przekopu Mierzei Wiślanej, a każda z tych idei doprowadza partie opozycyjne do furii. „Gigantomania" – komentował poseł PO Andrzej Halicki. „Obietnice bez pokrycia" – sugerował „Newsweek". Przeciwnicy podkreślają, że tego typu ogólnopaństwowe projekty nie leżą w kompetencjach prezydenta, ale sztab Andrzeja Dudy był narracyjnie przygotowany do takich zarzutów. Nie na darmo tydzień wcześniej opublikował spot wyborczy pod hasłem „Zgodne rządy czy koalicja chaosu?", argumentujący, że Polska mająca prezydenta i rząd z różnych formacji politycznych nie stworzy żadnego poważnego projektu. Konieczność dobrej współpracy pomiędzy Pałacem Prezydenckim a kancelarią premiera Andrzej Duda podkreślił także 4 czerwca, w 31. rocznicę pierwszych (częściowo) wolnych wyborów.

eprasa.pl 1002e58ffc



Fot. flickr.com/andrzej_duda

biegu

NA PRAWICY KRYZYS ZAŻEGNANY

Ale tego dnia zaplecze polityczne Andrzeja Dudy zyskało jeszcze jeden atut – polityczną spójność. Bo czy głosowanie nad wotum zaufania dla rządu, zgłoszone przez partie ten rząd reprezentujące, nie miało być sygnałem dla struktur partyjnych i dla wyborców, że Zjednoczona Prawica znów jest skonsolidowana i po kryzysie wokół terminu wyborów, znów gra w jednej orkiestrze. Jarosław Gowin zarzeka się w rozmowie z tygodnikiem „Sieci", że nie o to chodziło, ale co innego słyszymy z ust osoby ze sztabu wyborczego prezydenta. – Oczywiście, że to było celem. Wspólne głosowanie miało pokazać, że mówimy już jednym głosem i teraz koncentrujemy się tylko na działaniu, a nie na sporach – mówi polityk. – Chcieliśmy zamknąć ten etap niepokoju i ruszyć do przodu pełną parą – dodaje. Faktycznie, po wotum zaufania dla rządu Porozumienie Gowina opublikowało spot, na którym jej działacze pokazują się jako zaangażowani w kampanię prezydenta, włącznie z osobistym rozwieszaniem bannerów wyborczych. To, że Jarosław Gowin pomniejsza znaczenie sporów z przełomu kwietnia i maja, świadczy tylko o tym, że żadna ze stron nie chce już powtórki z politycznych napięć.

OFENSYWA DUDY

W tym czasie, gdy kampania prezydenta wrzuciła piąty bieg, paliwo ludzi Rafała Trzaskowskiego zaczęło się kończyć. Codzienne powtarzanie, że rząd PiS dał kandydatowi niewiele czasu na zbieranie podpisów i stawianie się w roli osamotnionego Dawida w walce z Goliatem nie mogło starczyć na długo. Kandydat Platformy faktycznie zebrał ponad półtora miliona podpisów, ale gdy jednak 8 czerwca sztab prezydenta Warszawy ogłosił jego hasło wyborcze: „Silny prezydent, wspólna Polska", szumna ofensywa zakończyła się dwiema wpadkami. Najpierw się okazało, że tekst jest nieomal kopią wyborczego hasła prezydenta Lecha Kaczyńskiego z 2005 r., z tym niefortunnym zamienieniem słowa „uczciwa" na „wspólna", a chwilę później internauci wpisujący ten slogan w internecie ze zdumieniem odnotowywali, że na ekranach wyskakuje im... strona prezydenta Andrzeja Dudy! To błyskawiczne wykupienie przez sztab

REKLAMA



43/0520/F

eprasa.pl 1002e58ffc

PiS domeny silnyprezydentwspolnapolska.pl zostało zgodnie odebrane jako refleks i dynamika ze strony ludzi urzędującego prezydenta.

Prawdziwa ofensywa zaczęła się jednak chwilę później – doprecyzowanie pomysłu bonu turystycznego dla rodzin oraz Karta rodziny pozostawiły strategów Trzaskowskiego w tyle. Czy jednak kolejna inwestycja w polskie rodziny nie zrazi innych grup elektoratu? – Sam bon to będą 4 mld zł nie tylko dla rodzin, lecz także dla polskiej branży turystycznej – ucina człowiek ze sztabu Dudy. – A co proponuje druga strona? – pyta retorycznie prawicowy polityk.

NAJWAŻNIEJSZE PYTANIE

Co więcej, zdaje się, że liberałowie wpadli w pułapkę. O ile jest jasne, że przeniesienie sporu na płaszczyznę walki o przywileje dla gejów raczej zniechęca Polaków do kandydata pro-LGBT, o tyle jednak projekt Andrzeja Dudy Karta rodziny wywołał furię lewackich środowisk. Wiele tęczowych organizacji uznało, że wsparcie dla małżeństw z dziećmi to... dyskryminacja gejów i lesbijek. „Karta rodziny uderza w naszą społeczność" – stwierdziło jedno ze stowarzyszeń LGBT na łamach „Gazety Wyborczej", uznając nawet, że wspieranie polskich rodzin może się skończyć... samobójstwami młodzieży o skłonnościach homoseksualnych. „Ile jeszcze dzieciaków ma odebrać sobie życie, żebyście zrozumieli, co robicie?" – pyta dramatycznie Stowarzyszenie „Miłość Nie Wyklucza" na łamach prasy Michnika. I z jednej strony sztabowcy Platformy chcieliby przemilczeć swój entuzjazm dla legalizacji małżeństw homoseksualnych, z drugiej – rozzuchwalone środowiska LGBT trudno powstrzymać.

Atakowanie Karty rodziny jest mało rozsądne. Wbrew propagandzie nie atakuje ona osób homoseksualnych, a jedynie pilnuje „prawa rodziców do decydowania, w jakim duchu będą kształcić swoje dzieci", i nadaje „decydujący wpływ rodziców na formę i treść zajęć dodatkowych w szkołach i przedszkolach". W ten, i tylko w ten, sposób ma być utrzymany „zakaz propagowania ideologii LGBT w instytucjach publicznych".

Rzecz jasna istnieje w Polsce pewne poparcie dla postulatów aktywistów homoseksualnych. W odpowiedzi na Kartę rodziny dziesiątki tysięcy osób na Twitterze zorganizowały akcję pod hasztagiem „dudaisoverparty", sprzeciwiając się zakazowi ideologii LGBT i sugerując, że uderza ona w zwykłych homoseksualistów. Zatem Rafał Trzaskowski stanie przed dylematem, którego obecnie wprost starał się nie formułować – czy jako polityk będzie popierał postulaty o związkach partnerskich dla par jednopłciowych? Do tej pory, pokazując się w mediach od rodzinnej strony i zbywając pytania o Kartę LGBT+ w Warszawie, starał się nie manifestować swojego lewicowego stanowiska w tej sprawie, ale wkrótce nacisk tego elektoratu może spowodować konieczność wyrażenia przez niego jednoznacznej deklaracji, a tym samym narażenie się umiarkowanemu elektoratowi.

Trzaskowski stanie przed dylematem, którego obecnie wprost starał się nie formułować – czy jako polityk będzie popierał postulaty o związkach partnerskich dla par jednopłciowych, czym naraża się umiarkowanemu elektoratowi

DOBRY CZERWIEC?

Przypomnijmy zatem przyspieszenie kampanijne Andrzeja Dudy: 2 czerwca premier Morawiecki wraz z ministrami Szumowskim i Kamińskim organizują przed szpitalem MSW w Warszawie konferencję prasową wyjaśniającą sytuację epidemiczną w Polsce. Od tej pory minister zdrowia zaczyna tłumaczyć w mediach, że brak zarażania poziomego, a jedynie istnienie ognisk choroby zwiększają statystki zachorowań – to sytuacja kontrolowana. 4 czerwca prezydent i premier podkreślają konieczność współpracy, co jest możliwe tylko przy zwycięstwie Andrzeja Dudy. Tego samego dnia przegłosowano wotum zaufania dla rządu, a Porozumienie Jarosława Gowina demonstruje lojalność wobec Zjednoczonej Prawicy. 6 czerwca w Stalowej Woli głowa państwa ogłasza swój plan, który jest krokiem milowym w programie wyborczym. Opozycji pozostaje już tylko komentować i odnosić się do tych pomysłów. 8 czerwca projekt Karty rodziny zapowiada wsparcie dla rodzin i wpływ rodziców na dodatkowe zajęcia w szkołach – zwolennicy LGBT reagują okrzykami o dyskryminacji.

Rysuje się więc wyraźny spór cywilizacyjny – tradycyjna rodzina wobec radykalnych eksperymentów społecznych zachodniej lewicy.

Nie jest jasne, czy Trzaskowski podniesie tęczowy sztandar oficjalnie, czy tylko półgębkiem, czy będzie chciał mobilizować przede wszystkim wielkomiejskich liberałów, czy spróbuje podbić serca Polski powiatowej. Jednak tej ostatniej główny kandydat opozycji nie ma wiele do zaproponowania, Platforma poza metropoliami raczej zwijała państwo, niż proponowała konkretne inwestycje. – Oni naprawdę myślą, że Warszawa to cały kraj. My wiemy, że Polska istnieje także daleko od stolicy – mówi sztabowy polityk prezydenta. Wiara w słuszność misji Andrzeja Dudy jest tu szczera i przekonująca – jeśli Polacy dadzą się do tego przekonać, to obóz niepodległościowy będzie miał szansę przeprowadzić kraj przez trudne czasy.

Reklama | xxx

eprasa.pl 1002e58ffc

Pełna ochrona dla rowerzystów od PZU



Największy polski ubezpieczyciel – PZU – bardzo wiele uwagi poświęca dopasowaniu swojej oferty do rzeczywistego zapotrzebowania Polaków. Jednym z najnowszych efektów tej strategii jest ubezpieczenie pakietowe PZU Rowerzysta, opracowane z myślą o stworzeniu jak najbardziej kompleksowej, a przy tym elastycznej ochrony użytkowników jednośladów

Z badań przeprowadzonych na początku tego roku przez PZU wynika, że jazda na rowerze jest aktywnością rekreacyjną, którą Polacy podejmują najchętniej. Właśnie z myślą o rowerzystach PZU przygotował wyjątkową ofertę. Elastyczna polisa ochroną ubezpieczeniową obejmuje zarówno właściciela jednośladu, jak również jego użytkownika, a działa nawet wtedy, gdy jedynie wypożyczamy rower.

– Z myślą o amatorach jednośladów przygotowaliśmy ubezpieczenie pakietowe PZU Rowerzysta. Składa się ono z kilku ubezpieczeń składowych: od następstw nieszczęśliwych wypadków, odpowiedzialności cywilnej rowerzysty, casco roweru, a więc jego uszkodzenia, zniszczenia lub utraty, i bagażu rowerzysty. Dzięki pełnemu pakietowi klienci PZU mogą się czuć bezpiecznie, zarówno kiedy jadą rowerem na zakupy, jak i podczas wakacyjnej wyprawy – mówi Paweł Żmudzki, dyrektor ds. ubezpieczeń majątkowych w PZU.

Według danych GUS Polacy kupują ponad milion rowerów rocznie, z czego dużą liczbę stanowią jednoślady dla najmłodszych. Boom przeżywa także rynek takich akcesoriów jak siodełka dla dzieci czy kaski, co świadczy o tym, że dla wielu Polaków jazda na rowerze to sport rodzinny. Rosnąca popularność rowerów wiąże się też niestety ze wzrostem ryzyka wypadku. W 2019 r. doszło do 4426 wypadków z udziałem rowerzystów, aż 257 z nich zginęło. Do większości tych tragicznych zdarzeń doszło z powodu nieostrożności kierowców samochodów. Ze zderzenia z kilkunastokrotnie cięższym i szybszym autem rowerzysta ma nikłe szanse wyjść bez szwanku, dlatego też warto ubezpieczyć siebie oraz bliskich od następstw nieszczęśliwych wypadków (NNW).

– PZU zapewnia wsparcie finansowe w przypadku śmierci rowerzysty oraz w sytuacji, w której doznał trwałego uszkodzenia ciała. Z ubezpieczeniem NNW nie trzeba czekać na karetkę – PZU zapewni transport do szpitala. Zwrócimy koszty leczenia oraz koszty zakupu przedmiotów ortopedycznych, a także wypłacimy świadczenie za uciążliwe leczenie. Pomagamy naszym klientom w zorganizowaniu rehabilitacji i opłacamy ją. Zapewniamy dowóz rehabilitanta i pielęgniarki do domu poszkodowanego. W pakiet usług assistance wchodzi domowa wizyta lekarza oraz zrobienie zakupów. Zdajemy sobie sprawę, że wypadek może być traumatycznym przeżyciem dla rowerzysty i jego rodziny, dlatego zapewniamy także naszym klientom wsparcie psychologa – dodaje Paweł Żmudzki.

PZU Rowerzysta zawiera także ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej. W ubiegłym roku amatorzy jednośladów spowodowali 1626 wypadków, w których zginęły 132 osoby. Niezależnie od tego, czy rowerzysta przyczyni się do tragedii, czy tylko zarysuje karoserię auta, PZU zapłaci za szkody.

Warto także odnotować, że z roku na rok kupujemy rowery coraz lepszej jakości. Według badań Polskiego Stowarzyszenia Rowerowego w 2017 r. Polacy wydali na rowery średnio 2263 zł, o 653 zł więcej niż rok wcześniej. Coraz więcej osób przekonuje się, że warto tak drogi sprzęt ubezpieczyć. Dzięki casco roweru PZU zapłaci za szkody wynikające z kradzieży lub uszkodzenia jednośladu podczas wypadku albo na skutek zdarzeń losowych. Można także ubezpieczyć bagaż – sakwy rowerowe i plecak, co przydaje się szczególnie podczas wakacji.

– Polisa, którą przygotowaliśmy dla rowerzystów, jest elastyczna, co oznacza, że ochroną objęta jest osoba wskazana w polisie. W zakresie ubezpieczenia odpowiedzialności cywilnej i następstw nieszczęśliwych wypadków może to być użytkownik roweru, a nie tylko jego właściciel. Wiele osób korzysta z miejskich wypożyczalni rowerowych – polisa OC i NNW działa w tym przypadku. Umowa nie musi być zawierana na cały rok, tylko na przykład na okres wakacji – kończy dyrektor Paweł Żmudzki.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 4/0520/F

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1002e58ffc

Portret ze spiskową teorią w tle

Namalowany przez Jana Matejkę portret prof. Gilewskiego osiągnął rekordową cenę 7 mln zł. To najdroższy obraz, jaki kiedykolwiek sprzedano w polskim domu aukcyjnym. Niektórzy snują teorie spiskowe i nie mogą się pogodzić z zasadą, że obraz jest wart tyle, ile ktoś jest skłonny za niego zapłacić. Nie wiadomo, kto sprzedał, a kto kupił – i chyba nigdy się tego nie dowiemy



MAJA NARBUTT

Bardzo mnie dziwi ta cena. Jest zupełnie nierealna. Trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby tyle dać za ten obraz. Powinnam się cieszyć, że Matejko został tak doceniony, ale obawiam się, że nadmuchuje się bańkę spekulacyjną. Dojdzie do czarnego scenariusza. Kupno dzieł malarstwa polskiego będzie całkowicie poza zasięgiem muzeów – mówi mi dr Barbara Ciciora-Czwórnóg, autorka monografii i licznych prac naukowych poświęconych Matejce.

Jeszcze niedawno wylicytowany teraz na aukcji Polswiss Artu portret Matejki wisiał na ścianie filii Muzeum Narodowego w Krakowie, w Domu Matejki. Jego kierowniczka Marta Kłak-Ambrożkiewicz mówi, że niezręcznie jest jej komentować całą sytuację. Może powiedzieć tylko tyle, że uważa, iż miejsce dzieł malarzy z kanonu klasyki narodowej jest w muzeach narodowych.

W salach muzealnych wiszą często obrazy z dyskretną tabliczką „własność prywatna". Depozyty są korzystne dla dwóch stron – muzeum może pokazywać cenne dzieło, a właściciel, nie wkładając go do sejfu, ma gwarancję, że obraz jest bezpieczny. Poza tym przechowywany w idealnych warunkach i poddawany bezpłatnej konserwacji.

Depozytów było znacznie więcej, jednak w pewnym momencie zaczęto je masowo wycofywać. Czasem obraz wisiał w muzeum kilkadziesiąt lat, lecz po śmierci właściciela spadkobiercy decydowali się wystawić go na sprzedaż.

Z portretem prof. Karola Gilewskiego było inaczej. Trafił do muzeum jako depozyt cztery lata temu, po tym, jak jego właściciel kupił go na aukcji w Wiedniu.

– Tak podrasowuje się obrazy przed sprzedażą. Można wpisać potem do jego historii, że znajdował się w Muzeum Narodowym, to bardzo przeliczalna wartość w oczach nabywców – uważa historyk sztuki i profesor Uniwersytetu Gdańskiego Marcin Kaleciński, doskonale orientujący się w polskim rynku sztuki.

Podobno ostatnim właścicielem obrazu Matejki był kolekcjoner z Poznania. Jednak to tylko przypuszczenia – tajemnica handlowa obejmuje zawsze zarówno osobę, która sprzedaje dzieło sztuki, jak i tę, która je kupuje. Z nie do końca jasnych powodów nawet najbogatsi Polacy zazwyczaj nie chwalą się już swoimi nabytkami.

– Kiedyś było inaczej. O zakupionych obrazach opowiadano nawet na posiedzeniach Polskiej Rady Biznesu, cieszono się nimi. W salach aukcyjnych zasiadały znane osoby, nie wysyłały, jak teraz, swoich przedstawicieli – wspomina Marek Lengiewicz, prezes rady nadzorczej Rempexu.

Jak mówi, ta zmiana wiąże się z zupełnie innym podejściem do dzieł sztuki – kolekcjonerów zastąpili inwestorzy, którzy często po aukcji nie odbierają nawet obrazów, zostawiając je na przechowanie w magazynach domu aukcyjnego. A są one ważną częścią pejzażu polskiego rynku sztuki. Największe ma Desa Unicum – w czeluściach budynku przy warszawskiej ulicy Pięknej kryją się starannie opakowane obrazy i inne dzieła sztuki, umieszczone tam przez właścicieli. Są też VIP-roomy, pomieszczenia, w których dyskretnie można przechowywać różne obiekty i do których wchodzi się po skorzystaniu z czytnika linii papilarnych.

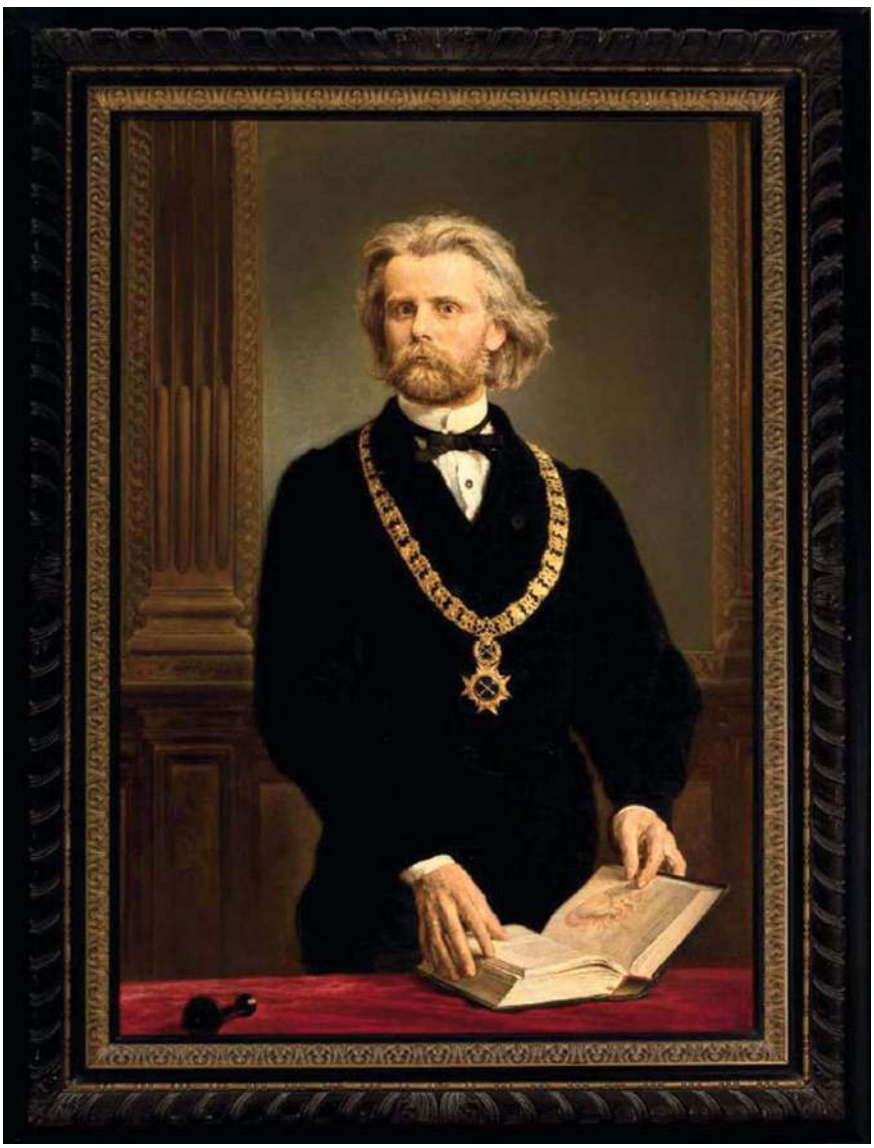
Inwestowanie w sztukę coraz bardziej przypomina inwestycje w inne obiekty, których wartość ma rosnąć. Kiedy czyta się artykuły, jakie ukazały się przed ostatnią akcją Polswiss Artu, na której padł rekord – część z nich to otwarcie materiały promocyjne, część zaś to teksty dziennikarskie – uderza, że pisze się w nich o portfelu inwestycyjnym, korzyściach z inwestowania w sztukę w niepewnych czasach, a także o ogromnych pieniądzach zarabianych na dziełach sztuki.

Brzmi to raczej jak prospekt emisyjny akcji, w którym sprawy związane z artystyczną wartością sztuki właściwie prawie się nie liczą.

SKĄPA MINISTER

Mężczyzna uwieczniony na portrecie Matejki ubrany jest we frak, na szyi ma łańcuch dziekański Uniwersytetu Jagiellońskiego. Otwarta księga medyczna i stetoskop, ułożony na pokrytym bordowym suknem stole, przypominają, że jest lekarzem. Rzeczywiście, profesor Karol Gilewski był

eprasa.pl 1002e58ffc



chirurgiem, i to wybitnym, znanym z pionierskich operacji.

Po jego przedwczesnej śmierci – zaraził się tyfusem plamistym od pacjenta i zmarł w wieku 39 lat – portret zamówiła u Matejki żona profesora Emilia Gilewska.

– Ten portret Matejko namalował na podstawie fotografii i to widać. Zazwyczaj sadzał modela przed sobą i z nim rozmawiał. Starał się wydobyć jego charakter, co mu się rzeczywiście udawało. Tutaj tego zabrakło. Jednak włożył w obraz cały swój talent. Tak jakby chciał ten brak psychologicznego uchwycenia modela zrekompensować warsztatem malarskim, znakomitym wykorzystaniem koloru, doskonałymi pociągnięciami pędzla. Można się tym portretem zachwycić – twierdzi dr Barbara Ciciora-Czwórnóg.

Właściwie ten portret znany był historykom sztuki jedynie z kopii i reprodukcji – na niemal sto lat ślad po nim zaginął. Wystawiono go w Wiedniu w 1915 r., dalsze jego losy były nieznane, do momentu, gdy wypłynął w 2015 r. na aukcji wiedeńskiego domu aukcyjnego Dorotheum, w doskonałym stanie i tej samej ramie.

I tu zaczyna się bardzo ciekawy epizod historii portretu Matejki – dlaczego wtedy nie kupiło go polskie Ministerstwo Kultury?

Cena wywoławcza wynosiła 100 tys. euro, ostatecznie obraz poszedł za 290 tys. Przed aukcją wypatrzył go prof. Stanisław Waltoś, wieloletni dyrektor Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Usiłował zorganizować pieniądze na kupno obrazu dla muzeum. Ale krakowscy biznesmeni, do których apelował, najwyraźniej byli po krakowsku oszczędni i nie sypnęli groszem. A Ministerstwo Kultury, kierowane przez Małgorzatę Omilanowską, odmówiło dotacji.

Tę decyzję trudno usprawiedliwić – obraz twórcy, należącego do czołówki malarzy polskich, bezsprzecznie oryginalny, nie został kupiony za rozsądne pieniądze, zaledwie ułamek ceny, którą osiągnął pięć lat później.

Żaden z historyków sztuki, z którymi o tym rozmawiałam, nie potrafi tej decyzji zrozumieć. Choć niektórzy doskonale wiedzą, z czego ona wynikała.

– To nie były czasy na kupowanie do muzeum. Trend był przeciwny. Mówiono o tzw. deakcesji, czyli sprzedawaniu eksponatów przez muzea w prywatne ręce. Miało to być prowadzone na dużą skalę i służyć zdobyciu środków finansowych. Skończyłoby się fatalnie: wywierano by presję na muzea, aby pozbywać się cennych obiektów, które trafiłyby do osób o nieograniczonym dostępie do gotówki – uważa dr Barbara Ciciora-Czwórnóg.

GRATULACJE DLA SPRZEDAWCY

Obraz jest wart tyle, ile ktoś skłonny jest za niego zapłacić. To zdanie, jak mantrę, powtarzają zawsze marszandzi dzieł sztuki. Jednak pewne transakcje muszą budzić zdziwienie. I tak jest w tym przypadku. Sporo osób zadaje sobie pytanie, jak to możliwe, że obraz kupiony za równowartość 1,3 mln zł już po pięciu latach na aukcji bez publiczności osiągnął cenę pięciokrotnie wyższą?

– Mogę tylko pogratulować temu, kto sprzedał portret. Nabywcy raczej trudno byłoby gratulować tej transakcji. Nie bardzo rozumiem, jakie mogły być motywy jego decyzji – mówi historyk sztuki, profesor Uniwersytetu Gdańskiego Marcin Kaleciński.

Wszyscy historycy sztuki, z którymi rozmawiałam, nastawieni są do

eprasa.pl 1002e58ffc

rekordu aukcyjnego raczej sceptycznie, większość nie wierzy nawet, że pieniądze za obraz wpłyną i zostanie ona ostatecznie sfinalizowana. Bardziej powściągliwi są marszandzi i eksperci, którzy uczestniczą w obrocie dziełami sztuki.

– Nie ma zbyt wielu obrazów Matejki na rynku. Gdyby klient chciał kupić Matejkę, może udałoby się dotrzeć do najwyżej pięciu jego obrazów. Takie rzeczy muszą być bardzo drogie. Niektóre komentarze mogą wynikać z pewnej zawiści środowiska – mówi mi Adam Konopacki, znany ekspert rynku sztuki, od 30 lat zajmujący się badaniem autentyczności obrazów.

Stosunkowo łatwo kupić szkic czy rysunek Matejki. Jednak – jak podkreśla dr Barbara Ciciora-Czwornóg – w obrocie znajduje się bardzo dużo falsyfikatów, które produkował nikt inny jak syn Jana Matejki, Teodor.

Olejne obrazy Matejki rzeczywiście pojawiają się na rynku rzadko. Ale jednak się pojawiają. Kilka tygodni temu Krakowski Dom Aukcyjny zaoferował pochodzące ze zbiorów rodzinnych portrety małżeństwa Pauliny i Antoniego Giebułtowskich, z ceną wywoławczą 700 tys. zł. Nie znalazły nabywcy, choć podobno zostały już sprzedane po aukcji.

– Logika transakcji kupna portretu prof. Gilewskiego z pięciokrotnym przebiciem i za najwyższą cenę, jaką osiągnięto na polskim rynku sztuki, trochę mi umyka. Podobna historia wydarzyła się z instalacją Magdaleny Abakanowicz „Caminado", sprzedanej za olbrzymią cenę 8 mln, kilkakrotnie wyższą, niż osiągnęła na Zachodzie – mówi Marek Lengiewicz.

Kiedy pytam w domu aukcyjnym Polswiss Artu, co sądzą o wątpliwościach dotyczących rekordowej transakcji, otrzymuję gładką odpowiedź, że pojawienie się takiego dzieła na rynku wzbudza uzasadnione emocje i zainteresowanie. Dom aukcyjny cieszy się zaś, że praca Jana Matejki została doceniona przez kolekcjonerów, którzy byli absolutnie zachwyceni możliwością pojawienia się w Polsce zakupu tego dzieła.

Brzmi to tak, jakby obraz sprzedawany w Wiedniu był dla nich niedostępny.

„Nie rozumiem, skąd to pytanie. Oczywiście, że tak" – odpisuje Marzena Karpińska, dyrektor działu sprzedaży Polsswis Artu, gdy nalegam, by potwierdziła, że transakcja rzeczywiście została zrealizowana.

MAGIA NAZWISKA

Gdyby zapytać przeciętnego Polaka o nazwiska znanych mu malarzy, z pewnością wymieniłby Jana Matejkę. Wymieniliby go nawet ci, którzy mieliby duże kłopoty z przypomnieniem sobie nazwisk innych znanych malarzy. Nie trzeba chodzić do muzeum, by zetknąć się z obrazami Matejki, wystarczy otworzyć szkolny podręcznik.

– Matejko jest mitem. Działa magia nazwiska, które opromienia nabywcę. Spływa na niego niezwykły splendor. Kupno obrazu Matejki może być traktowane jak nobilitacja. Wyobrażam sobie, że dla nuworyszy to utwierdzenie się w przekonaniu, że w ten sposób oni i ich rodzina są zupełnie wyjątkowymi członkami elity – mówi, dość złośliwie, historyk sztuki prof. Kaleciński.

Nie przepada za estetyką Matejki, ale przede wszystkim uważa, że nabywcy najdroższych dzieł sztuki na polskim rynku mają na ogół mało wyrafinowany gust.

– Na rynku polskim praktycznie nie funkcjonują na przykład antyczne srebra i porcelana, bo nawet bogaci ludzie nie doceniają tych dóbr. Nie wychowali się w domach, gdzie były takie rzeczy, więc inna jest ich definicja luksusu i piękna. Dokonują czasem dziwnych wyborów, za niewiarygodne pieniądze kupują prace Fangora, którego kariera na rynku sztuki wygląda jak pranie pieniędzy – uważa prof. Kaleciński.

Są oczywiście wyjątki, gdy pieniądze i dobry smak idą w parze – jak mówi Kaleciński, przykładem jest kolekcja rodziny Staraków.

Każdy marszand może jednak opowiedzieć sporo anegdot, z których wynika, że czasem dysponujący sporą gotówką klient kupuje dzieło sztuki w sposób zupełnie nieprzemyślany.

To brzmi jak żart, ale są klienci, którzy mówią na przykład, że chcą kupić Kossaka. Nie precyzują, czy chodzi im o Juliusza, Wojciecha czy Jerzego, i sprawiają wrażenie, jakby było im to doskonale obojętne. Kossak staje się trofeum, na które poluje się, by potwierdzić życiowy sukces. Ale na Kossaka stać właściciela hurtowni, obrazy Matejki to kompletnie inna półka cenowa.

– Myślę, że na kupno obrazu w tej cenie mogła sobie pozwolić całkiem spora grupa. Zaryzykuję, że takich kolekcjonerów jest co najmniej stu. Od lat kupują najdroższe na rynku dzieła sztuki. Stać ich, w końcu wielu zrobiło majątek na prywatyzacji. Ale możliwości finansowe to nie wszystko. Bo w tym wypadku istotne jest też to, kto byłby tak bardzo zainteresowany właśnie Matejką – mówi mi Katarzyna Włodarska, ekspert rynku sztuki.

Ciągle otwarte pozostaje jednak pytanie, dlaczego ktoś miałby kupować za olbrzymie pieniądze obraz, który kilka lat wcześniej był kilkakrotnie tańszy i – jak na ogół uważają eksperci – zdecydowanie za niego przepłacić. Nie mieści się to w logice biznesu i dlatego budzi spore emocje. Bo nawet najbogatsi ludzie nie lubią płacić za dużo i może też dlatego są bogaci.

– Czasem w wypadku aukcji dzieł sztuki w grę wchodzą motywacje pozabiznesowe, na przykład osobiste ambicje i chęć przelicytowania rywala. Legendarna była rozgrywka między dwoma biznesmenami, którzy zachowywali się, jakby walczyli na śmierć i życie, i w końcu wywindowali cenę obrazu syna Jacka Malczewskiego, Rafała, do absurdalnego poziomu miliona złotych – opowiada mi znany historyk sztuki dr Mieczysław Morka, który zasłynął krytyczną oceną kolekcji Porczyńskich i nieubłaganie tępi proceder wprowadzenia do obiegu falsyfikatów.

Trudno mu było uwierzyć, że ktoś rzeczywiście kupił portret Matejki za tak niesłychaną cenę. W końcu podobne historie z fikcyjną sprzedażą się zdarzały: dobrze pamięta, jak się okazało, że obraz Chełmońskiego, rzekomo sprzedany w domu aukcyjnym, okazał się niesprzedany. Wyszło to na jaw przypadkiem, gdy pojawiły się wątpliwości odnośnie do jego oryginalności.

– A jednak wszystko wskazuje na to, że portret prof. Karola Gilewskiego

eprasa.pl 1002e58ffc

rzeczywiście został kupiony. Jego nabywcą jest ktoś z pierwszej dwudziestki najbogatszych Polaków, osoba nowa na rynku sztuki, która postanowiła kolekcjonować cenne obrazy rzadko pojawiające się w obiegu – twierdzi dr Morka.

Podobną informację słyszałam też z innych źródeł, zapewne jest więc prawdziwa. W końcu, jak mówi popularne powiedzenie, kto bogatemu zabroni.

ZAKUPY DLA WNUKA

Jest dość drastyczny, a właściwie detektywistyczny sposób potwierdzenia, że duża transakcja w domu aukcyjnym rzeczywiście się odbyła.

Ślady przetarł pewien biznesmen. Pałał żądzą zemsty na właścicielce domu aukcyjnego, która – jak twierdził – sprzedała mu falsyfikaty. Postanowił więc udowodnić, że rzekome sukcesy w sprzedaży dzieł sztuki niekoniecznie są prawdziwe. Porównał bilans roczny domu aukcyjnego z ogłaszanymi publicznie wynikami aukcji. Okazało się, że się zdecydowanie różnią. Potwierdziło się więc to, co jest tajemnicą poliszynela: stuknięcie młotkiem aukcyjnym i triumfalnie podana cena, za jaką wylicytowano obiekt, nie zawsze oznaczają, że obraz został sprzedany. Biznesmen popędził do prokuratury, by się dowiedzieć, że nie jest to przestępstwem.

– „Robienie cen" rzeczywiście się zdarza. Obraz tak naprawdę nie zmienia właściciela. Wszyscy są zadowoleni: dom aukcyjny dostaje prowizję, w tym wypadku z góry. Właściciel jest zadowolony, bo jego obraz zyskał nową „metkę". Odtąd mówi się o nim, że został sprzedany na aukcji za taką cenę, że można na przykład dostać na niego kredyt lub korzystnie odsprzedać – opowiada jeden z byłych pracowników domu aukcyjnego.

Polski rynek dzieł sztuki jest nietransparentny, mówią to nawet jego uczestnicy.

– Są jakieś powody, że to jedyna dziedzina gospodarki, do której w ogóle nie wkroczył kapitał zagraniczny – przyznaje Marek Lengiewicz, prezes rady nadzorczej Rempexu.

Najdroższe obrazy sprzedane w polskich domach aukcyjnych

1. Jan Matejko „**Portret prof. Karola Gilewskiego**" – **6,92 mln zł**
2. Wojciech Fangor „**M 39**" – **4,72 mln zł**
3. Stanisław Wyspiański „**Macierzyństwo**" – **4,36 mln zł**
4. Jan Matejko „**Zabicie Wapowskiego w czasie koronacji Henryka Walezego**" – **3,7 mln zł**
5. Jacek Malczewski „**Artysta i Chimera**" – **3,6 mln zł**
6. Mojżesz Kisling „**Ingrid**" – **3,481 mln zł**
7. Henryk Siemiradzki „**Fryne na święcie Posejdona**" – **3,45 mln zł**
8. Jacek Malczewski „**Polski Hektor**" – **2,6 mln zł**
9. Henryk Siemiradzki „**Rozbitek**" – **2,4 mln zł**
10. Roman Opałka „**Detal 3083581**" – **2,3 mln zł**

Jeśli ktoś zdecyduje się na inwestowanie w dzieła sztuki, powinien więc robić to z rozwagą i nie wypływać zbyt odważnie na nieznane wody. Domy aukcyjne starają się teraz przekonać ewentualnych klientów, że to idealna inwestycja na trudne i niepewne czasy.

Niekoniecznie jest to prawdą, ryzyko jest większe niż w wypadku innych sposobów inwestowania, bo rynek jest kapryśny i mody się zmieniają.

– Bardzo dobre inwestycje robi się wtedy, gdy kupuje się z myślą o wnukach. Raczej nie pomnaża się w ten sposób szybko pieniędzy – uważa Marek Lengiewicz, który jest nie tylko marszandem, lecz ma też wykształcenie ekonomiczne.

Wszyscy jednak zgadzają się w jednym: pandemia koronawirusa i spodziewany kryzys gospodarczy bardzo ożywiły rynek sztuki.

– Sprzedajemy teraz zdecydowanie więcej, także dzieła, które czekały na odbiorców. Jest spore zainteresowanie bardzo drogimi obiektami. Na aukcji w Agra Art sprzedano aż za 3,6 mln obraz Jacka Malczewskiego, to rekord jeśli chodzi o prace tego artysty. A w USA kupiono za 500 tys. dol., czyli 2 mln zł, obraz Alfreda Wieruszа-Kowalskiego i już wkrótce pojawi się w Polsce. Nigdy nie było takich cen na tego malarza – opowiada mi Adam Chełstowski, właściciel galerii Ad-Arte.

Czas pokaże, czy były to dobre inwestycje. Klasyczna definicja bańki spekulacyjnej mówi, że kiedy rosną ceny jakichś dóbr, najpierw kupują wtajemniczeni. To tak zwana faza ukryta. Kiedy mówi się już publicznie, że należy coś kupować, jest to faza jawna. A ceny zaczynają szybować w górę, by osiągnąć apogeum w fazie manii. Wtedy bańka pęka, a ci, którzy kupili za późno, mogą tylko żałować.

eprasa.pl 1002e58ffc

Las to nie wysypisko

Co roku wywozimy z lasów będących w naszym zarządzie około tysiąca wagonów kolejowych śmieci. Wydajemy na to 20 mln zł. A lepiej byłoby przeznaczyć te pieniądze na coś innego, np. kolejne leśne siłownie, wiaty, tarasy widokowe, czyli miejsca służące rekreacji, turystyce, ludziom

Z Anną Malinowską, rzecznikiem prasowym Lasów Państwowych, rozmawia Aleksandra Jakubowska



Do tej pory oglądaliśmy takie sielskie scenki, które państwo zamieszczali na stronie internetowej Lasów Państwowych, pokazujące baraszkujące misie albo sarenki, jelonki, to wszystko, co tzw. fotopułapki zarejestrowały w lasach. A teraz uderza w nas obrazek ludzi, którzy w środku lasu wywalają z bagażówek kilogramy śmieci, widzimy porzucone palety z zepsutymi jajkami, zdechłe ryby. W te pułapki mają wpadać zwierzęta czy ludzie?

Anna Malinowska: Takie przykre obrazy niestety też zawsze były. Fotopułapki wykorzystujemy bowiem od dawna i w różnym celu. Służą monitoringowi populacji zwierząt w ramach projektów badawczych, czasem ochronie szczególnie cennych pomników przyrody, inne z kolei pomagają ścigać śmiecących, niszczących obiekty i urządzenia turystyczne czy złodziei drewna. Fotopułapki czasem zarejestrują też zwierzęta w ciekawych sytuacjach, ale przede wszystkim ułatwiają strażnikom leśnym identyfikowanie sprawców wykroczeń i przestępstw w lasach, a przy okazji, jak widać, edukują wszystkich na temat właściwego zachowania się w lesie.

Prawie 30 proc. powierzchni Polski zajmują lasy, większość tego terenu jest pod zarządem Lasów Państwowych. Jakie koszty ponosi przedsiębiorstwo w związku z koniecznością sprzątania tego, co ludzie do lasu wyrzucają?

Corocznie wydajemy na uprzątanie śmieci z lasów blisko 20 mln zł, nie licząc kosztów związanych z ustawianiem tablic, prowadzeniem zajęć edukacyjnych, kampanii informacyjnych lub wszelkich innych działań mających zniechęcać do śmiecenia. I na sprzątanie, i na edukowanie przeznaczamy własne środki Lasów Państwowych, bo jesteśmy organizacją, która sama się finansuje i nie korzysta z dotacji, z pieniędzy podatników. Państwo i społeczeństwo przekazały nam w zarząd określone tereny leśne i musimy tak działać, by móc sfinansować realizację wszelkich zadań, jakie wiążą się z zarządzaniem i gospodarowaniem na tym obszarze. Ale na pewno lepiej byłoby móc wydawać pieniądze na coś innego niż sprzątanie śmieci, choćby na

eprasa.pl 1002e58ff

kolejne leśne siłownie, wiaty, tarasy widokowe, czyli miejsca służące rekreacji, turystyce, ludziom. Niestety, choć w naszych nadleśnictwach śmieci są sprzątane regularnie, to co rusz w miejsce wywiezionych śmieciarze wyrzucają kolejne. Gorzej jest w lasach prywatnych, gdzie niekiedy rosną prawdziwe góry śmieci, gdyż – czemu trudno się dziwić – właścicieli nie stać na to, by co chwila sprzątać ze swojego lasu cudze odpadki i opłacać ich wywóz.

Ostatnio w wielu polskich gminach bardzo wzrosły opłaty za wywóz odpadów, w niektórych nawet o 100 proc. Proceder wyrzucania śmieci do lasu stał się przez to powszechniejszy?

Nawet kiedy były niskie ceny za wywóz śmieci, było ich tyle samo, nie widzimy zatem jakiejś większej zależności pomiędzy wzrostem cen a ilością śmieci wyrzucanych do lasów. Wydaje się natomiast, że ostatnio przybyło wyrzucanych do lasów tzw. gabarytów i innych nietypowych odpadów, być może w związku z tym, że wiele punktów selektywnej zbiórki odpadów komunalnych było zamkniętych w czasie obowiązywania ograniczeń związanych z epidemią koronawirusa.

Ci, którzy mają ten brzydki nawyk, ciągle to robią.

Tak, ale robią to także firmy, które w ten sposób tną koszty. Akurat w nadleśnictwie Śnieżka założono fotopułapkę w miejscu, w którym straż leśna znalazła wcześniej poremontowe śmieci. Wzbudziło to podejrzenie, że być może jakaś firma urządziła tam sobie nielegalne wysypisko. Dzięki temu udało się zidentyfikować sprawców, gdy przyjechali z kolejnym ładunkiem śmieci. Sprawa została skierowana do sądu, bo w tym przypadku uznaliśmy, że mandat w wysokości 500 zł, bo taki maksymalnie możemy nałożyć, to za mało.

Jeszcze dodatkowo 500 zł za nielegalny wjazd do lasu.

Tak, razem 1 tys. zł. Ale to jest mało dotkliwa kara, szczególnie dla firmy, dlatego złożyliśmy wniosek do sądu o zastosowanie najwyższego wymiaru kary, czyli 5 tys. zł grzywny. Wystąpiliśmy też o zgodę na upublicznienie wizerunku sprawców i zwrot przez nich poniesionych kosztów w związku z koniecznością utylizacji tych odpadów.



Czy te kary nie są zbyt niskie? Dają efekt odstraszający?

Może dla przeciętnego Kowalskiego 1 tys. zł to odstraszająca kara, ale dla firmy nie jest ona dostatecznie dotkliwa.

Więcej śmieci w lesie wyrzucają przeciętni Kowalscy czy firmy?

Nie mamy takich statystyk. Jeżeli znajdujemy jakieś stare ubrania, lodówkę, telewizor czy wersalkę, to prawdopodobnie wyrzuciła je prywatna osoba, ale zdarzają się odpady ewidentnie z działalności gospodarczej, np. części czy zużyte opony z warsztatów samochodowych, materiały budowlane czy gruz z jakiegoś placu budowy. W nadleśnictwie Czarna Białostocka strażnik leśny zaobserwował, że ktoś w lesie wylał szambo. Zamontował fotopułapkę i po miesiącu nagrał cysternę pewnej lokalnej firmy, która ponownie przyjechała zrzucić w lesie nieczystości. Firma ogłaszała się w sieci, że „tanio wywozi szambo". Tanio, bo po cichu do lasu. Sprawą zajmuje się teraz inspekcja ochrony środowiska, bo wszystko wskazuje, że to była stała praktyka tej firmy. Dochodzenie prowadzi oczywiście także policja. Jednak często takie sprawy są umarzane, mimo dowodów, albo kary są tak niskie, że raczej nie oduczą sprawców takiego postępowania.

Ile tych śmieci w ciągu roku wywozi się z państwowych lasów?

Co roku wywozimy z lasów będących w naszym zarządzie ok. 110 tys. m sześc. śmieci, czyli – mówiąc obrazowo – około tysiąca wagonów kolejowych. Ale przecież wszystkiego nie udaje się wywieźć, zostają gdzieniegdzie kapsle, torebki foliowe, puszki, inne drobne śmieci „codzienne".

Młodzież strajkuje przeciwko smogowi i węglowi, ale nikła jest świadomość, że wyrzucanie śmieci do lasu to działanie szkodliwe dla środowiska. Nielegalne wysypiska nie tylko wydzielają substancje zatruwające ziemię, powietrze, wodę, lecz także szkodzą zwierzętom.

Akurat jeśli chodzi o młodzież, ta świadomość raczej jest i wzrasta. Jako leśnicy faktycznie staramy się uświadomić wszystkim, że śmieci w lesie to nie tylko przykry widok i zapach, lecz także zwiększanie ryzyka pożarowego i realne zagrożenie dla zwierząt. Owady skuszone zapachem resztek słodkiego napoju w butelce wchodzą do niej i tam topią się setkami, zwierzęta połykają kawałki folii czy plastikowe elementy, potem chorują albo giną w męczarniach. Ostatnio leśnicy i ornitolodzy przy okazji obrączkowania ptaków znaleźli w gnieździe dwa młode bieliki splątane kawałkiem sznurka, jaki stosowany jest np. w rolnictwie. Ktoś wyrzucił go gdzieś, może nawet poza lasem, dorosłe bieliki znalazły i przyniosły do gniazda. Bez pomocy ludzi unieruchomione młode nie przeżyłyby.

Nasi potomkowie, jak zawitają do lasu za jakieś 100, 150 lat, to znajdą w nim pozostawione przez nas torebki foliowe, szklane butelki, metalowe puszki... Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak długo to się rozkłada.

Skórka od banana czy ogryzek od jabłka rozłoży się szybko, niektóre śmieci w ogóle.

Jeżeli już rozmawiamy o ochronie środowiska, to jak można pogodzić zapotrzebowanie na drewno, bo przecież to jest główne źródło dochodów Lasów Państwowych, z trwałością lasów? Niektóre organizacje zwące się ekologicznymi zarzucają państwu wręcz rabunkowy wyrąb drzew.

Zużycie drewna wzrasta, zarówno w Polsce, jak i na świecie, zwłaszcza w dobie prób ograniczania zużycia plastiku.

eprasa.pl 1002e58ffc



Zdecydowanie lepiej jest używać drewno, które jest ekologiczne, a przede wszystkim jest surowcem odnawialnym, zamiast paliw kopalnych, jak ropa czy węgiel. Istotne jest, żeby to drewno pochodziło z lasów użytkowanych w sposób zrównoważony, rozsądnie godzący potrzeby przyrodnicze, społeczne i gospodarcze, tak jak to się dzieje w Europie, w tym w Polsce. Przede wszystkim trzeba pamiętać o tym, że w Lasach Państwowych pozyskuje się tylko 70 proc. drewna, które nam rokrocznie w lesie przyrasta. Od końca II wojny światowej przybywa nam lasów nie tylko powierzchniowo, lecz także jeśli chodzi o ich zasobność w drewno. W lasach przez nas zarządzanych rośnie średni wiek drzewostanów, ilość martwego drewna, udział gatunków liściastych – to są stałe trendy od lat, świadczące o ekologizacji gospodarki leśnej. Ponad 90 proc. lasów mamy objęte międzynarodowymi certyfikatami PEFC i FSC – to jeden z najwyższych wskaźników w świecie. Pozyskujemy maksymalnie tyle drewna, ile pozwalają 10-letnie plany tworzone dla każdego nadleśnictwa przez ekspertów, poddawane konsultacjom społecznym, a ostatecznie zatwierdzane przez ministra środowiska. Wśród 430 nadleśnictw Lasów Państwowych wiele realizuje dziś więc plany zatwierdzone lata temu i tak samo będzie w przyszłości. Mitem jest więc przekonanie, z jakim czasem się spotykamy, że ten czy inny rząd arbitralnie reguluje, ile drewna jest pozyskiwane w lesie. Od 1924 r., kiedy powołano do życia Lasy Państwowe, jednym z ich głównych zadań jest właśnie dostarczanie drewna dla gospodarki i obywateli.

> Może dla przeciętnego Kowalskiego te tysiąc złotych mandatu za wyrzucanie śmieci i nielegalny wjazd do lasu to odstraszająca kara, ale dla firmy nie jest ona dostatecznie dotkliwa

W państwowych lasach prawie 40 proc. powierzchni podlega ograniczeniom programu Natura 2000, czyli właściwie bez zgody Komisji Europejskiej niewiele można tam zdziałać. W UE pojawił się kolejny pomysł, by wyłączyć spod gospodarki człowieka 25 proc. powierzchni leśnych. Jakie miałoby to konsekwencje?

Rzeczywiście, około 38 proc. gruntów w zarządzie Lasów Państwowych obejmują obszary europejskiej sieci Natura 2000. Swoją drogą to najlepiej świadczy o bogactwie i walorach przyrodniczych również tzw. lasów gospodarczych. Wokół tego narosło jednak wiele mitów. Obszary naturowe chronią konkretne siedliska i gatunki w sposób wskazany w specjalnych planach. Pozyskanie drewna czy inna działalność ludzka jest tam jak najbardziej możliwa, jeśli nie zagraża tym przedmiotom ochrony, a czasem wręcz konieczna, bo zachowanie pewnych siedlisk i gatunków wymaga np. regularnego koszenia łąk, usuwania drzew i krzewów określonych gatunków itd. Ale w Lasach Państwowych mamy też rezerwaty, strefy ochronne dla wybranych gatunków roślin i zwierząt, użytki ekologiczne, pomniki przyrody oraz najrówniejsze obszary, np. lasy wilgotne i bagienne, gdzie gospodarka leśna jest ograniczona. W sumie ponad 1,25 mln ha lasów w naszym zarządzie, czyli bez mała 18 proc., jest obecnie przynajmniej częściowo wyłączone z pozyskania drewna. W tym co najmniej ponad 0,5 mln ha (7,5 proc.) jest wyłączone z użytkowania całkowicie – to jest więcej niż powierzchnia wszystkich polskich parków narodowych.

A jeśli doszłyby dodatkowe ograniczenia?

O tym decyduje ustawodawca, czyli społeczeństwo przez swoich przedstawicieli. Każde rozwiązanie jest możliwe, tylko musimy brać pod uwagę także konsekwencje ekonomiczne. Bierna ochrona przyrody też wymaga nakładów, tyle że ponosi je bezpośrednio budżet państwa. Mniejsze pozyskanie drewna to z kolei cios w tysiące firm usług leśnych, które wykonują prace leśne, w tym wycinkę, oraz drzewnych, które surowiec przerabiają. W sumie zatrudniają one ok. 350 tys. osób, a takie branże jak meblarska, papiernicza, stolarki budowlanej itp. to filary polskiej gospodarki i eksportu.

Sprzątamy świat, Tatry, mamy Międzynarodowy Dzień Krajobrazu, takie jednodniowe akcje może i zwiększają naszą ekologiczną wrażliwość, ale nie sprawiają, że w lasach mniej śmiecimy. Przecież czysta Polska to nie tylko kraj bez smogu i węgla, lecz także bez śmieci w lasach.

Jako Lasy Państwowe też edukujemy, mówimy o tym, jakie zagrożenia niosą z sobą śmieci, dlaczego ich wyrzucanie się nie opłaca, ale my mamy styczność z tymi najmłodszymi, w przedszkolach czy też szkołach. Mamy nadzieję, że ta edukacja kiedyś przyniesie plon. Umówmy się – to nie dzieci ani młodzież śmiecą, tylko przede wszystkim dorośli, bo to oni robią te remonty albo wyrzucają kilkanaście tysięcy zepsutych jaj do lasu. Niestety mentalność jest taka, że co państwowe, to niczyje, mogę tam wyrzucić śmieci.

Reklama | xxx

eprasa.pl 1002e58ffc

PGNiG Obrót Detaliczny z największym kontraktem w historii spółki na dostawy LNG

Skroplony gaz ziemny, czyli LNG, sprowadzany do Polski dzięki Terminalowi im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, szybko zyskuje popularność wśród producentów i firm przemysłowych działających na terenie Polski. Potwierdza to rekordowa umowa PGNiG Obrót Detaliczny na dostawy blisko 19 tys. ton tego ekologicznego paliwa na potrzeby fabryki LG pod Wrocławiem. To kolejny ważny kontrakt dla największego polskiego detalicznego sprzedawcy gazu ziemnego



Marcin Szczudło, wiceprezes PGNiG Obrót Detaliczny odpowiedzialny za obszar CNG/LNG

Gaz dostarczany do Świnoujścia trafia w większości do polskiej sieci gazowniczej. Część jednak, nadal w postaci skroplonej, jest dystrybuowana za pomocą kriogenicznych zbiorników i cystern. Ten sposób dostarczania gazu cieszy się coraz większym zainteresowaniem przedsiębiorców, którzy potrzebują ekologicznych i elastycznych rozwiązań. Dowodem tego zainteresowania jest kontrakt z LG Electronics – jeden z największych tego typu w historii Grupy PGNiG – podkreśla Jerzy Kwieciński, prezes zarządu PGNiG SA.

Inwestycja koreańskiej firmy LG Chem to największa tego rodzaju fabryka w Europie, a odbiorcami produkowanych tam baterii do samochodów elektrycznych mają być czołowe koncerny motoryzacyjne. Jej znaczenie dla gospodarki podkreślał już w 2017 r. ówczesny wicepremier, a obecnie premier Mateusz Morawiecki podczas wręczania koreańskiej firmie zezwolenia na prowadzenie działalności. W marcu br. LG Chem Wrocław Energy otrzymała z kolei kredyt w wysokości 480 mln euro na kontynuację budowy od Europejskiego Banku Inwestycyjnego.

Gaz LNG, który jest transportowany specjalnymi cysternami, jest w nich utrzymywany w temperaturze około -162°C. Po dotarciu dostawy na miejsce skroplony gaz ziemny LNG trafia do stacji regazyfikacji, która umożliwia zmianę stanu skupienia z ciekłego na gazowy. W ramach tego procesu paliwo zwiększa swoją objętość ponad 600-krotnie.

– Oprócz niewątpliwych zalet skroplonego gazu ziemnego ten kontrakt to również efekt naszej skuteczności sprzedażowej. Dość powiedzieć, że wolumen dostaw przewidzianych dla LG jest ponad dwukrotnie wyższy niż w przypadku naszej poprzedniej największej umowy, podpisanej w ubiegłym roku z firmą działającą w branży chemicznej – podkreśla Henryk Mucha, prezes zarządu PGNiG Obrót Detaliczny.

– W ramach umowy z LG Electronics Wrocław PGNiG Obrót Detaliczny do 2025 r. dostarczy łącznie blisko 19 tys. ton skroplonego gazu ziemnego. To największa umowa sprzedaży LNG w historii spółki – podkreśla Marcin Szczudło, wiceprezes PGNiG Obrót Detaliczny odpowiedzialny za obszar CNG/LNG.

Nic dziwnego, że LG Electronics Wrocław zdecydowało się na wybór tego ekologicznego paliwa do zasilenia swojej fabryki w Biskupicach Podgórnych w województwie dolnośląskim. Paliwo LNG docelowo zasili stację regazyfikacji, którą PGNiG wybuduje przy zakładzie produkcyjnym LG. Zgodnie z planem ma ona zostać uruchomiona na początku grudnia 2020 r. Do tego czasu dostawy LNG będą realizowane do tymczasowej instalacji mobilnej.

– Uruchomienie już teraz w pełni sprawnej mobilnej instalacji regazyfikacji to odpowiedź na potrzeby naszego klienta. Dzięki temu możemy niezwłocznie rozpocząć dostawy paliwa niezbędne do zasilania procesów produkcyjnych. Cieszymy się, że ekologiczny gaz ziemny zyskuje popularność w Polsce. Co ważne, dotyczy to nie tylko przemysłu, lecz również transportu – dodaje Marcin Szczudło.

Skroplony gaz ziemny może być również wykorzystywany do napędzania pojazdów, podobnie jak bardzo popularny w Polsce gaz LPG. Dotyczy to jednak przede wszystkim ciężkiego transportu kołowego, gdzie stanowi najlepszą, ekologiczną alternatywę dla dominującego w tym segmencie oleju napędowego, ponieważ oznacza między innymi dziesięciokrotnie mniejszą emisję cząstek stałych niż w przypadku ON. Może on również służyć do napędzania autobusów, tak jak w Warszawie, gdzie paliwo LNG zasila 35 tego typu pojazdów.

Innym, zyskującym popularność w Polsce, paliwem gazowym jest CNG, czyli sprężony gaz ziemny. Znajduje on coraz szersze zastosowanie w transporcie publicznym i usługach komunalnych. Według szacunków PGNiG w najbliższym czasie po polskich drogach będzie jeździć łącznie ponad 620 autobusów gazowych zasilanych tym ekologicznym paliwem. Oznacza to wzrost liczby tego typu pojazdów o 75 proc. względem roku 2016. Równolegle liczba pojazdów komunalnych zasilanych CNG wzrosła w Polsce od 2016 r. o ponad 130 proc.!

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 8/0620/F

eprasa.pl 1002e58ffc

GAZETKA ŚCIENNA



ANDRZEJ DUDA Z KARTĄ RODZINY, RAFAŁ TRZASKOWSKI Z KARTĄ LGBT

Dwie karty, dwie wizje Polski. W podpisanej przez prezydenta Andrzeja Dudę Karcie rodziny znajdziemy zapowiedzi obrony dotychczasowych i rozwoju kolejnych programów społecznych, w tym 500+, zapowiedzi dalszej pomocy rodzicom samotnie wychowującym dzieci, działań na rzecz rynku pracy przyjaznego rodzicom, walki z przemocą.

Andrzej Duda zadeklarował, że „małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, zgodnie z zapisami Konstytucji RP", że nie da zgody na „adopcję dzieci przez pary homoseksualne". Zapowiedział też „ochronę dzieci przed ideologią LGBT". Ta ochrona ma się przekładać na:

- zakaz propagowania ideologii LGBT w instytucjach publicznych,
- prawo rodziców do decydowania, w jakim duchu będą kształcić swoje dzieci,
- decydujący wpływ rodziców na kształt edukacji seksualnej w placówkach edukacyjnych.

Z kolei Rafał Trzaskowski jako prezydent stolicy podpisał i wdraża Kartę LGBT.

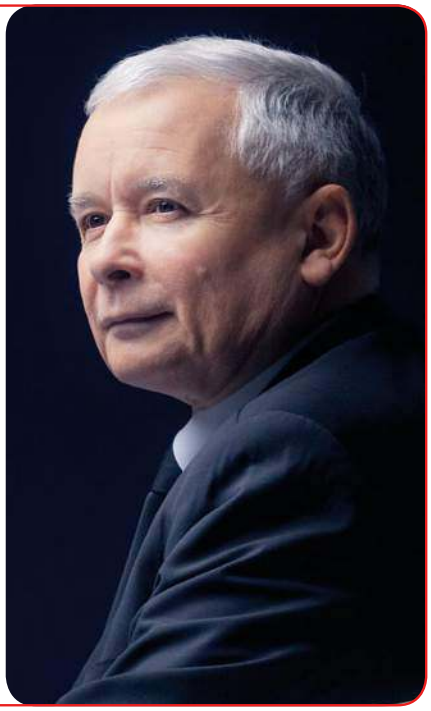
Karta LGBT nadaje ogromne przywileje mniejszościom seksualnym. Promocja ideologii LGBT ma być obowiązkowa w sprawach bezpieczeństwa, kultury, sportu, zatrudnienia, administracji i edukacji. Szkoły zostały zobowiązane do otwarcia się na inicjatywy w zakresie wychowania seksualnego i pod tym kątem mają być monitorowane. Według wielu ekspertów Karta LGBT oznacza, że już czteroletnie dzieci mają być „edukowane seksualnie".

Niedawno Rafał Trzaskowski mówił też o swoim „marzeniu", by móc udzielać „ślubów" związkom homoseksualnym. Jest też politykiem jednoznacznie wspierającym w przeszłości masową migrację do Polski, także z państw muzułmańskich.

Jeśli chcesz pobrać taką gazetkę i wywiesić ją w innym miejscu, wejdź na stronę www.gazetkasciennasieci.pl

eprasa.pl 1002e58ffc

KACZYŃSKI: ZWYCIĘŻYMY! POTRZEBNA MOBILIZACJA



Jarosław Kaczyński podkreśla, że ponowny wybór Andrzeja Dudy na prezydenta leży w interesie Polski. Dlaczego? Bo jest on współtwórcą dobrej zmiany w każdej dziedzinie, a jego porażka grozi powrotem wszystkich najgorszych patologii. „Chodzi więc o odrzucenie systemu głęboko niesprawiedliwego, godzącego w interesy milionów obywateli, prowadzącego do bezrobocia, niskich płac, niskich świadczeń społecznych", także „systemu obciążonego ogromną korupcją i przyzwalającego na wyprowadzanie z Polski wielkich środków za granicę".

Przypomniał też, jak wyglądała Polska za czasów PO-PSL: „Jedynym naprawdę obowiązującym prawem było prawo silniejszego". Teraz gdy udało się zlikwidować lub ograniczyć najgorsze patologie, trzeba pójść dalej. „Polacy muszą w krótkim czasie osiągnąć nie gorszy niż w krajach leżących na zachód od naszych granic poziom życia. Muszą zbudować poczucie własnej wysokiej wartości" – podkreśla Kaczyński, dodając, że zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego oznaczałoby „ciężki kryzys polityczny, społeczny i moralny". „Możemy zwyciężyć, musimy zwyciężyć i zwyciężymy" – przekonuje lider Prawa i Sprawiedliwości.



MORAWIECKI: OTO PLAN DUDY

„W ramach tego planu pod patronatem prezydenta wydamy na inwestycje dodatkowe 30 mld zł" – zapowiedział premier Mateusz Morawiecki.

Podkreślił, że przy inwestycjach takich jak budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego i połączeń kolejowych z nim związanych czy przy przekopie Mierzei Wiślanej powstaje wiele miejsc pracy, a równie wiele powstanie później, po ich zakończeniu.

„To jest nowy, wielki plac budowy. Tak jak cała Polska będzie wkrótce nowym, wielkim placem budowy. To też nowe miejsca pracy w turystyce, to także nowe możliwości handlowe, ekonomiczne dla bardzo wielu przedsiębiorców" – wskazywał szef rządu podczas wspólnej z prezydentem wizytacji miejsca przekopu.

„To jest nasza propozycja wyjścia z tego kryzysu, w który wpadł cały świat" – dodał.

SZYDŁO: POLACY MOGĄ STRACIĆ 500+



„Jeżeli Polacy uwierzą, że to, co wszyscy razem osiągnęliśmy przez ostatnie lata – to podniesienie jakości życia wielu rodzin, to zatrzymanie złodziejstwa, to budowanie pozycji Polski i szacunek dla jej historii – jest już oczywiste i nienaruszalne, to niestety w boleśnie się przekonają, że tak nie jest. Jeżeli wygrają nasi oponenci, wizja Polski ambitnej, solidarnej, inwestującej w rodziny, zostanie zniszczona. Cofniemy się" – ocenia Beata Szydło, była premier, poseł do Parlamentu Europejskiego.

Dodaje: „Nie warto wierzyć kandydatowi opozycji, gdy mówi, że docenia 500+ i inne programy społeczne, bo przez lata ze swoją partią robił wszystko, by tego nie było, szydzili z tego. Podobnie z wiekiem emerytalnym, który drastycznie podnieśli, a przywrócił do ludzkich wymiarów właśnie Andrzej Duda – bo to był projekt prezydencki".

Wedle premier Szydło „Andrzej Duda wygrywa też upartą walką o dobre imię naszej ojczyzny", której nie pozwala obrażać.

eprasa.pl 1002e58ffc



Oczka wodne – temat wcale nie do żartów

Program dofinansowania budowy przydomowych oczek wodnych Moja Woda, o którym mówił niedawno w Sulejówku prezydent Andrzej Duda, to podjęcie problemu bardzo ważnego dla gospodarki i dla przyrody, a nie przyczynek do żartów czy kpin



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jest to temat ważny dla gospodarki, bo nie tylko w rolnictwie deficyt wody czy – mówiąc wprost – wysychanie kraju jest coraz widoczniejszym problemem. Dla przyrody, bo niewielkie naturalne zbiorniki wodne – takie jak oczka wodne – zanikają bardzo szybko, zasypywane podczas inwestycji, osuszane celowo lub z powodu obniżania się wód gruntowych. A wraz z nimi znika wiele gatunków roślin i zwierząt, które takich właśnie siedlisk wymagają.

Drwiny z programu małej retencji są przejawem ignorancji, wieloelementowe zarządzanie zasobami wodnymi, w tym przez małą retencję, jest bowiem problemem palącym. Tego typu żarty świadczą także o krótkiej pamięci, bo do niedawna walka ze smogiem, a więc także rozwiązywanie problemów środowiska naturalnego, była głównym hasłem części polityków.

JAK MA TO DZIAŁAĆ

Dofinansowanie budowy przydomowych oczek wodnych będzie jednym z programów Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej i Ministerstwa Klimatu (jednocześnie trwają prace nad trzema innymi programami retencji). Program ma się rozpocząć w tym roku i trwać do 2024 r. włącznie. Dofinansowywana będzie budowa zbiorników gromadzących wody opadowe i roztopowe, a środki będą rozdzielane przez wojewódzkie fundusze ochrony środowiska i gospodarki wodnej.

Moja Woda jest jednym z elementów polityki wodnej państwa i przemyślanych, logicznych działań w zakresie ochrony środowiska. Tak samo jak dopłacano do wymiany starych pieców, jak odbierano azbest z dachów, finansowano termomodernizację budynków, zakładano akumulatory słoneczne, będzie i z oczkami.

Pieniądze na program ochrony wody, którymi dysponować ma NFOŚiGW, pochodzą z tzw. opłat i kar za korzystanie ze środowiska, czyli opłat wnoszonych zgodnie z zasadą „zanieczyszczający płaci", a także np. z celowych środków unijnych. Są to więc pieniądze przeznaczone właśnie na tego typu działania.

Budowa oczka wodnego przy domu jednorodzinnym lub budynku wielorodzinnym, działającego jako zbiornik gromadzący wody opadowe i wody pochodzące z topnienia śniegu, dofinansowywana ma być kwotą do 5 tys. zł i pokrywać do 80 proc. kosztów inwestycji.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1002e58ffc

ISTOTA RZECZY

Oczka wodne, jak hasłowo nazywa się planowany program, to w rzeczywistości coś znacznie bardziej przemyślanego. Nie mają to bowiem być zbiorniki upiększające ogrody, które napełnia się wodą z wodociągów, a która odparowuje i trzeba ją po raz kolejny uzupełniać, zużywając wodę, zamiast ją chronić.

Zbiorniki budowane w ramach programu będą zasilane wodą opadową czy roztopową, która w przeciwnym razie zniknęłaby w kanalizacji burzowej. Moja Woda przyczyni się jednocześnie do gromadzenia zapasów w momentach nadwyżki i zmniejszy ryzyko podtopień.

Nieprzypadkowo prezydent Duda przemawiał na temat programu w scenerii, którą stanowiły dawne wyrobiska gliny w Sulejówku. System glinianek, które do niedawna podczas intensywnych opadów przepełniały się i stanowiły zagrożenie dla niżej położonych części miasta, został udoskonalony. Wykopano dodatkowy staw, a wszystko połączono systemem kanałów pozwalających na przepływ wody pomiędzy zbiornikami, dzięki czemu woda opadowa zamiast zalewać miasto, jest magazynowana. Wokół zbiorników powstał park i tereny rekreacyjne.

Program Moja Woda zakłada również finansowe wsparcie zakładania instalacji zbierającej wodę np. z rynien oraz instalacji służącej do rozprowadzenia zgromadzonej wody i nawodnienia terenu – lub innego jeszcze jej wykorzystania.

Istotą rzeczy jest więc ochrona i gospodarowanie zasobami wodnymi, a także edukowanie społeczeństwa w tym zakresie. Jeżeli zaczniemy budować zbiorniki gromadzące wodę, rzeczywiście stanie się ona bardziej nasza, będzie czymś ważnym, czego ochrona będzie zależeć od każdego z nas.

W tym programie jest również szansa na dodatkowy, bardzo atrakcyjny bonus. Stworzenie własnego ekosystemu, który stanie się lokalnym ogniskiem bioróżnorodności.

PERŁA PRZYRODY

Przynajmniej część z około 20 tys. zbiorników, które powstaną dzięki programowi, stanowić będą oczka wodne (budowane będą bowiem także zbiorniki podziemne i nadziemne). Oczka wodne, czyli niewielkie zbiorniki, należą do najbardziej zagrożonych i najszybciej zanikających w naturze typów siedlisk w ostatnich dziesięcioleciach, a zwłaszcza w ostatnich latach. Przyczynia się do tego postępująca susza, obniżanie wód gruntowych przez inwestycje wymagające osuszenia terenu, celowe zasypywanie zbędnego „bajora", na którego miejscu można coś postawić, lub traktowanie małych stawów i wypełnionych wodą zagłębień jako wysypisk nierzadko toksycznych odpadów. Każdy z nas po chwili zastanowienia mógłby przypomnieć sobie takie miejsce, które pamięta z dawnych lat. Staw, który fascynował, przyciągał rechotem żab i furkotem kolorowych skrzydeł ważek. Staw, którego dziś już nie ma.

Powstanie tylu nowych oczek będzie więc miało zbawienny wpływ na bioróżnorodność. Dla wielu roślin i zwierząt miejsca takie są niezbędne, aby ich gatunki mogły przetrwać. Choć dorosłe płazy spędzają większą część życia poza środowiskiem wodnym, bez wody nie przetrwają, ponieważ muszą złożyć w niej skrzek i w niej rozwijają się ich larwy. Małe zbiorniki są dla ich potomstwa bezpieczniejsze, nie ma w nich bowiem ryb, dla których kijanki są łakomym kąskiem. To właśnie w takich miejscach, niejednokrotnie w kałużach powstałych w koleinie leśnej drogi lub w podmokłym obniżeniu łąki, roi się od młodych kumaków, żab trawnych, ropuch szarych i paskówek, traszek zwyczajnych, grzebieniastych i górskich czy rzekotek.

Niewielkie zbiorniki o zmiennym poziomie wody są niezbędne wielu bezkręgowcom, chociażby ślimakom zatoczkom, błotniarkom, rzadkim, mikroskopijnym poczwarówkom o filigranowych muszlach, rzadkim małżom, ważkom żagnicom, szablakom, ważkom płaskobrzuchym, wodnym, wielkim chrząszczom kałużnicom z rodzaju *Hydrophilus*, dziwacznym przekopnicom – to tylko znikoma część tego, co najlepiej czuje się w niewielkich zbiornikach wodnych lub wręcz dla takich miejsc jest stworzona, a bez nich ginie.

Tworzenie oczka to tworzenie ekosystemu. Możliwe jest takie zaprojektowanie go i przygotowanie, że zacznie samo funkcjonować, przyciągając kolejne gatunki i napełniając się życiem. Być może się okaże, że dla całego rozległego obszaru oczko będzie jedynym miejscem, dzięki któremu rzadkie stworzenia będą mogły się rozmnażać i żyć.

Oczko powinno być głębokie, na dnie z warstwą mułu, w którym nie tylko zakorzenią się rośliny, lecz także przezimują larwy wodnych owadów. Powinno być obsadzone roślinnością, zarówno podwodną, jak i roślinami nadwodnymi, takimi jak trzcina pospolita, oczeret czy pałka wodna – ważne, aby były to gatunki rodzime (w XIX w. z Ameryki zawleczono do Europy moczarkę kanadyjską, która rozprzestrzeniła się, a jej inwazja do dziś nie została opanowana).

W prawidłowo założonym oczku wodnym wiele zwierząt powinno pojawić się samoczynnie. Być może gdzieś obok ostatnie osobniki populacji z dawnych czasów czekają na jeszcze jedną szansę, a powstanie oczka sprawi, że wyjdą ze swoich kryjówek (ropuchy i żaby bywają zadziwiająco długowieczne i potrafią cierpliwie czekać). Obecność żab z kolei może przyciągnąć węża zaskrońca. Jeżeli chcielibyśmy zasiedlić oczko, pamiętajmy, że wszystkie płazy, gady i wiele innych gatunków zwierząt podlega ochronie prawnej, a pozyskiwanie ich z natury jest nie tylko zabronione, lecz także zagraża przyrodzie.

Im bardziej kompletne jest oczko, tym lepsze są jego zdolności samoregulacji: np. małże filtrują wodę, kijanki zjadają larwy komarów, a dorosłe komary mogą się stać pożywieniem dla nietoperzy, zwłaszcza jeżeli gdzieś obok założy się dla nich specjalne skrzynki.

Ważne jest także otoczenie: dobrze, gdy wokół oczka jest teren zieleni, stanowiący korytarz migracji do i z oczka, a także rozmaite schronienia: kawałki pni drzew, głazy itp. Jeżeli woda z oczka ma służyć do podlewania, należy zadbać, aby instalacja nie zagrażała bytującym w niej zwierzętom, np. kijankom.

Choć stworzenie własnego wodnego ekosystemu wymaga pracy i wyczucia, warto dołożyć starań, bo prawidłowo założone oczko nie tylko będzie gromadzić wodę, lecz sprawi, że cała okolica zacznie tętnić niezwykłym życiem i rozbrzmiewać dawno niesłyszanymi jego głosami.

eprasa.pl 1002e58ffc



Pełzająca rewolucja

Zaskakuje łatwość, z jaką lewicowe protesty zdołały zepchnąć współczesne państwo do narożnika. Liberalne elity, od dawna już głuche na głosy zwykłych obywateli, wykazują się jednocześnie wielką wrażliwością na ideologiczną pretensję lewicy. Trudno więc oprzeć się wrażeniu, że na naszych oczach demokratyczne państwo po raz kolejny kapituluje przed radykałami



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Demonstracje, które wybuchły w Ameryce po śmierci George'a Floyda, tydzień temu zaczęły się rozlewać po całym świecie. Tłumy głównie młodych ludzi, nie zważając uwagi na ograniczenia związane z pandemią, szczelnie wypełniły ulice europejskich miast. I choć w Niemczech, Belgii i Wielkiej Brytanii doszło do przepychanek z policją, służby porządkowe starały się nie interweniować nawet wtedy, gdy dochodziło do aktów wandalizmu. Demonstranci protestowali przecież „przeciwko brutalności policji". Ten slogan praktycznie ubezwłasnowolnił policję, która – nie chcąc dawać manifestującym pretekstu do starć – w wielu miejscach ustępowała im pola.

Europejskie liberalne państwo, które – jak pokazały protesty „żółtych kamizelek" we Francji – nie szczędzi czasem brutalnych pał niezadowolonym, tym razem okazało się całkowicie bezradne.

Oczywiście nie chodzi o to, aby pałować demonstrantów, ale zaskakująca może się wydawać łatwość, z jaką lewicowe protesty zdołały zepchnąć państwo do narożnika. Liberalne elity, od dawna już głuche na głosy zwykłych obywateli, wykazują się jednocześnie wielką wrażliwością na ideologiczne pretensje lewicy. Trudno więc oprzeć się wrażeniu, że na naszych oczach demokratyczne państwo po raz kolejny kapituluje przed radykałami.

REWOLUCYJNA CZUJNOŚĆ

Obecne protesty lewicy nie są żadnym ewenementem. Podobne fale wielokrotnie przechodziły już przez Europę i Amerykę. Wystarczy wspomnieć choćby studencką rewoltę roku 1968 czy sponsorowane przez Moskwę marsze antywojenne z lat 80. Uczestnicy dzisiejszych manifestacji płoną wprawdzie nieco mniejszym rewolucyjnym żarem niż ich poprzednicy, ale też świat mocno

Fot. Martha Graham/Shutterstock

eprasa.pl 1002e58ffc



się zmienił. Pół wieku temu rzeczywiście można było mówić o obyczajowej i społecznej rewolucji, jednak ona już się dokonała. Dlatego akcje – takie jak dzisiejsza – służą raczej wyłącznie podtrzymywaniu „rewolucyjnej czujności".

Trudno też przy tym nie dostrzec, że owa „czujność" wzmaga się, gdy na horyzoncie pojawia się wróg. Do zajść na tle rasowym dochodzi przecież regularnie, zwłaszcza w Ameryce, a George Floyd nie jest jedynym Afroamerykaninem, który stracił życie w trakcie interwencji białego policjanta. Jednak nigdy dotąd konsekwencje takich wydarzeń nie nabierały światowego zasięgu i zwykle wszystko kończyło się na lokalnym szczeblu.

Można oczywiście wyjaśniać to znacznie szybszym niż kiedyś przepływem informacji, globalną wioską itd. Ale to tylko jedna, i to wcale nie najważniejsza przyczyna. Paliwem, które najpierw rozpaliło protesty w Ameryce, a potem przeniosło je za Atlantyk, była nienawiść lewicy do Donalda Trumpa i wszystkiego, co on reprezentuje. Są tu zresztą pewne analogie historyczne, wcześniej okresy największego wzmożenia lewicy przypadały – nieprzypadkowo – na czas republikańskiej prezydentury Richarda Nixona i Ronalda Reagana.

Nie oznacza to, że problem rasowy w Ameryce czy szerzej na Zachodzie w ogóle nie istnieje. Lewica tłumaczy, że dyskryminacja zmieniła dziś charakter i przeniosła się ze sfery instytucjonalnej na nieformalne relacje w społeczeństwie. I że protesty mają o tym przypomnieć. Jednak w żaden sposób nie tłumaczy to ich gwałtowności, zwłaszcza że problem nie pojawił się teraz i był tak samo aktualny, gdy w Białym Domu zasiadał Barack Obama.

Za jego czasów również dochodziło do brutalnych interwencji policyjnych, których ofiarami padali czarni Amerykanie. Jednak wtedy świat układał się bardziej po myśli lewicy: w Białym Domu zasiadał Afroamerykanin (co z tego, że połowiczny), a wkrótce miała go zastąpić kobieta. Nieubłagany proces dziejowy miał wreszcie odesłać biały patriarchat na śmietnik historii. Tak się jednak nie stało.

Dzisiejsze protesty wpisują się więc w walkę ze światową reakcją, która znowu podniosła głowę. To tym należy tłumaczyć ich zasięg i temperaturę. W tym sensie zabazgranie repliki pomnika Kościuszki w Warszawie i żenujące klęczki pod ambasadą amerykańską są nie tylko absurdalną imitacją wydarzeń w Stanach Zjednoczonych lub – jak niektórzy drwiąco skomentowali – kajaniem się polskiego narodu za winy wyrządzone czarnym niewolnikom w Ameryce. To również, w pewnym sensie, front lokalnej wojny z pisowskim reżimem uważanym przez lewicowych radykałów za anachroniczny, kryptofaszystowski i obskurancki.

> Najnowszą falę protestów należy traktować jako kolejny z wielu kroków na drodze do zmonopolizowania państwa przez radykalną lewicę. I to jest krok udany

KOLEJKA DO CAŁOWANIA BUTÓW

Globalny zasięg akcji nadaje jej większą rangę. To międzynarodówka walcząca z faszyzmem o wyzwolenie. Faszystowskie jest państwo i reprezentująca je policja, a jego ofiarą są mniejszości (w tym konkretnym przypadku rasowe, ale równie dobrze mogą być jakiekolwiek inne). Celem jest rozbrojenie państwa i odebranie go „faszystom", a następnie oddanie uciskanym mniejszościom. „Faszyści" mają być z kolei całkowicie wyeliminowani z życia publicznego.

Główne przesłanie towarzyszące protestom jest więc dość prostackie, ale i jego odbiorca nie jest przecież zbyt wyrafinowany. Młodzi ludzie łatwo ulegają indoktrynacji, w czym pomaga nie tylko internet i popkultura, lecz również brak wiedzy i osobistych doświadczeń z totalitaryzmem. Dotyczy to zresztą nie tylko młodzieży z bogatych państw Zachodu, która nigdy nie doświadczyła realnego socjalizmu, lecz również tej z Polski, dla której komunizm to już tylko prehistoria.

Protestująca młodzież nie dostrzega więc żadnego zgrzytu w obrazkach z pogrzebu George'a Floyda, którego pochowano w złotej trumnie i obwołano bohaterem. Nie widzi wielkiej różnicy między pospolitym kryminalistą a Martinem Lutherem Kingiem. Nie ma złych skojarzeń na widok obalanych pomników i redagowania historii na nowo. Demonizuje dawny świat i idealizuje jego rzekome ofiary. Symbolem tych postaw może być filmik zamieszczony na YouTube, w którym grupka zidiociałych amerykańskich dwudziestoparolatków obojga płci ustawia się w kolejce do całowania butów grupce rechoczących radośnie Murzynów.

Część z tych ludzi być może kiedyś zmądrzeje, a część nie. Jednak, mówiąc patetycznie, wszyscy w niedalekiej przyszłości przejmą odpowiedzialność za nasz świat. To, trzeba przyznać, trochę przerażająca perspektywa.

SŁUSZNI I SŁUSZNIEJSI

Młodzi demonstranci protestują dziś przeciwko brutalności policji. Jednak tak naprawdę nie chodzi ani o policję, ani o brutalność jako taką, lecz o selektywne stosowanie represji. Radykalna lewica chce zakreślić dopuszczalny zakres wolności i autorytatywnie rozstrzygać, które postawy i poglądy są – jej zdaniem – dopuszczalne, a które nie są. Chodzi więc o to, aby sterroryzować państwo i zmusić je do przyjęcia optyki radykałów. Dopóki nie uda się tego zrobić drogą parlamentarną (o ile to w ogóle możliwe), dopóty należy wywierać stałą presję na ulicy.

W tym wymarzonym przez radykalną lewicę świecie to biały heteroseksualny mężczyzna powinien mieć się ciągle na baczności, bo reprezentuje typ patriarchalnego ciemiężcy i wyzyskiwacza, dla którego nie będzie już miejsca w przyszłym społeczeństwie. Tacy jak on znajdą się na marginesie i podzielą los

eprasa.pl 1002e58ffc



dawnych liszeńców – przedstawicieli przegranych carskich elit, których bolszewicy pozbawili po rewolucji wszystkich praw.

Nie oznacza to oczywiście, że współczesne liberalne demokracje już jutro przekształcą się w totalitarne dyktatury. Wystarczy jednak, że zmodyfikują dotychczasowe pojęcie równości i uznają, że na równe traktowanie zasługuje jedynie ten, kto równo traktuje innych, a więc – w praktyce – ten, kto bez zastrzeżeń zgadza się na pełną afirmację mniejszościowych postaw i poglądów.

To bardzo sprytna strategia, która pod pozorem troski o równość, tworzy nową hierarchię opartą na światopoglądzie, kulturze i pochodzeniu. Przy czym teraz na samym dole tej hierarchii znajdą się ci wszyscy, którzy – zdaniem radykałów – byli dotąd uprzywilejowani: chrześcijanie, biali konserwatyści, rodziny, a na jej szczycie – pokrzywdzone mniejszości. Prawdopodobnie jednak zbiór pariasów będzie się poszerzał i w dalszej kolejności wylądują w nim również ci, którzy nie dość entuzjastycznie przyjmą nowe reguły.

Niektórzy, zwłaszcza starsi czytelnicy, mogą odczuwać déjà vu. I nic dziwnego, bo coś podobnego już kiedyś w tej części Europy przerabialiśmy.

> Protestująca młodzież nie ma złych skojarzeń na widok obalanych pomników i redagowania historii na nowo. Demonizuje dawny świat i idealizuje jego rzekome ofiary, o których nic nie wie

W HOŁDZIE FLOYDOWI

Masowe demonstracje nie będą przełomem, ale chyba nikt – również na lewicy – nie oczekiwał po nich przełomu, choć ich zasięg zaskoczył nawet organizatorów. Najnowszą falę protestów należy raczej traktować jako kolejny z wielu kroków zrobionych na drodze do zmonopolizowania państwa przez radykalną lewicę.

I jest to krok udany. Donald Trump ograniczył się do tradycyjnych pohukiwań na Twitterze, ale nie odważył się na nic więcej. Minneapolis, w którym rozpoczęły się zamieszki, przypomina dziś miasto po nalocie dywanowym. Pojawiają się również pomysły likwidacji policji w mieście i odbudowy jej na nowych zasadach. Jeśli do tego dojdzie, to będzie to czytelny sygnał, że granicą władzy policji (i państwa) nie są wyłącznie przepisy, lecz również ideologia, która za sprawą lewicy wdziera się w kolejne sfery życia.

Również reakcje polityków europejskich wskazują na to, że wolą oni asekuracyjnie popłynąć z falą, niż jej się przeciwstawiać. Ministrowie policji zarzekali się solennie, że wytropią wszystkich rasistów w jej szeregach. Zewsząd też popłynęły głosy wsparcia dla „słusznych postulatów" i podziękowania dla protestującej młodzieży za jej odpowiedzialną postawę. Ktoś, kto odważyłby się zaryzykować krytyczne uwagi, natychmiast zostałby rozniesiony jako „faszysta" i „rasista". Zaniepokojeni byli jedynie europejscy ministrowie zdrowia, ale i oni – apelując o unikanie zgromadzeń podczas pandemii – natychmiast zastrzegali, że absolutnie i bez żadnych zastrzeżeń popierają cele manifestacji.

Nikt nie zareagował na dewastacje niesłusznych pomników ani na samowolne zmienianie nazw ulic, gdy tabliczki z nazwiskami białych „bigotów" zastępowano nowymi patronami – zwykle czarnoskórymi imigrantami, którzy zmarli za kratkami (w domyśle z powodu policyjnych szykan). Na razie nie palono jeszcze na stosach niepoprawnych książek, ale to wszystko ciągle przed nami.

Na razie, na tle tej pełzającej rewolucji, Polska wydaje się normalnym, wolnym krajem. Być może rzeczywiście jesteśmy mniej zafiksowani ideologicznie niż mieszkańcy zachodniej części Europy, ale – z drugiej strony – zadawnione kompleksy każą nam wiernie podążać ich śladem, czego dowodem jest wspomniane wcześniej leżenie plackiem w hołdzie Floydowi, który pewnie nawet nigdy nie słyszał o takim kraju jak Polska.

Młodzi ludzie, którzy wzięli udział w tym „proteście", bezrefleksyjnie imitują zagraniczne wzorce, bo chcą być tacy sami jak ich europejscy rówieśnicy. I tak samo chcą walczyć z rasizmem, faszyzmem, Ameryką i Trumpem. Brakuje tylko Murzynów, którym można byłoby w geście pokajania wycałować buty.

Jeżeli pójdziemy dalej tym tropem, to po trzydziestu kilku latach od upadku komunizmu zbliżymy się znowu do punktu wyjścia.

Fot. magraphy/Shutterstock

eprasa.pl 1002e58ffc



Lincoln i Kościuszko na celowniku antyrasistów

Wojna pomnikowa, której trzecia, zapewne najsilniejsza, fala dopiero się zaczęła, a teraz powoli wylewa się z Ameryki na cały świat zachodni, jest tak zajadła właśnie dlatego, że krucjata przeciw Donaldowi Trumpowi niesie z sobą tak potężny ładunek ideologicznej wściekłości



JAN ROKITA

Ponoć pierwszy był niejaki Chumani Maxwele, student z zamożnej murzyńskiej rodziny, który w roku 2015 wpadł na pomysł, aby wiadro wypełnione g... wylać na pomnik Cecila Rhodesa, stojący od niemal wieku w centrum uniwersyteckiego kampusu w Kapsztadzie. Ów pomnik najsławniejszego handlarza diamentów, premiera Kolonii Przylądkowej i symbolu brytyjskiego imperializmu czasów królowej Wiktorii, był (jak można się przekonać z licznych fotografii w sieci) trochę stylizowany na słynnego „Myśliciela" Rodina, więc interpretowano go zawsze jako pochwałę triumfu rozumnej cywilizacji nad barbarzyństwem.

Co ciekawe, po przejęciu rządów w RPA przez czarnych w 1994 r. przez przeszło dwie dekady symboliczna

Fot. Michael Candelori / REX / EastNews



postać brytyjskiego imperialisty nie stwarzała problemów dla nowej władzy. W kraju miało być pojednanie zamiast rozliczeń, więc nie „rozliczano" także pomników. A poza tym nowa władza była na tyle przejęta budowaniem przyszłości, że (całkiem podobnie jak w Polsce po odzyskaniu niepodległości) słabo zwracała uwagę na artefakty przeszłości.

Jednak to, że ktoś w końcu zdecydował się tak jawnie znieważyć pomnik niegdysiejszego twórcy Kompanii Południowoafrykańskiej, zadziałało jak otwarcie puszki Pandory. Odtąd monument w Kapsztadzie stał się obiektem nieustannych zniewag, ataków i zniszczeń dokonywanych przez tłum Murzynów, tak że gdy go w końcu kilka tygodni później obalono, trudno było poznać, kogo w ogóle miał upamiętniać. Maxwele tymczasem, niczym jakiś współczesny Herostrates, stał się sławny na całym świecie, nieoczekiwanie znajdując w przeróżnych krajach coraz liczniejszych naśladowców. Tak rozpoczynała się epoka „statue wars" (jak ją miano potem nazwać w USA), czyli niezliczonych wojen pomnikowych prowadzonych pod hasłem „zwalczania rasizmu".

Polowanie na Rhodesa, które zaczęły odtąd śledzić światowe media, wkrótce przeniosło się do Anglii, gdzie sporych rozmiarów jego posąg zdobi fronton oksfordzkiego Oriel College. Nie bez powodu. Rhodes zapisał Oxford University 100 tys. funtów, więc profesura tylko częściowo ugięła się przed agresywnymi demonstrantami. Posąg ochroniono specjalną siatką, ale umieszczono pod nim dziwaczną tablicę, głoszącą, iż to, co robił Rhodes (tzn. budowanie Imperium Brytyjskiego), kłóci się z ideałami oksfordzkiej uczelni.

ESKALACJA POMNIKOWYCH WOJEN

Wkrótce jednak ognisko pomnikowych ataków na historycznych obrońców „białej cywilizacji" przeniosło się do USA, znajdując tam świetny grunt w nigdy niezakończonym sporze o wojnę secesyjną. Dla amerykańskich „globalistów", przywiązanych do tradycji Unii, wojna ta toczyła się o liberalny ideał wolności, przeciw murzyńskiemu niewolnictwu. Ale dla południowych „lokalistów", identyfikujących się z dziedzictwem Konfederacji, szło w niej o coś zupełnie innego: o obronę religijnej i kulturowej odrębności tradycjonalnego społeczeństwa, podbitego w końcu przez chciwie merkantylny kapitalizm Północy. Potężny niegdyś na Południu ruch Lost Cause, we współczesnej politycznej poprawności potępiany jako „negacjonistyczny rewizjonizm", stworzył w Ameryce legendę heroicznie bronionego, ale przegranego, lepszego społeczeństwa, za którą poszła – na przełomie XIX i XX w. – fala budowy sentymentalnych i patetycznych pomników żołnierzy i dowódców Konfederacji, z generałem Lee na czele. To właśnie te monumenty upatrzyli sobie murzyńscy i lewicowi działacze jako doskonałe obiekty ataku. Nieoczekiwanie wygrane w 2016 r. przez Donalda Trumpa wybory dały zaś dodatkowe paliwo polityczne. Demokraci od początku przedstawiali bowiem nowego prezydenta jako „rasistę", a ów epitet wzmacniało to, że Murzyni i Latynosi en bloc poparli w wyborach Hillary Clinton.

> Buntownicy mają szczególną potrzebę okazania pogardy dla wszystkiego, co symbolizuje amerykańską tradycję polityczną i jest otoczone czcią tradycjonalistów

Nie sposób wymienić nawet ważniejszych pomnikowych wojen, jakie zaczęły się po zwycięstwie Trumpa. Te najgłośniejsze, śledzone przez światowe media, rozegrały się w 2017 r. w Nowym Orleanie (Luizjana) i Charlottesville (Wirginia). Pod presją powtarzających się zniewag i ataków przeciw pomnikom generałów Lee i Beauregarda oraz prezydenta Konfederacji Jeffersona Davisa lewicowy burmistrz Nowego Orleanu rozpoczął ich likwidację. Jak również zarządził zburzenie historycznego obelisku upamiętniającego zdobycie miasta przez miejscowych powstańców Białej Ligi w roku 1874, już po klęsce armii Południa. To wywołało silną falę protestów, której motorem byli pełni entuzjazmu – po dopiero co wygranych wyborach – zwolennicy Trumpa. Skończyło się na tym, że burmistrz musiał usuwać pomniki z pomocą snajperów przygotowanych do odparcia strzelaniny.

W niemal identycznej sytuacji trzy miesiące później w Charlottesville w rozruchach wokół pomnika gen. Lee zginęła lewicowa aktywistka. Te z kolei rozruchy nabrały ciężaru politycznego, gdyż demokraci i liberalne media po raz pierwszy przeprowadziły wówczas tak zmasowaną kampanię przeciw Trumpowi jako „rasiście i faszyście", a to z powodu, iż prezydent odmówił jednostronnego potępienia akcji swoich zwolenników, ale – skądinąd zgodnie z prawdą – mówił o „przejawach nienawiści, bigoterii i przemocy z obu stron". Charlottesville to był znaczący punkt w wewnętrznej polityce amerykańskiej. To wtedy antytrumpowa opozycja utraciła wszelkie zahamowania w walce z prezydentem, podejmując kolejne próby usunięcia go z urzędu i budowy swoistej konspiracji antyprezydenckiej wewnątrz administracji.

Gdy idzie jednak o pomniki, to – co ciekawe – większość z tych, które były atakowane, ostała się pomimo wszystko. A likwidacje nastąpiły tylko tam, gdzie dążyli do tego lokalni lewicowi gubernatorzy stanowi albo burmistrzowie. Tak właśnie jak w Nowym Orleanie albo w Filadelfii, gdzie lewicowe władze z satysfakcją usunęły nawet sprzed magistratu pomnik tamtejszego szefa policji i burmistrza z lat 70. XX w. Franka Rizzo, który jako zwolennik praktyki law & order słynął z twardej polityki wobec w większości murzyńskich przestępców.

OBIEKTY AGRESJI

Tym razem jednak w roku 2020, po zabójstwie Murzyna przez białego

eprasa.pl 1002e58ffc



Fot. Ben Birchall / EastNews

policjanta w Minneapolis, pomniki będą mieć generalnie mniejsze szanse na przetrwanie. Najpierw z racji skali zamieszek przetaczających się przez amerykańskie miasta i dawno niewidzianego rozprzężenia panującego pośród zbuntowanego tłumu: przemoc, grabież i zniszczenie są teraz na porządku dziennym. Ale także dlatego, że buntownicy mają szczególną potrzebę okazania pogardy dla wszystkiego, co symbolizuje amerykańską tradycję polityczną i jest otoczone czcią tradycjonalistów. Ten aspekt obecnej rewolty bodaj najlepiej unaocznia gwałtowna zmiana tak charakterystycznego podejścia Amerykanów do narodowej flagi. Kiedy popularny futbolista Drew Brees z New Orleans Saints ośmielił się potępić brak czci dla narodowego sztandaru podczas meczu, rozpoczęła się przeciw niemu wulgarna nagonka, także w jego drużynie piłkarskiej, w efekcie czego słaby psychicznie sportowiec publicznie potępił swoją obronę flagi i odciął się od swoich słów. W takiej atmosferze panującej wśród buntowników jest jasne, że niemal każdy historyczny pomnik może się stać obiektem agresji i zniewagi „antyrasistów".

Lista historycznych postaci oraz symbolicznych amerykańskich świętości, jakie stały się przedmiotem agresji, na zdrowy rozum może się wydać absurdalna. Są na niej na przykład waszyngtońskie monumenty Lincolna (jakkolwiek by było, likwidatora niewolnictwa), Pułaskiego i Kościuszki (autora testamentu na rzecz wykupu Murzynów z niewoli), a także bostońskie pomniki Roberta Goulda Shawa (abolicjonisty i bohatera armii Unii) i sławnego 54 regimentu piechoty z Massachusetts, czyli pierwszego oddziału wojsk Unii złożonego z murzyńskich ochotników. Jest w Cleveland pomnik flagi amerykańskiej, w Duluth (Minnesota) memoriał ku czci Claytona, Jacksona i McGhiego – trzech murzyńskich cyrkowców zlinczowanych w 1920 r. przez rozfanatyzowany tłum, a nawet (Bóg raczy wiedzieć czemu) pomnik ludobójstwa Ormian w Denver, na którym wymalowano wielkimi literami: „Gliny są szatanem".

POLITYCZNY CEL

Tymczasem Trump niezbyt sprawnie radzi sobie z walką z zarazą, która zrujnowała jego wcześniejsze sukcesy w tworzeniu miejsc pracy, doprowadzając do prawie 40-milionowego bezrobocia. Tego rodzaju kryzys społeczny, powstały nagle, i to na kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi, okazał się wyjątkowo podatnym gruntem dla murzyńsko-lewicowej rewolty. Zabójstwo z Minneapolis zadziałało tylko jak zapalnik, który obudził czekające od dawna na taką okazję radykalne ruchy murzyńskie (#Black Lives Matter), kobiece (#Me Too) i anarchistyczne (Antifa – przez Trumpa uznana za organizację terrorystyczną). Ich faktyczny sojusz, wspierany przez demokratów i liberalne media, ma jasny polityczny cel: zablokować w listopadzie ponowny wybór Trumpa.

Wojna pomnikowa, której trzecia, zapewne najsilniejsza, fala dopiero się zaczęła, a teraz powoli wylewa się z Ameryki na cały świat zachodni, jest tak zajadła właśnie dlatego, że globalna, rozprzestrzeniająca się również daleko poza USA krucjata przeciw Trumpowi niesie z sobą tak potężny ładunek ideologicznej wściekłości. Chyba nigdy żaden amerykański prezydent nie budził tak radykalnych namiętności ideologicznych, także poza swoim krajem. Każde słowo Trumpa w obronie amerykańskiego patriotyzmu czy tradycji, nie mówiąc już o groźbach przywrócenia ładu siłą, staje się koronnym świadectwem jego „rasizmu i faszyzmu".

Co prawda rozruchy murzyńskie w Ameryce zawsze miały w historii burzliwy i brutalny przebieg – dość przypomnieć tzw. powstanie Rodneya Kinga w Los Angeles 1992 r. (kilkudziesięciu zabitych) czy też zamieszki w Chicago 1968 r. To, co wyróżnia obecną ruchawkę, to fakt, iż obiektem agresji są martwe pomniki symbolizujące ciągłość narodowej tradycji. Sprawia to, że ta ruchawka jest jak do tej pory znacznie mniej brutalna, niźli bywało w przeszłości. Ale też ujawnia głębszą niż kiedykolwiek wcześniej destrukcję narodowej solidarności Amerykanów (i nie tylko Amerykanów), z furią atakujących dzisiaj swoją tradycję.

eprasa.pl 1002e58ffc

„Dziadek z Wehrmachtu”



ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

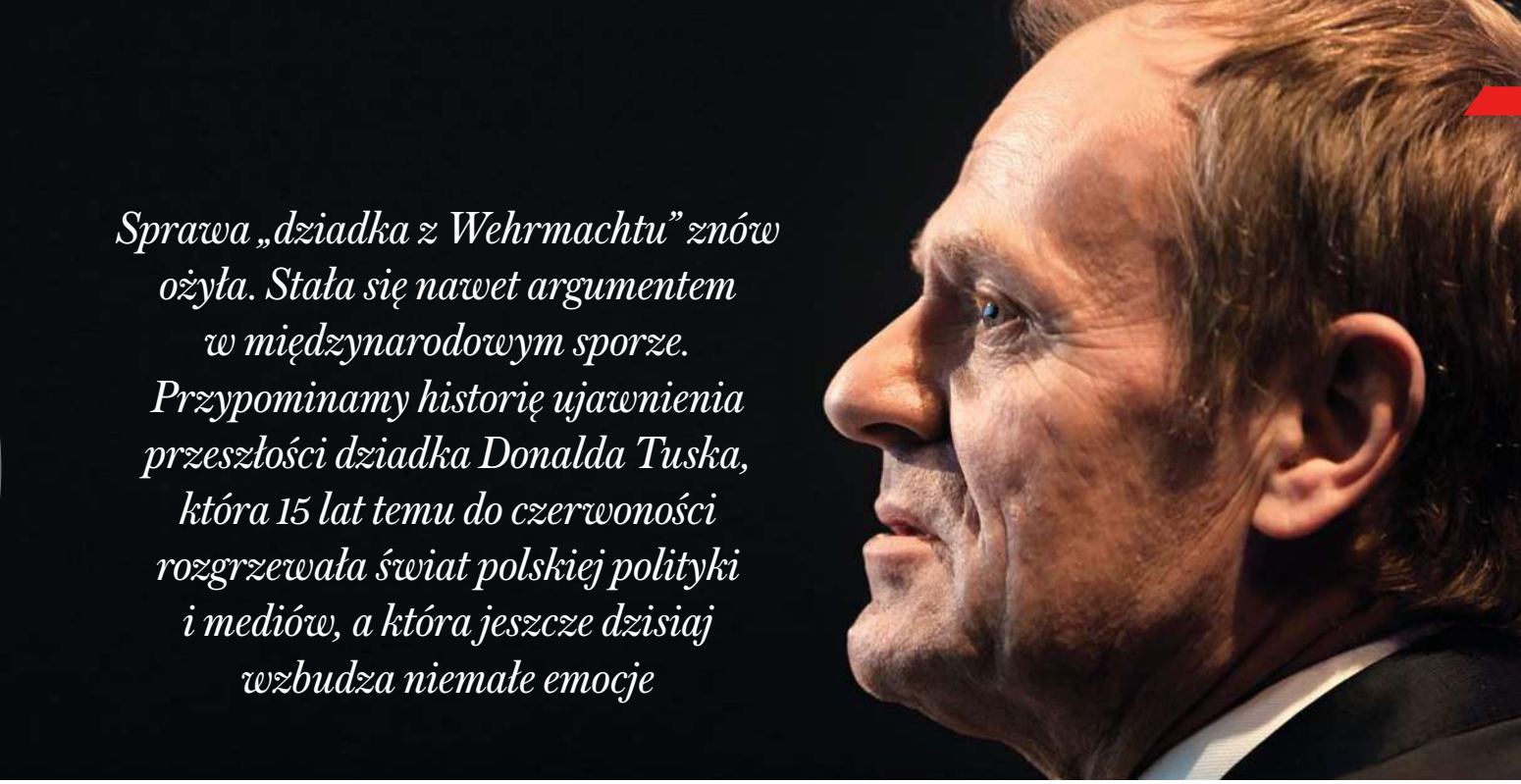
Tym razem asumptem do odkopywania przeszłości rodziny Donalda Tuska stała się jego kwietniowa wypowiedź dla niemieckiego tygodnika „Der Spiegel”. Szef Europejskiej Partii Ludowej zarzucił w niej premierowi Węgier Viktorowi Orbánowi, że jego działania nie mają nic wspólnego z duchem demokracji: „Jestem pewien, że Carl Schmitt byłby dumny z Viktora Orbána” – stwierdził Tusk. Schmitt był prawnikiem i filozofem, którego myśl dała podstawy do budowania nazistowskiego systemu w Niemczech.

Na atak Tuska media węgierskie odpowiedziały przypomnieniem historii „dziadka z Wehrmachtu”, którego krótka służba w szeregach sił zbrojnych III Rzeszy jest już od jakiegoś czasu faktem historycznym. Choć nie wszyscy chcą to przyjąć do wiadomości. W Tuskowo-węgierską dyskusję wtrącił się taboloid „Fakt”, żądając od Budapesztu przeprosin za stwierdzenia tamtejszych mediów. Niewiele wody zdążyło upłynąć w Wiśle, by sprawa przeniosła się z powrotem do Polski. Spoiwem łączącym przeszłość rodziny szefa EPL z bieżącą sytuacją w kraju, zdominowaną przez toczącą się kampanię prezydencką, stała się osoba szefa TVP Jacka Kurskiego. Jego powrót do zarządu telewizji publicznej wzbudził zainteresowanie autorek „Newsweeka”, sztandarowego antypisowskiego tygodnika, Aleksandry Pawlickiej i Elżbiety Turlej. Obie panie z zapałem pochyliły się nad – ich zdaniem – głównym przekazem TVP, którego celem, według anonimowego rozmówcy, rzekomo polityka PiS, ma być wskazywanie słabych stron Rafała Trzaskowskiego. Anonim nic odkrywczego nie powiedział, dopóki nie wypalił: „Tak to wygląda na dziś. Na haki i dziadka z Wehrmachtu przyjdzie pewnie czas w drugiej turze”. I tu autorki „Newsweeka” natychmiast spieszą z wyjaśnieniem: „Kurski wymyślił dziadka z Wehrmachtu dokładnie 15 lat temu w pamiętnym starciu wyborczym Lecha Kaczyńskiego z Donaldem Tuskiem. I choć nieoficjalnie przyznawał, że »ten dziadek to lipa, ale ciemny lud to kupi«, odegrał kluczową rolę”. Czyżby opozycyjne partie i media planowały ponowne zagranie kartą Józefa Tuska?

Emocje, które wtedy wzbudziła, były tak silne, że do dziś prawie nikt nie jest w stanie odpowiedzieć na podstawowe pytanie: dlaczego właściwie jego wnuk, a wraz z nim sprzyjające mu media oszukiwali wyborców co do przeszłości Józefa w siłach zbrojnych III Rzeszy. Analizując sekwencje wydarzeń z tamtych lat, korzystając z materiałów leżących w archiwach oraz rozmawiając ze świadkami wydarzeń, można dojść do dość nieoczekiwanego wniosku. Aferę „dziadka z Wehrmachtu” rozpętała sama Platforma Obywatelska.

W lipcu 2005 r. Jacek Kurski, jako sztabowiec i szef kampanii telewizyjnej kandydata na prezydenta Lecha Kaczyńskiego, robił notatki, szukając w myślach słabych stron przeciwnika. Działo się to podczas obrad ostatniej przed wakacjami sesji pomorskiego sejmiku, którego był wiceprzewodniczącym. „Na samym końcu owej listy – wspomina Kurski – umieściłem punkt: »dziadek w Wehrmachcie«. Dochodziły do mnie takie plotki, że Józef Tusk nosił niemiecki mundur w czasie II wojny światowej, ale nie brałem ich do końca poważnie. Obawiałem się, że ktoś może mnie podpuszczać. Poza tym grzebanie po cmentarzach nigdy nie przynosiło punktów w kampanii wyborczej. Dlatego punkt ten umieściłem na końcu, bardziej jako dowcip niż pomysł na realizację”. I zapewne nic by z tego nie wynikło, gdyby nie to, że Kurski poszedł do kserokopiarki w sekretariacie prezydium sejmiku, by skopiować swoje przemyślenia. Wychodząc, zapomniał się i oryginał kartki zostawił w maszynie. Stamtąd, zapewne dzięki ludziom z PO rządzącym sejmikiem pomorskim, trafiła ona do sztabu kontrkandydata, któremu przewodził wtedy Jacek Protasiewicz. Choć do elekcji pozostało jeszcze prawie trzy miesiące, zapanowała tam bardzo

eprasa.pl 1002e58ffc



Sprawa „dziadka z Wehrmachtu" znów ożyła. Stała się nawet argumentem w międzynarodowym sporze. Przypominamy historię ujawnienia przeszłości dziadka Donalda Tuska, która 15 lat temu do czerwoności rozgrzewała świat polskiej polityki i mediów, a która jeszcze dzisiaj wzbudza niemałe emocje

nerwowa atmosfera. „Na początku sierpnia zadzwonił do mnie niespodziewanie, prawie w środku nocy, Lech Kaczyński – wspomina Kurski. – Spędził wieczór z kimś z szefostwa Platformy. Chyba mógł być to nawet sam Donald. »Czy to prawda – zaczął dość ostro – że zamierzacie oplakatować całą Warszawę Tuskiem w mundurze Wehrmachtu?«. – Kompletna bzdura – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. I na tym rozmowa się skończyła".

PONIEDZIAŁEK

10 października 2005 r. Tego dnia ukazuje się wywiad w tygodniku „Angora" z Jackiem Kurskim, przeprowadzony przez Katarzynę Pastuszko. Mniej więcej w połowie rozmowy dziennikarka zadaje zaskakujące pytanie:

„– A czy to prawda, że jednym z planowanych przez was haków było ubranie Donalda Tuska w mundur żołnierza Wehrmachtu?

– To obrzydliwe – odpowiada Kurski. – To, że w jego domu mówiło się po niemiecku, nie oznacza, że trzeba go przebierać w mundur.

– Po niemiecku?

– Rodzice Tuska byli gdańszczanami i mówili po niemiecku. Pisał o tym wiele razy w swoich książkach. Jest natomiast półmrok niedomówień i tajemniczości na temat dziadka Donalda Tuska [...].

– Rozumiem, że pan wie? – Pastuszko drąży temat dalej.

– Niczego nie wiem na pewno. Poważne źródła na Pomorzu mówią, że dziadek Tuska zgłosił się na ochotnika do Wehrmachtu. [...] Cokolwiek było z jego dziadkiem, nie winię za to Donalda Tuska. [...]".

Środki masowego przekazu wspierające Donalda Tuska mogły wypowiedź Kurskiego dla „Angory" przemilczeć bądź ustosunkować się do niej w formie krótkich, aczkolwiek mocno krytycznych komentarzy. W 2005 r. sztab wyborczy Tuska nie musiał się obawiać rozwinięcia ataku na przodka kandydata z jeszcze jednego, aczkolwiek paradoksalnego, powodu. Lech Kaczyński nie pozwoliłby bowiem swoim ludziom na zagranie kartą dziadka, czego dowodem był wspomniany już jego sierpniowy nocny telefon do Kurskiego. Poza tym nikt w PiS wówczas nie był pewien, czy rzeczony dziadek rzeczywiście służył w Wehrmachcie. Do dziś nie wiemy również, czy kandydat PO na urząd prezydenta Donald Tusk zataił fakt przeszłości dziadka z Wehrmachtu przed swoim sztabem wyborczym, czy też samobójcza w skutkach decyzja o pójściu w zaparte została podjęta kolektywnie. Sprawę częściowo wyjaśnia po latach Rafał Grupiński. W opublikowanej książce – wywiadzie rzece, przeprowadzonym przez Łukasza Perzynę pt. „Rafał Grupiński. Polityka i kultura" – stwierdza: „Po ataku Jacka Kurskiego nastąpił kardynalny błąd Jacka Protasiewicza [...] Błędem okazało się emocjonalne podejście, on się tym niezwykle przejął. [...] Tym samym zamiast zignorować, tylko sprawę nagłośnił". Ówczesna wypowiedź dzisiejszego szefa TVP stała się asumptem do uderzenia z całą siłą w wizerunek Lecha Kaczyńskiego. Autorem tej strategii był szef sztabu wyborczego Donalda Tuska – Jacek Protasiewicz. Czy dziennikarka „Angory" działała na zlecenie polityków PO, czy też zrobiła wywiad z własnej woli, możemy się tylko domyślać. Tego samego dnia wieczorem w sopockim mieszkaniu Tuska oczekiwali już skrzyknięci przez Protasiewicza dziennikarze. Operacja „dziadek z Wehrmachtu" rozpoczęła się dokładnie w poniedziałek 10 października 2005 r.

WTOREK

Dzień po publikacji wywiadu z Kurskim w „Angorze" sztab Tuska uznał, że kości zostały rzucone. Temat najpierw podgrzewały zaprzyjaźnione media elektroniczne, gdzie prym wiodła redakcja informacyjna TVN. Bezpardonowo atakowano Kurskiego za słowa wypowiedziane w rozmowie z Katarzyną Pastuszko. Osiągnięto tym już pierwszy sukces. Władze PiS wyrzucają wieczorem Kurskiego ze sztabu i zapowiadają postawienie go przed partyjnym sądem dyscyplinarnym. Ale nie on jest de

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com

eprasa.pl 1002e58ffc

facto celem nagonki. Czekano środy, by wystrzelić ze wszystkich armat. W stronę kandydata – Lecha Kaczyńskiego.

ŚRODA

Zaczęło się! „Atak Wehrmachtem" – czytamy wielkie litery na pierwszej stronie dziennika „Gazety Wyborczej". „Dziadek Donalda Tuska zgłosił się na ochotnika do Wehrmachtu – powiedział Jacek Kurski, bliski współpracownik Lecha Kaczyńskiego. Tusk – to podłe kłamstwo. Moi dziadkowie nie byli w Wehrmachcie, tylko w obozach koncentracyjnych" – głosił podtytuł. W sukurs przychodzą media lokalne. „PiS sięgnął po Wehrmacht" – informuje czołówka „Dziennika Bałtyckiego", by dalej zacytować Protasiewicza: „Jest to obrzydliwe kłamstwo i oszczerstwo rzucane przez człowieka, który sam się określa jako bulterier Kaczyńskich. Kampania PiS sięgnęła bruku".

Pastwienie się nad „bulterierem" Kaczyńskich było tylko przygrywką do medialnego linczu, który przechodząc nad nim w sumie miękkim lobem, miał uderzyć rzeczywistą siłą w Lecha Kaczyńskiego. Nic nie pomogło rzucenie „wilkom na pożarcie" Kurskiego. Tusk wespół z „Wyborczą" i resztą usłużnych mediów realizowali bowiem plan totalnego uderzenia. „Wywiad Jacka Kurskiego dla tygodnika »Angora« Donald Tusk przeczytał w poniedziałek wieczorem w swoim sopockim domu – czytamy w środowej »Wyborczej«. – Dziennikarze »Gazety« w tym czasie przeprowadzali wywiad z jego żoną [cóż za zaskakująca korelacja zdarzeń]. Tusk był wstrząśnięty. – Lecha Kaczyńskiego zaślepiła żądza władzy, nie poznaję go, nie poznaję – powtarzał najbliższym".

W środę rano w redakcji „Newsweeka" ktoś wpadł na pomysł, że ponieważ znam niemiecki i odwiedzałem tamtejsze archiwa, to może bym spróbował sprawdzić, jak to właściwie jest z tym dziadkiem Tuska. Około 10.30 zadzwoniłem do Deutsche Dienstselle (WASt) i powiedziano mi, że w Wehrmachcie służyło sześciu Josephów Tusków i potrzebna będzie data urodzenia. Po sprawdzeniu połączyłem się z Berlinem ponownie.

„Tak, znajduje się w ewidencji, ale krótko. Od sierpnia do października 1944. Mamy numer jego nieśmiertelnika – 8241 – usłyszałem w odpowiedzi. – To znaczy, że można stwierdzić, czy był członkiem niemieckich sił zbrojnych? – dopytywałem. – Tak. Był. To pewne. Może się pan starać o rentę po nim". O 11.00 byliśmy pierwszymi dziennikarzami w Polsce, którzy wiedzieli na pewno, że dziadek Tuska znalazł się w szeregach Wehrmachtu.

> Na sugestie Tuska stosowania przez Orbána nazistowskich metod w sprawowaniu władzy media węgierskie odpowiedziały przypomnieniem historii „dziadka z Wehrmachtu", którego służba w szeregach sił zbrojnych III Rzeszy jest już faktem historycznym. Choć nie wszyscy chcą to przyjąć do wiadomości

CZWARTEK

Redakcja miała poważny problem, co zrobić z tym newsem. Jako tygodnik wychodziliśmy dopiero w poniedziałek i szansa, że uda się tę wiadomość utrzymać w tajemnicy, była niewielka. Postanowiliśmy przez nasze kontakty dziennikarskie poinformować o tym redakcję „Faktów" TVN. Ponieważ obawialiśmy się, że popierająca kandydaturę Tuska stacja telewizyjna może przemilczeć temat, równolegle zawiadomiliśmy o naszym odkryciu „Wiadomości" TVP.

PIĄTEK, SOBOTA

Ponieważ program informacyjny TVN był emitowany przed „Wiadomościami" TVP, do dziś stacja ta się chwali, że pierwsza podała informację o pobycie dziadka Tuska w Wehrmachcie. Sobotnio-niedzielne wydanie „Gazety Wyborczej" ograniczyło się tylko do napisania krótkiej notatki zatytułowanej: „Z Wehrmachtu do Andersa". „Dziadek Tuska był w Wehrmachcie, choć wbrew oskarżeniom Jacka Kurskiego nie zgłosił się na ochotnika, ale został wcielony i szybko znalazł się po stronie aliantów" – czytamy. Ale i to okazało się nieprawdą. Informacji tej nie potwierdzają żadne archiwa. Nawet te zabiegi mediów tzw. głównego nurtu nie pomogły. Kłamstwo wyszło na jaw i atak medialny spalił na panewce. Notowania Tuska zaczęły spadać. Lechowi Kaczyńskiemu w drugiej turze udało się odrobić aż 11,31 pkt proc. Wygrał przewagą 8,01 proc. nad kontrkandydatem.

* * *

Pewnego pięknego dnia po rozmowie w studiu TVN na korytarzu spotkali się: Katarzyna Kolenda-Zaleska, Wiesław Władyka, Tomasz Lis i Jacek Kurski. Chwilę po tym do stojących nieopodal dziennikarzy zwrócił się Tomasz Lis, twierdząc, że właśnie przed chwilą Jacek Kurski na potwierdzenie prawdziwości swojej tezy o dziadku Wehrmachtu użył sformułowania: „I tak ciemny lud to kupi". Do dziś szef TVP zaprzecza autorstwu tych słów. Bezskutecznie. Tym razem kilkakrotnie powtarzany przez Tomasza Lisa chwyt zagrał. W podobny sposób Lis próbował wpłynąć na wynik wyborów w 2015 r., cytując fałszywy wpis z fałszywego konta Kingi Dudy. Na potwierdzenie tezy, że bajka „o ciemnym ludzie" pochodzi z ust Tomasza Lisa, a nie Jacka Kurskiego, świadczyć mogą nagrania, które każdy może sobie odtworzyć na YouTube. Na nich to obecny naczelny „Newsweeka" wyjaśnia, że „ludzie nie są tacy głupi, jak nam się wydaje. Są jeszcze głupsi" i „Gdyby nie internet, nigdy bym nie wiedział, że na świecie jest tylu kretynów". Kurski nie miał tyle szczęścia co Kinga Duda. Tamto kłamstwo nie wyszło na jaw. „Ciemny lud" to kupił.

Reklama | 12/0620/F

eprasa.pl 1002e58ffc

eDO App

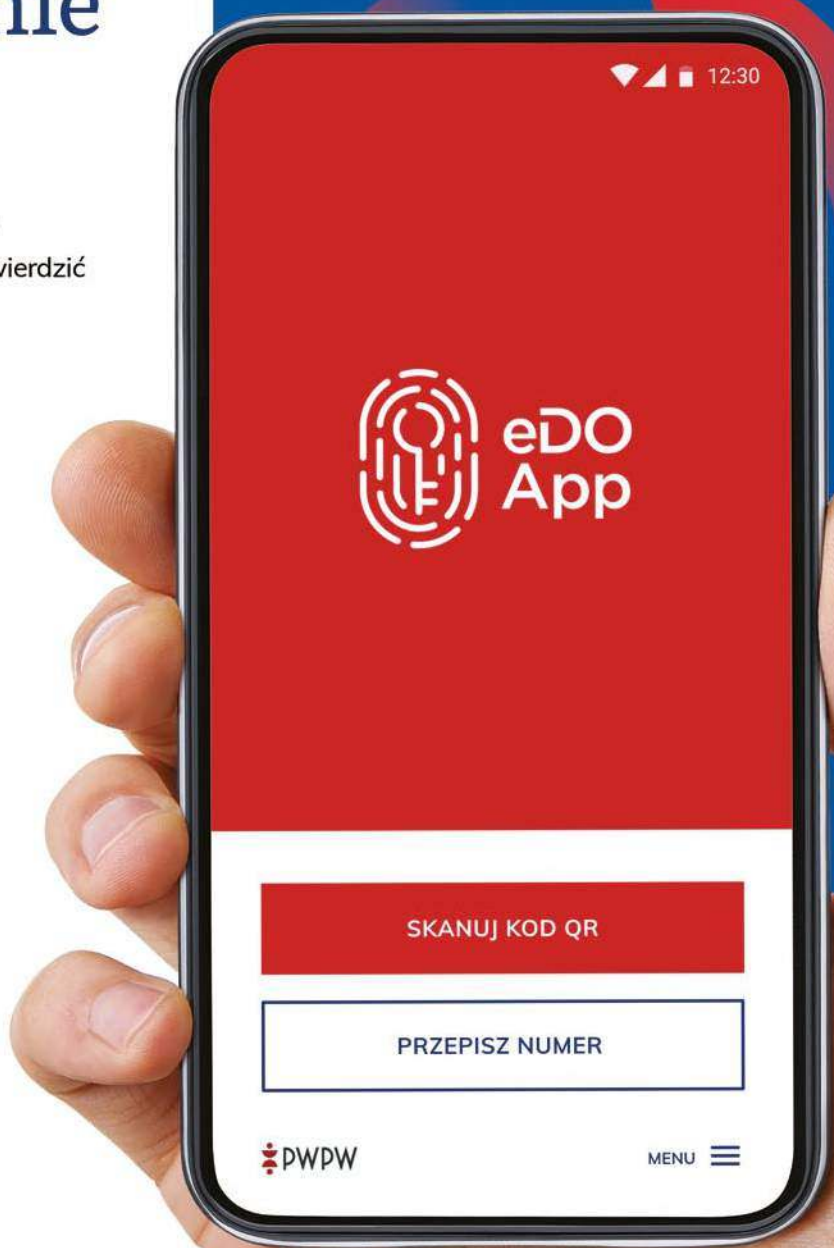
Wygodne potwierdzanie tożsamości

Bezpłatna aplikacja eDO App pozwala zdalnie, bez wychodzenia z domu, potwierdzić swoją tożsamość.

Wystarczy dowód osobisty z warstwą elektroniczną oraz smartfon z NFC.*

DZIĘKI APLIKACJI:

- Potwierdzisz swoją tożsamość
- Założysz Profil Zaufany
- Skorzystasz z usług e-urzędu
- Złożysz swój podpis w internecie
- Podpiszesz wniosek o wydanie karty tachografowej w serwisie info-car



www.edoapp.pl

POBIERZ Z Google Play

*Aplikacja dostępna dla systemu Android 6.0 i nowszych, a już niebawem dla iOS.

eprasa.pl 1002e58ffc



PGNiG od 2016 r. sprowadza skroplony gaz ziemny do Polski poprzez Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu. Ostatnio spółka zarezerwowała dodatkową moc terminalu, która będzie dostępna po jego rozbudowie

PGNiG zapewnia bezpieczne dostawy gazu do Polski

Postępuje skuteczna dywersyfikacja źródeł i kierunków dostaw gazu ziemnego do Polski. Udział rosyjskiego gazu w imporcie z blisko 89 proc. jeszcze w 2016 r. spadł do ok. 60 proc. w 2019 r. O stabilne dostawy błękitnego paliwa w przystępnych dla Polaków cenach dba Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo

Wyraźna zmiana w strukturze importu jest możliwa dzięki konsekwentnemu działaniu i realizacji strategii PGNiG, w której jedną z głównych ról odgrywa stopniowe odchodzenie od dostaw pochodzących z jednego źródła.

– To właśnie m.in. w ten sposób rozumiemy hasło „Jesteśmy blisko Ciebie". Jako lider rynku gazu w Polsce wypełniamy naszą misję – bycia odpowiedzialnym, zaufanym i bezpiecznym dostawcą energii dla 7 mln naszych krajowych odbiorców – mówi Jerzy Kwieciński, prezes zarządu PGNiG SA.

TRZY FILARY DYWERSYFIKACJI

Skroplony gaz ziemny, czyli LNG, to jeden z filarów procesu dywersyfikacji, dzięki któremu możemy być spokojni o ciągłość i bezpieczeństwo dostaw. W ostatnich czterech latach PGNiG zwiększyło udział LNG w całości gazu sprowadzanego do Polski z 8 proc. do ponad 23 proc., właśnie kosztem importu z Rosji.

Gaz w postaci skroplonej jest sprowadzany przez Terminal LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu. Terminal stwarza nieograniczone możliwości kupowania LNG na całym świecie. PGNiG współpracuje z katarskim Qatargasem, a także z amerykańskimi partnerami: Cheniere Energy, Port Arthur LNG z Grupy Sempra oraz Venture Global LNG. Dostawy od spółki Cheniere już przypływają do Polski, a ładunki od pozostałych producentów z USA rozpoczną się w ciągu kilku lat. LNG przypływa do nas również m.in. z Norwegii.

Terminal w Świnoujściu zostanie w najbliższych latach rozbudowany. Planując import LNG w przyszłości, PGNiG podpisało już umowę na rezerwację dodatkowych mocy, które terminal będzie oferował po rozbudowie.



Gaz ziemny wydobywany przez PGNiG z norweskich złóż popłynie do Polski przez budowany gazociąg Baltic Pipe

KIERUNEK NORWESKI

Rozwijając własne wydobycie, PGNiG inwestuje za granicą. Dzięki temu ma już 31 koncesji na poszukiwanie i wydobycie gazu w Norwegii. Gazu sprowadzanego z Norweskiego Szelfu Kontynentalnego będzie w przyszłości coraz więcej. Pierwsze dostawy nowo wybudowanym gazociągiem Baltic Pipe popłyną do Polski już w 2022 r.

WAŻNE KRAJOWE ZŁOŻA

Krajowe wydobycie gazu zabezpiecza około jednej piątej zapotrzebowania Polski na ten surowiec. Mamy dobre perspektywy eksploatacji złóż krajowych, dlatego PGNiG będzie w przyszłości zwiększać wydobycie m.in. ze złoża Przemyśl.

Konsekwentnie realizowana przez PGNiG strategia dywersyfikacji dostaw jest gwarancją ciągłości dostaw gazu i bezpieczeństwa energetycznego kraju. Efekty już są widoczne. Tylko w pierwszym kwartale tego roku wolumen dostaw LNG dla PGNiG wyniósł 0,98 mld m sześc. po regazyfikacji, co oznacza wzrost aż o 34 proc. w porównaniu z ubiegłym rokiem. Stabilny wzrost importu LNG w kolejnych latach, możliwość sprowadzania do Polski gazu przez Baltic Pipe oraz rozwój wydobycia krajowego pozwolą płynnie zastąpić dostawy z kierunku wschodniego.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 41/0520/F

eprasa.pl 1002e58ffc



W ciągu kilku miesięcy pojawiły się aż dwa seriale o Katarzynie Wielkiej. Widać, że Hollywood znów fascynuje się Rosją. Jednak jest to fascynacja naskórkowa i mocno naznaczona ideologicznymi modami

Caryca z Instagrama

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 1002e58ffc



ŁUKASZ ADAMSKI

Katarzyna Wielka magnetyzuje filmowców nie od dziś. Już w 1924 r. powstał w Hollywood niemy film „Cesarzowa" niemieckiego reżysera Ernsta Lubitscha. W roli Katarzyny wystąpiła Pola Negri. Dziesięć lat później w rosyjską cesarzową wcieliła się Marlena Dietrich w „Imperatorowej" Josefa von Sternberga. Film miał być oparty na rzekomych pamiętnikach Katarzyny Wielkiej. W tym samym roku Brytyjczycy nakręcili „The Rise of Catherine the Great" Paula Czinnera z Elisabeth Bergner w tytułowej roli. W 1968 r. w komedii „Wielka Katarzyna" Gordona Fleminga zobaczyliśmy Francuzkę Jeanne Moreau. W filmie „Młodość Katarzyny" Michaela Andersona z 1991 r. w carycę wcieliła się inna francuska aktorka Julia Ormond. Co ciekawe, Moreau zagrała Elżbietę Romanową w telewizyjnym filmie „Katarzyna Wielka" z 1996 r., gdzie carycę zagrała Catherine Zeta-Jones.

FEMINISTYCZNA KATARZYNA

Dwie nowe wersje opowieści o Katarzynie Wielkiej są już filmami swojej epoki. To opowieści feministyczne i skrojone pod gusta wrażliwości ulepionej przez polityczną poprawność.

„Jakie kłamstwa opowiadają ludzie o kobietach u władzy!" – mówi caryca w serialu „Katarzyna Wielka" (2019). Wciela się w nią zdobywczyni Oscara za rolę królowej Elżbiety II w „Królowej" (2006) Stephena Frearsa. Helen Mirren ma 74 lata. Gra zaś 42-letnią Katarzynę. To Katarzyna wyzwolona seksualnie i spokojnie mogąca być ikoną współczesnego feminizmu. Góruje nad ekranowymi mężczyznami intelektem i przebiegłością. Góruje nad męskim światem w każdym calu. Ambitny Grigorij Potiomkin (Jason Clarke) staje się w jej rękach zabawką, ale i prawdziwym obiektem pożądania. Obsadzenie Mirren w tej roli jest samo w sobie manifestem. Nie tylko dlatego, że aktorka jest córką rosyjskiego arystokraty i jej rodowe nazwisko brzmi Jelena Lidia Mironowa. To właśnie wiek aktorki jest wykorzystywany w przesłaniu serialu.

Ostatnio panuje w feministycznych środowiskach moda na eksponowanie naturalnego ciała kobiet i celebrowanie postępującego wieku. Botoks i Photoshop są passé. 74-letnia Mirren w objęciach aktora mogącego być jej synem ma wypełniać tę modę. Ma też uderzać w filmowy patriarchalizm. Ten, który powoduje, że o ile nie szokuje młoda aktorka w objęciach np. 80-letniego Ala Pacino, o tyle starsza kobieta i młody kochanek to skandal wciąż nie mniejszy niż w czasach „Absolwenta" (1967) Mike Nicholsa, gdy chłopięcy Dustin Hoffman został uwiedziony przez Panią Robinson (Anne Bancroft).

Mirren jest na ekranie silna, ale też zostaje przez twórców wrzucona w populizm demokracji XXI w. Sama pani Underwood z ostatniej części „House of Cards" nie powstydziłaby się jej metod. Metod tak różniących się od działań Elżbiety II w również lustracyjnym hicie Netflixa „The Crown".

Otoczona przez mizoginów i seksistów musi sięgać po ostre metody i porzucać swoje reformatorskie zapędy. „W Rosji są ludzie bez skrupułów. Na szczęście ja też do nich należę" – mówi z uśmiechem już w pierwszych scenach serialu.



Pola Negri jako caryca Katarzyna w filmie „Cesarzowa"

Fot. NAC

KATARZYNA Z TIKTOKA

Twórcy nowej „Katarzyny Wielkiej" podejmują oczywiście temat legendarnej seksualności carycy. Nie mówią o niej jednak przez pryzmat skrępowanej przez religię i obyczaje seksualności, której upust był tak widoczny na libertyńskich francuskich salonach. Oni patrzą na nią z dzisiejszej perspektywy. To trend typowy dla współczesnego kina. Wybrzmiał bardzo mocno w „Marii Antoninie" (2006) Sofii Coppoli. W tym nieudanym, ale intrygującym filmie Coppola opowiedziała o ściętej przez rewolucję królowej w sposób bliski współczesnemu widzowi. Zabieg był ciekawy: pokazać jej ludzkie oblicze, prowadząc grającą ją Kristen Dunst, jakby występowała w filmie o dzisiejszej nastolatce arystokratce. Wszystko podlewała popowa muzyka. Manieryzm i stylistyka Coppoli odrodziły się dziś, w drugim serialu o Katarzynie Wielkiej, jaki pojawił się na naszych ekranach.

„Wielka" jest dziesiątą wodą po znakomitej „Faworycie" Giorgosa Lanthimosa. Twórcą serialu jest Tony McNamara, który za scenariusz do zjawiskowego filmu greckiego reżysera był nominowany do Oscara. Opowiadające o dworze brytyjskiej królowej Anny dzieło z 2018 r. również było fe-

eprasa.pl 1002e58ffc



Hellen Mirren w serialu HBO „Katarzyna Wielka”

Fot. Materiały prasowe



Elle Fanning jako caryca Katarzyna w serialu „Wielka”

Fot. Materiały prasowe

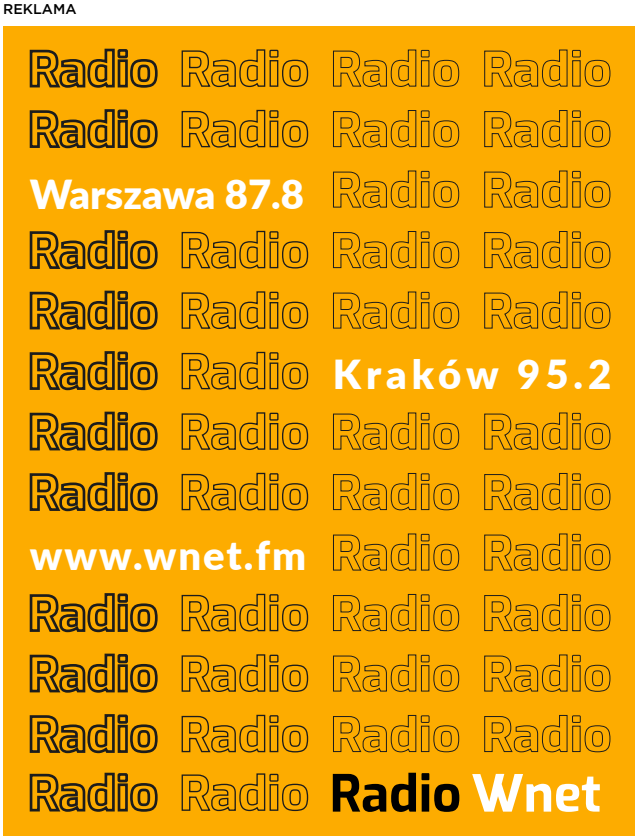
ministyczne. Film balansował na granicy kina historycznego i był wystylizowany na obraz uciekający od kostiumowej klasyki. Jednak Lanthimos zachowywał powagę i nie dawał się wciągać w zupełnie ahistoryczne dywagacje. Pokazał mroki władzy absolutnej w sposób uniwersalny, nie tracąc przy tym historycznej wrażliwości.

McNamara w „Wielkiej” zupełnie puścił wodze fantazji, kręcąc rasową satyrę. Nie jest to satyra na dwór rosyjski, ale na każdą monarchię.

Dostajemy opowieść o młodości Katarzyny Wielkiej, która ma wejść w zaaranżowane małżeństwo z carem Piotrem. Zamiast romantycznej miłości spotyka ją, a jakże, seksizm i mizoginizm. Dziewczyna nie ma nawet szans na fizyczną rozkosz (to motyw niemal każdej opowieści o stłamszeniu kobiecości przez ancien régime), a wszystkim rządzi zła Cerkiew. Katarzyna (Elle Fanning) jest więc outsiderką, która z nastolatki pasującej do Instagrama musi się przeistoczyć w potężną władczynię.

O ile „Katarzyna Wielka” stara się być opowieścią historyczną, to „Wielka” jest jej zupełnym wykoślawieniem. Aktorzy grają, jakby występowali w hicie dla nastolatków pt. „Riverdale”, a zachowania Katarzyny pasują momentami do TikToka. Jest to więc wizja rodem z „Marii Antoniny”, ale podana na sterydach. Na sterydach jest też irytujący ton tej satyry i jej przekombinowana stylistyka. Pustka i ideologiczna jednowymiarowość tej wizji obnażają dzisiejsze czasy. W 1975 r. Woody Allen nakręcił satyrę „Miłość i śmierć” igrającą z arcydziełem Tołstoja „Wojna i pokój”. Allen był jeszcze przed swoim oscarowym arcydziełem „Annie Hall”, ale już pokazywał przejawy geniuszu. Zrobił coś, na czym tak boleśnie się wyłożył McNamara. Przeprowadził nowojorskiego Żyda wyjętego z humoru o szlemielu wprost do XIX-wiecznej Rosji. Boris Gruszenko z „Wielkiej” ma te same neurozy, co typowi bohaterowi Allena. Grana przez Diane Keaton Sonia mogłaby natomiast mieszkać na Upper West Side. Jednocześnie Allen doskonale żonglował elementami lustracji rosyjskiej duszy z kart Tołstoja. Zachęcam do obejrzenia jego filmu tuż po seansie „Wielkiej”. Daje to smutny obraz niezrozumienia Rosji przez współczesnych filmowców, którzy zamiast sięgać po rosyjską literaturę, opierają obraz Rosji na kinie okresu zimnej wojny. Do tego nakładają na niego ideologiczne trendy i mody, niepamiętanie, że wschodnia mentalność jest ukształtowana przez inne wartości.

REKLAMA



42/0520/F

eprasa.pl 1002e58ffc

Drugie życie Anny Jantar

Rok 2020 r. jest wyjątkowy dla wspomnień o Annie Jantar. 10 czerwca minęła 70. rocznica jej urodzin, w marcu 40. rocznica jej nagłej śmierci. We wrześniu czeka nas 10. rocznica śmierci Jarosława Kukulskiego, męża artystki



LIDIA DUDKIEWICZ

Annę Jantar zapamiętaliśmy jako uroczą młodą artystkę, pełną wdzięku, promienną, ze słońcem w głosie o słowiańskiej barwie, roztańczoną, której piękne włosy na scenie rozwiewał wiatr. Zdobywającą publiczność Polski i świata nie tylko swoim aksamitnym wokalem i piosenkami, które zwykle natychmiast stawały się przebojami, lecz wyjątkowo serdeczną osobowością. A żyła niecałe 30 lat.

W ciągu swojego krótkiego życia Anna Jantar rozdała tyle miłości, radości, dobroci, pokazała tyle piękna, jakim na zawsze obdarowała rodzinę i ludzi, którzy zetknęli się z nią na estradzie. Pozostała w pamięci miłośników jej talentu jako przepiękna młodziutka artystka, nieprzytomnie kochająca życie, rodzinę i śpiew. W jednym z ostatnich wywiadów na uwagę o jej niezwykłej urodzie odpowiedziała, że „pragnie, aby zdobiło ją przede wszystkim własne serce, stojące otworem dla wszystkich ludzi".

Miała być pianistką, ale wybrała mikrofon, bo miała słuch absolutny i estradową charyzmę. „Co ja w tobie widziałam", „Najtrudniejszy pierwszy krok", „Tyle słońca w całym mieście" – to pierwsze przeboje Anny Jantar. Tajemnica powodzenia młodej wokalistki, poza walorami artystycznymi, tkwiła w jej naturalności, zwyczajności, w bogatych, głębokich pokładach jej człowieczeństwa. „Ona sama była muzyką" – uważał Jarosław Kukulski, mąż i główny kompozytor jej piosenek. A jeden z kolegów z branży muzycznej stwierdził, że „urodziła się, aby śpiewać".

Anna Jantar w pierwszych latach swojej kariery była radośnie rozśpiewana, ale też liryczna i refleksyjna. Obok popowych przebojów miała w repertuarze piosenki literackie i poetyckie. Na trasach koncertowych, podczas podróży od sceny do sceny, można było zobaczyć artystkę zamyśloną, z tomikiem wierszy w ręku. Sama przyznała, że brat (Roman Szmeterling) „zaraził ją literackimi upodobaniami". A nawet napisał teksty niektórych jej piosenek, m.in. „Biały wiersz od ciebie", „Kto powie nam".

Anna Jantar była tytanem pracy. Jako artystka wyprzedzała swoje czasy śmiałymi aranżacjami. Zdobywała festiwalowe nagrody w kraju i za granicą, gdzie doskonale radziła sobie również z piosenkami w obcych językach. Śpiewała właściwie w całej Europie oraz w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Trasy koncertowe wstrzymała po urodzeniu córki Natalii. Trzeba wiedzieć, że dziecko przyszło na świat dzięki jej heroicznej decyzji. Lekarz stwierdził bowiem, że ciąża stanowi zagrożenie dla życia matki i ze względów medycznych zalecił aborcję. Urodzenie córki Anna Jantar uważała za wymodlony cud.

Gdy po macierzyńskiej przerwie wróciła na scenę, była odmieniona, zaczęła też poszukiwać nowego stylu i innego repertuaru – od popu przechodziła do jazzu i swingu. Przełom stanowił utwór „Tylko mnie poproś do tańca", będący pełną dramatyzmu rozmową z Panem Bogiem. Wprawdzie państwowa cenzura zablokowała ten utwór, ale po wyborze kard. Karola Wojtyły na papieża zgodziła się na jego rozpowszechnianie. Artystka śpiewała tam o tęsknocie za Bogiem i o nadziei wypływającej z mocy różańca, której również dosłownie się uchwyciła w chwili śmierci. Pełen głębokiej wymowy jest fakt, potwierdzony przez lekarza medycyny sądowej, że w momencie katastrofy lotniczej trzymała zaciśnięty w dłoni mały różaniec, który został oddany rodzinie z osobistymi rzeczami. Ten różaniec zawsze nosiła przy sobie w torebce – potwierdziła mama artystki Halina Szmeterling. W nowym repertuarze odmieniającej się wokalistki był też przebój „Nic nie może wiecznie trwać" oraz ostatni nagrany przez nią utwór pt. „Spocząć".

O fenomenie Anny Jantar jako człowieka i jako artystki może świadczyć też to, że po przedwczesnej śmierci badaniem jej życia zajęli się wyjątkowi profesjonaliści: kapłan i historyk sztuki ks. prof. Andrzej Witko, dziennikarz i literat Marcin Wilk, a także biografka i polonistka Mariola Pryzwan. Ks. Andrzej Witko przygotował wywiad rzekę pt. „Anna Jantar", będący pośmiertną rozmową, zbudowaną na podstawie autentycznych wypowiedzi artystki nie tylko o estradzie i śpiewaniu, lecz również o rodzinie i macierzyństwie. Ks. Witko jest też autorem scenariuszy programów telewizyjnych, widowisk teatralnych i estradowych oraz redaktorem kilku wydawnictw muzycznych poświę-

eprasa.pl 1002e58ffc



Anna Jantar na XV Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie (1975 r.)

Fot. Edward Smoliński/Archiwum ks. Andrzeja Witki

conych Annie Jantar. Przygotowany z jego udziałem czteropłytowy album „Wielka Dama" (2010) zyskał status Złotej Płyty.

„Anna Jantar po śmierci urodziła się jakby na nowo, dostała drugie życie". To opinia Marcina Wilka – autora najnowszej biografii artystki pt. „Tyle słońca". Pierwsze wydanie ukazało się w 2016 r., drugie w 2020 r., ze wstępem Natalii Kukulskiej. Czytamy tam: „Prawdę mówiąc, nikt mi nigdy nie powiedział, że mama zginęła, odeszła na zawsze. Gdy na lotnisku, trzymając bukiet frezji, nie doczekałam się przylotu mamy i spotkania z nią... to tak jakby czekanie na jej powrót przeciągnęło się do teraz. Tyle że teraz nie ona do mnie, ale ja do niej wracam".

Natalia Kukulska przez kolejne dekady odwiedza swoją mamę na cmentarzu Wawrzyszewskim w Warszawie. Na grobie zawsze są świeże kwiaty i znicze. Ale dopiero w ubiegłym roku odważyła się dotrzeć na miejsce katastrofy samolotu, w którym zginęła Anna Jantar, w pobliżu lotniska Chopina na warszawskim Okęciu. Teraz stoi tam ceglany mur z krzyżem oraz informacją o tragedii, z zarysem samolotu. Nazwiska ofiar są wypisane na cokołach przed pomnikiem, a z tyłu umieszczono mural z portretami Anny Jantar i pilota tragicznego lotu – kapitana Pawła Lipowczana.

W tym roku w marcu, gdy obchodzona była 40. rocznica śmierci Anny Jantar, trwały ograniczenia z powodu pandemii. Mimo to Natalia Kukulska dotarła do miejsca tragedii i zaniosła swojej mamie frezje, 40 lat po tragedii. „Pogoda taka sama jak wtedy. Zimno, wietrznie, słonecznie... Cichutko, ukradkiem... w końcu dostarczyłam ten bukiecik frezji. Gdziekolwiek jesteś, mamo... cztery dekady później. RIP. Przesyłam ciepłe myśli dla rodzin ofiar katastrofy lotniczej, która miała miejsce 14 marca 1980 r. Wtedy świat nam runął. Dziś się zatrzymał prawie dla wszystkich. W tym zatrzymaniu pomyślmy, że »nic nie może wiecznie trwać«. Niech te słowa zarówno dadzą nam nadzieję, jak i uświadomią, by kochać zawczasu – »jakby zaraz świat miał się skończyć«" – to fragment z internetowego postu Natalii Kukulskiej.

Miałam okazję zapytać ks. Andrzeja Witkę, czego uczy nas Anna Jantar przez swoje piękne życie... Odpowiedź brzmiała: „Ania przypomina nam o kruchości ludzkiego życia, dlatego wzywa nas, abyśmy umieli wykorzystać dany nam czas, abyśmy byli piewcami dobra, piękna, miłości i umieli się dzielić tym z innymi. Wreszcie pokazuje też, że nawet śmierć nie jest w stanie rozdzielić tych, którzy żyją nadzieją na rychłe spotkanie w domu Ojca".

Mijają lata, zostają nie tylko piosenki. Wprawdzie „Anna już tu nie mieszka" – jak śpiewa jej przyjaciółka Halina Frąckowiak – ale żyje w nas, bo zdobyła nasze serca, a jej piosenki wykonują współcześni artyści młodego pokolenia. Jerzy Milian, kompozytor i dyrygent, stwierdził, że „istnieć po śmierci to największe zwycięstwo Anny Jantar".

Autorka jest członkiem Rady Programowej TVP SA

eprasa.pl 1002e58ffc



Adamski poleca



Polski recykling Scorsesego i Ritchiego

Internet

Przegapiłem ten obraz w kinie na fali zmęczenia kolejnymi gangsterskimi filmidłami w stylu Vegi. „Jak zostałem gangsterem. Historia prawdziwa" pokazuje jednak, że Patryk Vega stracił koronę króla kina gangsterskiego. Maciej Kawulski swoim „Underdogiem" przyciągnął do kin ponad milion widzów. Jego kolejny film może się poszczycić jeszcze lepszym wynikiem. Po wejściu na platformę Netflix szybko stał się najpopularniejszym oglądanym w Polsce filmem.

Kawulski nie ma filmowego wykształcenia, jednak widać u niego miłość do kina sensacyjnego. Potrafi z werwą i pasją opowiadać swoje historie. W przeciwieństwie do Vegi robi to spójnie i pomysłowo. W „Underdogu" dało się zauważyć jego braki warsztatowe. Za długie ujęcia, słaba choreografia walk i niepotrzebnie dołożony wątek gangsterski zrekompensowała jednak pasja współzałożyciela KSW do kina kopanego. Tak jak jego poprzedni film był zupełnie jawną kopią gatunku, jaki zapoczątkował „Rocky", tak teraz dostajemy kopię najsłynniejszych filmów gangsterskich.

Marcin Kowalczyk wciela się w chłopaka, który od dziecka chciał być gangusem. Zaczął od podziwiania peerelowskich cinkciarzy i cwaniaków, by potem wejść w struktury „Pruszkowa" i urządzić się w Polsce po upadku najsłynniejszego polskiego gangu. Podobno jest to historia prawdziwa, o czym może świadczyć zresztą wyjątkowo mocna nienawiść do najsłynniejszego świadka koronnego w Polsce, czyli „Masy", płynąca z ekranu jak z wielu dzisiejszych książkowych spowiedzi gangsterów. Kawulski ma prosty przepis na swój film. Bierze polskie realia z PRL, z lat 90. XX w. i z początku XXI w., podlewa je klimatem z kina Martina Scorsesego, kopiując niemal jeden do jednego sceny z „Ulic nędzy" (jest nawet ta sama muzyka!), „Kasyna", a nawet „Wilka z Wall Street", dodaje do tego brawurową, komediowo-brutalną narrację z wczesnych gangsterskich filmów Guya Ritchiego i wrzuca modną muzykę idoli nastolatków, takich jak Malik Montana i Tymek. Dla starszych widzów gra Dżem i Moby. Imponujący rozstrzał muzyczny!

Jest to filmowy fast food upichcony ze znanych smaków. To puste filmowe kalorie, które absolutnie nic nie wniosą do gatunku kina gangsterskiego. Co jednak z tego, skoro to po prostu dobrze smakuje? Mimo wielu reżyserskich kiksów, bezczelnej zrzynki z innych filmów i wyświechtanego scenariusza o wzlotach i upadku bandyty ten film jest wciąż świeży. Dlaczego? Bo jest zrodzony z pasji i miłości do kina. Zrobił go fan kina gangsterskiego i potrafił w nim oddać polską specyfikę „ulic nędzy". To go różni od ostatnich filmów Vegi, które są niczym innym jak wyrachowanym i cynicznym zarobkiem. Kawulski chce nam opowiedzieć coś ważnego o świecie polskiej mafii. Ba, nawet osuwa się momentami w moralitet. Wyraziste epizody grają Janusz Chabior, Adam Woronowicz i Jan Frycz. Mamy też przyzwoite aktorstwo Natalii Szroeder, która jest przecież piosenkarką, a nie aktorką, i naprawdę świetnego w roli Waldena Tomasza Włosoka, wyciągającego z postaci młodego gangstera niepokojące zło.

Ten film to z jednej strony uliczna powieść o czasach transformacji, widziana oczami inteligentnego bandziora bez imienia (ukłon w stronę Sergia Leone), z drugiej – film o fatum i odkupieniu win. Kawulski jest najlepszy w tej pierwszej części. Potem popada w pretensjonalność i ckliwość, której nie potrafi wygrać. Ostatecznie jednak daje nam kawał porządnej rozrywki. Cieszę się, że rodzi się w Polsce niezależne od pieniędzy PISF kino, które potrafi na siebie zarobić. Dobrze też, że polscy filmowcy budują kino gatunkowe, którego tak bardzo brakuje naszej kinematografii. Trzymam kciuki za Kawulskiego, by nadal był kinomanem robiącym filmy z frajdy, a nie tylko chęci zysku.

„JAK ZOSTAŁEM GANGSTEREM. HISTORIA PRAWDZIWA"
DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 1002e58ffc

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Wojna klasowa

Internet



W ostatnim roku mieliśmy wysyp kina opowiadającego o wojnie klasowej. „Parasite" jest tego najlepszym przykładem. Galder Gaztel-Urrutia nie bawi się w takie subtelności, dając widzom między oczy pałą z napisem „wojna klasowa".

„Platforma" zaczyna się od przygotowania wykwintnych dań przez zespół kucharzy pod okiem kontrolującego wszystko szefa. Dania wyjęte niemal z „Wielkiego żarcia" Ferreriego są z pietyzmem przygotowane, niczym okadzana przez służbę twarz budzącego się Valmonta w „Niebezpiecznych związkach" Frearsa. Nie są to jednak dania stawiane na stołach uprzywilejowanej klasy panującej, ale służą do tresowania zamkniętych w wielopiętrowej wieży (zwanej Dziurą) osadzonych. Jedzenie zjeżdża na kolejne piętra na specjalnej platformie, dając osadzonym minutę na spożycie jak największej ilości pożywienia. Nie mogą zostawić sobie pokarmu na później. Karą za to są ekstremalne temperatury w celi. Suto zastawiona platforma zjeżdża z góry w dół. Na najniższych piętrach osadzeni dostają już tylko potłuczone naczynia. Na górnych mogą się przez chwilę cieszyć królewską ucztą.

„Najlepiej jest być w środku" – słyszy od starego więźnia główny bohater Goreng po przebudzeniu się na 48. piętrze. Zostaje tutaj przez miesiąc. Potem budzi się na innym poziomie. Raz na górnym, raz na dolnym, gdzie aby przetrwać, trzeba się posuwać do kanibalizmu. Nie wiemy, dlaczego znalazł się w celi. Wiemy, że zrobił to dobrowolnie. Nagrodą jest możliwość dostania tajemniczego dyplomu od Administracji, będącej tutaj uosobieniem władzy absolutnej (korporacja albo totalitarne państwo). Każdy osadzony może z sobą wziąć jeden przedmiot. Goreng zabiera „Don Kichota" Cervantesa. Kultura ma mu skuteczniej pomóc przeżyć w potwornym miejscu niż maczeta?

„Platforma" jest grubo ciosana ideologiczną maczetą. Hiszpańscy twórcy nie bawią się w żadne subtelności. Strąceni na sam dół społecznej drabiny stają się ludożercami? Widzimy zbliżenia na wykrajane i jedzone ciała. Stojący najwyżej obżerają się najbardziej wykwintnymi daniami? Tłuszcz spływa po ich ucieszonych gębach. Mają nawet siłę, by gwałcić podróżującą po piętrach (na platformie) zdesperowaną matkę, szukającą zagubionego dziecka. Osadzeni zmieniają miejsce po miesiącu, więc nie są w stanie się przyzwyczaić do swojego klasowego statusu. Mają się natomiast nauczyć tak gospodarować jedzeniem, by starczyło ono dla każdego.

Banał? Tak i do tego bardzo mocno naznaczony ideologią. Galder Gaztel-Urrutia bez żadnego niuansowania ani subtelności bije w 1 proc. najbogatszych (tutaj to ci z pięter, na które bohaterowie nawet się nie dostają), którzy są odpowiedzialni w lewicowej narracji za konsumowanie dóbr całego globu. Czy jest możliwe odkupienie? Oczywiście, ale znaleźć je można wyłącznie na samym dole drabiny społecznej. Tylko uciśniony proletariat może natchnąć lud. Przerabialiśmy to już w historii. Wiemy, jak się kończyło.

„PLATFORMA" DOSTĘPNA NA NETFLIXIE

Chłopaki płaczą, oglądając to coś



Sequel „Chłopaki nie płaczą" to pomysł bardzo ryzykowny, choćby z tego powodu, że komedie sensacyjne Olafa Lubaszenki dziś mogą się podobać bardziej z sentymentu niż z powodów artystycznych. Były zrobione w konkretnym i specyficznym czasie, gdy wrzucanie amerykańskich komedii gangsterskich w polskie warunki bawiło. „Futro z misia" Kacpra Anuszewskiego i Michała Milowicza, nad którym duch kina Lubaszenki się unosi, powinno iść więc w stronę pastiszu. Nie idzie. Nie wiem, w jaką stronę ta kuriozalna komedia zmierza. Nie jest to film wyglądający nawet na parodię. To po prostu zbiór skeczów z brodą. Problem nawet nie leży w tym, że humor jest anachroniczny. Tutaj nic się nie klei. Scenariusz trzeszczy, a sam film przypomina sklejkę odrzuconych w montażu scen z filmów Lubaszenki. No i Milowicz gra policjanta o ksywce Krokiet. Wiecie... z Miami Vice. Taki to humor.

„FUTRO Z MISIA" DOSTĘPNY NA DVD

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 1002e58ffc



Na naszych oczach dzieje się rewolucja w sztuce

W polskim systemie kultury do tej pory artysta musiał się liczyć z tym, co myśli mecenas, minister czy recenzent, którego czyta lokalny urzędnik przyznający środki. Piękne w internecie jest to, że w pewnym sensie zrywa te kajdany. Teraz najważniejsza będzie relacja z widzem, końcowym odbiorcą

Z aktorem i reżyserem Redbadem Klynstrą-Komarnickim rozmawia Dorota Łosiewicz

Jak panu minęła narodowa kwarantanna?

Redbad Klynstra-Komarnicki: Jestem pełny współczucia dla tych, którzy chorowali czy ucierpieli z powodu epidemii, jednak nam, mojej rodzinie, kwarantanna upłynęła stosunkowo przyjemnie. To był czas stanięcia na poboczu życia i spojrzenia na wszystko z boku. To był przedłużony Wielki Post, czas głębokiej refleksji. Udało się również załatwić wszystkie sprawy, które zawsze czekały „na później", czyli np. posprzątać zawalony garaż. Uporządkować pudła z archiwaliami. Zaczęliśmy uprawiać więcej owoców i warzyw w ogródku. Życie się uspokoiło, gdy nie trzeba było jeździć do Warszawy. Lepiej poznaliśmy sąsiadów (mieszkamy na podwarszawskiej wsi). Taka mała lokalna wspólnota bardzo sobie pomaga w trudnych chwilach. Ktoś ma jajka, ktoś chleb i tak spokojnie się to życie poza miastem toczy. Mniej też odczuwa się wszystkie obostrzenia. To była nasza „błoga cisza niepewności".

To był chyba jednak bardzo trudny czas dla środowiska artystycznego? Niektórzy muzycy zatrudniali się na kasach w hipermarketach.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1002e58ffc

O tak! Zawodowo to był bardzo ciężki czas dla tego środowiska. Szczególnie dla tych, którzy potrzebują żywego kontaktu z drugim człowiekiem, żeby się spełnić. Dla muzyków, aktorów, tancerzy, śpiewaków operowych. Wszyscy oni uświadomili sobie, że bez publiczności nie istnieją. Przez chwilę nawet poczuliśmy się zbędni. Szybko jednak uświadomiliśmy sobie, że w tym trudnym czasie ludzie potrzebują kultury i sztuki. Siedząc w domach, konsumowali ją intensywnie, tylko okazało się, że korzystają z pośrednictwa sieci czy telewizji. W sztuce stało się coś nieodwracalnego. Wielu artystów zadało sobie pytanie: „A co, jeśli do uprawiania tego zawodu nie da się już powrócić w takiej formie jak dotychczas?". Jeden z naszych znajomych, związany ze sztuką, opublikował na Facebooku zdjęcie z szoferki z samochodu. Sytuacja zmusiła go, by najął się jako kurier.

> Postanowiliśmy z żoną nie narzekać, że jest źle, tylko zrobić coś, żeby było lepiej. I tak zawiązaliśmy z kolegami Gildię Sztuk Wszelakich. Teraz staramy się pomagać wszystkim, którzy chcą przenieść swoją sztukę do internetu

Z czegoś musiał żyć, choć z tworzenia nie zrezygnował.

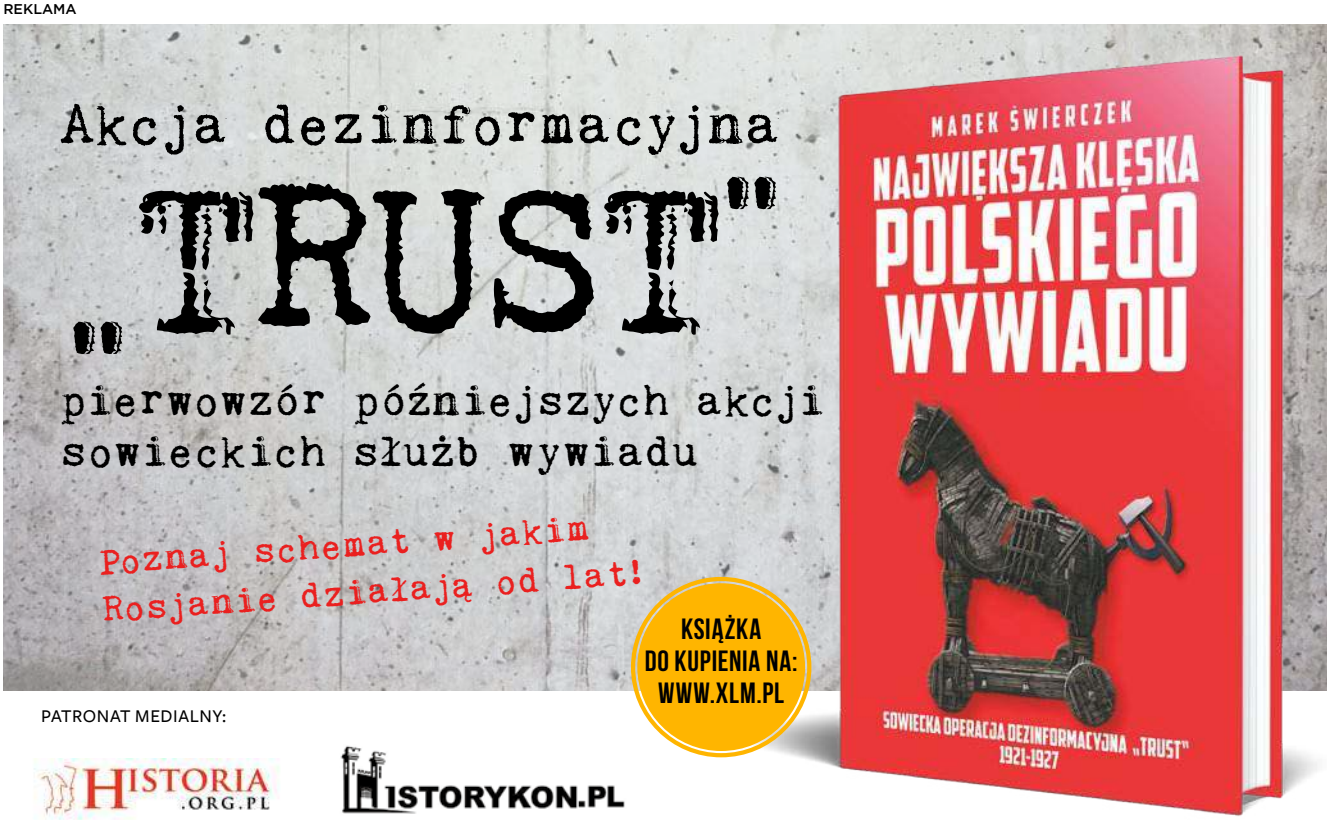
Sztuka, bardziej niż dotychczas, przeniosła się do sieci. To trwały trend?

Myślę, że tak, choć to na pewno wymagało zmiany sposobu działania. Dla wielu oznaczało to wypłynięcie na nowe, nieznane wody. Sami zaczęliśmy z żoną poznawać takie formy jak np. podkasty. Postanowiliśmy też nie stać w miejscu i nie narzekać, że jest źle, tylko zrobić coś, żeby było lepiej. I tak zawiązaliśmy z kolegami organizację społeczną Gildia Sztuk Wszelakich. Gildia zrzesza artystów i przedsiębiorców, którzy chcą połączyć siły. Teraz staramy się pomagać wszystkim, którzy chcą przenieść swoją sztukę do internetu. Chcemy szkolić, doradzać w tym zakresie. A dzięki wsparciu z programu Kultura w Sieci mieliśmy możliwość stworzenia z żoną miejsca w sieci, które jest i nazywa się Inkubator Teatralny. Już od 15 czerwca można się zgłaszać na stronę inkubatorteatralny.pl.

Do kogo ten projekt jest adresowany?

Do profesjonalistów w teatrze, absolwentów lub studentów ostatnich lat szkół artystycznych mających pomysł na zrobienie spektaklu, ale

REKLAMA



PATRONAT MEDIALNY:

HISTORIA.ORG.PL

HISTORYKON.PL

40/0520/F

eprasa.pl 1002e58ffc



niewiedzących, jak się do tego zabrać. Do ludzi, którzy mają pomysł i którzy chcą tworzyć poza głównym obiegiem teatrów publicznych. W Inkubatorze Teatralnym dowiedzą się, jak w polskich warunkach może i powinna działać profesjonalna grupa teatralna czy – jak mówią niektórzy – „kompania teatralna". W Holandii taka jednostka jest podstawą życia teatralnego. Zajmiemy się także tematem przenoszenia teatru do sieci. Wspierają nas ciekawi eksperci. Świat się zmienia, a sztuka wraz z nim i trzeba odpowiadać na nowe wyzwania. Jeśli ktoś nie zechce na nie odpowiedzieć, to może się okazać, że odbiorcami jego twórczości będzie tylko lokalna społeczność.

Jak więc się zmieni sztuka? Wygląda na to, że może stać się po prostu bardziej dostępna, mniej elitarna.

Dokładnie! Sam miałem możliwość obejrzenia kilku spektakli ze świata, co do których już się pogodziłem, że ich nie zobaczę ze względu na odległość. Wielu mniej zasobnych polskich teatromanów mogło zobaczyć spektakle z innych miast. Jeśli dobrze zrozumiemy wyzwania, potencjał tej sytuacji, to dokona się w nas reforma mentalna. Przed nami czas reform właśnie. Czas na zmianę strategii. Działalność w internecie nastawia się na dotarcie do maksymalnie szerokiego grona odbiorców. Teraz robiło się spektakl dla kilkuset osób. I to, zakładając państwowe dotacje, wystarczyło, by utrzymać artystów i całe teatralne przedsięwzięcie. Teraz będzie można robić wciąż sztukę ambitną, która będzie się jednak posługiwała bardziej dostępnymi środkami wyrazu, tak by dotrzeć do szerokiego odbiorcy. Do tej pory w polskim systemie kultury artysta musiał się liczyć z tym, co myśli mecenas, minister czy recenzent, którego czyta lokalny urzędnik przyznający środki. Piękne w internecie jest to, że w pewnym sensie zrywa te kajdany. Teraz najważniejsza będzie relacja z widzem, końcowym odbiorcą. W Inkubatorze Teatralnym pokażemy, że coś dobrego można stworzyć nawet w domu, przy niskim nakładzie, ale dystrybucja tego „towaru", dotarcie do ludzi, to osobna sztuka, którą artyści muszą teraz posiąść.

> Jestem nieustannie zdziwiony, że nie żyjemy w przestrzeni demokracji, tylko w przestrzeni wojny, w której biorą udział artyści, stawiając się po jednej czy drugiej stronie

To chyba szansa na to, by po pierwsze sztuka szerzej trafiała pod strzechy, a po drugie, by dobrą sztukę, niższym kosztem mogło wytwarzać więcej zdolnych osób.

Właśnie tak. Ta sytuacja otwiera wiele nowych furtek. Z jednej strony muzycy mówią, że tęsknią za widzem, ale z drugiej strony mogą grać na żywo z artystami z całego świata, by chwile potem bawić się ze swoimi dziećmi w swoim podkarpackim domku. Takich możliwości wcześniej nie było. Przynajmniej w naszych głowach. Weszliśmy w kolejny etap rewolucji technologicznej. Inną kwestią jest oczywiście to, czy technologia będzie nam służyć, czy staniemy się jej zakładnikami. Ale pytanie o to, jak korzystamy z narzędzi, które są wytworem cywilizacji, nie jest nowe

Czas przed kwarantanną był dla pana intensywny. Była premiera „Zemsty" w Teatrze Telewizji według pana scenariusza i w pana reżyserii. Było słuchowisko radiowe „Przed sklepem jubilera" i film „Niepokonany" z pana udziałem, jest „Ojciec Mateusz". Mam jednak wrażenie, że środowisko wysłało pana niemal rok temu na kwarantannę w związku z niesłusznym oskarżeniem o homofobię. Czy ona dobiegła końca?

Jeden warszawski teatr rozprawił się ze mną w stylu iście stalinowskim, totalitarnym. Wyrzucono mnie bez rozmowy, bez zapytania o wyjaśnienie, wyłącznie na bazie kłamliwych publikacji. Ale to świadczy tylko o tych ludziach, że nie rozumieją, czym jest demokracja czy wolność wypowiadania poglądów. Sami mają tolerancję na sztandarach, a na każdym kroku dyskryminują, kneblują, nie przedstawiając racjonalnych argumentów. Kłamią w żywe oczy, ignorując także prawo, bo wiedzą, że w sądzie i tak wygrają, ale zobaczymy, kto ma dłuższy oddech. W jakimś świecie równoległym żyje sobie ta część środowiska, która jest najbardziej krzykliwa, bo ma dostęp do mównicy publicznej. Część artystów, z różnych względów: towarzyskich, politycznych, czuła się w obowiązku, by dołożyć się do tego publicznego pręgierza, pod którym postawił mnie Tomasz Lis i Wirtualna Polska. Powstały kłamliwe publikacje, które były powielane w innych mediach. Choć opublikowano po interwencji mojego prawnika sprostowanie, to jednak było ono mniej widoczne niż tytuły, który powielały kolejne portale, oskarżając mnie o homofobię.

Przypomnijmy tylko, że zapytał pan na Twitterze, czy pedofile są częścią

Fot. Andrzej Wiktor

9/0120/F

eprasa.pl 1002e58ffc

środowiska LGBT, domagając się tak naprawdę odcięcia tego środowiska od pedofilii.

To był czas przedwyborczy. Chodziło mi o to, by partie, które mają w swoim programie hasła dotyczące środowiska LGBT, wypowiedziały się jasno w sprawie pedofilii. Niestety, jest tak, że ten „+" powoduje, że może powstać wrażenie, że mamy do czynienia ze zbiorem rozmytym. W każdym razie dalekie to jest od konkretu. Jeżeli jestem obywatelem, który nawet chciałby się zgodzić na tolerowanie osób kochających inaczej, to czy nie mam prawa zapytać o to, co kryje się pod tym skrótem? W Holandii, gdy pedofile próbowali się podłączyć pod marsz równości, organizatorzy natychmiast odcięli się od nich, deklarując swój całkowity sprzeciw wobec pedofilii. Brakowało mi takiej deklaracji w polskiej przestrzeni publicznej. Z jednej strony pojawiają się pewne dwuznaczne gesty czy zachowania, a z drugiej opinia publiczna ma przyjąć za pewnik, że te środowiska są przeciw pedofilii. Nie miałem podstaw, by przyjąć to za dogmat i pewnik. Dlatego zapytałem. Mało tego pytałem też o to, kto czuje się kompetentny, czyli kto bierze odpowiedzialność za ten ruch? Warto też przypomnieć, że mój wpis poprzedzał wystąpienie abp. Jędraszewskiego o tęczowej zarazie i nie miał z nim nic wspólnego. Jednak został z tą wypowiedzią medialnie połączony.

Zdziwiło pana to zamieszanie?

Jestem nieustannie zdziwiony, że nie żyjemy w przestrzeni demokracji, tylko w przestrzeni wojny, w której biorą udział artyści, stawiając się po jednej czy drugiej stronie. Tymczasem artyści, gdyby tylko zechcieli współpracować, mogliby zaproponować zupełnie inną, nową perspektywę, która mogłaby prowadzić do cementowania, zamiast dzielenia społeczeństwa. Mogłaby mosty budować, zamiast pomagać je burzyć. Artyści mają oczywiście prawo do prowokacji. Ja także z tego prawa skorzystałem. Okazało się jednak, że jednym wolno mniej niż innym. Jedni oceniani są jako twórcy, inni wyłącznie w kontekście politycznym. Ludzie, którzy mnie znają, wiedzą, że jestem bardzo tolerancyjny. Homofob to ostatnie słowo, które do mnie pasuje. Kilka miesięcy później wciąż nie wiem, kto w Polsce stoi na czele ruchu LGBT i jakie są jego konkretne postulaty. Organizacji broniących praw środowiska LGBT jest dużo, każda ma nieco inne postulaty, a gdy powie się coś, co temu środowisku się nie spodoba, natychmiast wszystkie czują się obrażone. W tym sensie przypominają nieco organizacje anarchistyczno-terrorystyczne, a nie zorganizowany ruch domagający się czegoś konkretnego. W tamtym czasie jeden z posłów Zielonych przyznał na wizji, że jest współorganizatorem marszu, że miałem prawo zadać takie

REKLAMA



KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Weź pożyczkę bez wychodzenia z domu!

- Zadzwoń do placówki lub pod nr **801 600 100** (koszt wg taryfy operatora)
- Złóż wniosek na **www.kasastefczyka.pl**

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Klientów nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Pożyczkę bez wizyty w placówce mogą otrzymać Członkowie Kasy Stefczyka. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

Przykład reprezentatywny z dnia 10.04.2020 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 7%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 7,23%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 23,95 zł oraz ostatnia, 48. rata: 23,87 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1149,52 zł, w tym odsetki: 149,52 zł.

eprasa.pl 1002e58ffc

pytanie oraz że on całkowicie odcina się od środowiska pedofilskiego. Dodał też, że zostałem pokrzywdzony taką reakcją medialną i ekonomiczną. Ale to była merytoryczna reakcja wyłącznie tej jednej osoby. Nikt więcej w tak jasny i klarowny sposób nie odciął się od pedofilii. Mało tego, nikt nie zadeklarował aktywnego udziału w walce z pedofilią. Łatwiej było ze mnie robić wariata. Później też usłyszałem od kolegów gejów, że ich nie obraził mój wpis, tylko to, co przeczytali w mediach, że w tym wpisie było, a czego w rzeczywistości w nim nie było.

Mówi pan, że środowisko LGBT nie ma jasno sformułowanych postulatów. Komu i czemu więc mają służyć, tzw. parady równości, obrażanie katolików?

Nie mam pojęcia. Na pewno nie służą zwiększeniu akceptacji dla homoseksualistów. Znajomi geje twierdzą, że im to psuje wizerunek, opinię, a w niczym nie pomaga. To są akcje polityczne i ideologiczne. W Holandii ruch LGBT miał na celu zrównanie praw mniejszości z prawami większości, a głównym celem były małżeństwa jednopłciowe. Ten cel został osiągnięty ponieważ to środowisko działało jak zwykła grupa interesu. Spokojnie, pragmatycznie, tłumacząc swoje racje, zabiegając o tolerancję. Mój przykład unaocznił mi to, że tu, już od jakiegoś czasu, bardziej chodzi o polityczną wojnę kulturową niż o tolerancję dla osób niezwykłych.

Przyznał pan kiedyś, że w wieku 16 lat padł pan ofiarą dyrygenta chóru – pedofila. Jak więc z punktu widzenia ofiary ocenia pan polską dyskusję na temat pedofilii?

Trudno mi zrozumieć, dlaczego tak trudno zgodzić się co do tego, że jest to zło, bez względu na środowisko. To trudny temat, bo skuteczny pedofil bardzo dba, żeby mieć znajomych w wielu środowiskach, w prokuraturze, policji, do tego nieposzlakowaną opinię, tak by ludziom trudno było uwierzyć, że mają do czynienia ze złym człowiekiem. Tak było w przypadku pana Sadowskiego. Trudniej wówczas uwierzyć ofiarom (których musi ujawnić się wiele), a ofiarom trudniej opowiedzieć prawdę. I tu znów wrócę do tego, o czym mówiłem, czyli braków w demokracji. Spór polityczny nigdy nie powinien zejść poniżej pewnych fundamentów, poniżej racji stanu, czy w tym przypadku poniżej racji dzieci. To jest coś, co powinno być ponad podziałami. Jednak nieumiejętność wzniesienia się ponad podziały dowodzi, że mamy deficyty demokracji.

A jak panu udało się przepracować temat molestowania we własnym życiu?

Ze zdziwieniem uświadomiłem sobie, że ten temat był u mnie wyparty aż do momentu, kiedy ze względu na bardzo ciężki okres w moim życiu zacząłem sięgać po pomoc specjalistów psychologów, psychiatrów. Po dziesięciu latach pracy nad swoimi „tematami", jak to się mówi slangowo w psychoterapii, odgrzebałem te zdarzenia. W owym czasie tak bardzo nie mogłem sobie poradzić z tym, co się działo, że zapakowałem to i odstawiłem na półkę. Teraz mogę powiedzieć: pedofil robi swoje, a odpowiedzialność za to, że okoliczności są sprzyjające, leży jednak po stronie rodziców.

Wróćmy jeszcze do artystów: dlaczego to środowisko jest tak bardzo zaangażowane politycznie?

Problem tkwi w niezreformowanym systemie redystrybucji dóbr i środków. Gdy ktoś był przy korycie i je traci, to występuje przeciw tym, którzy mu to koryto zabierają. Obawiam się, że artyści nie są zbyt mocno uświadomieni systemowo, nie do końca mają rozeznanie w tym, co się naprawdę dzieje, są zanurzeni w swojej sztuce. Docierają do nich nagłówki, czyli wydarzenia po odpowiedniej obróbce medialnej, tak jak było w moim przypadku. I choć artyści powinni być najbardziej świadomymi członkami wspólnoty, to czasem wygląda to tak, jakby byli najmniej uświadomieni. Są też zaszłości z PRL. Kultura była kontrolowana odgórnie (i wciąż jest), nie ma potrzeby urynkowienia jej. Aktorzy tęsknią też za ich pozycją z PRL. Wielu było autorytetami, bo byli po stronie opozycji, uświadamiali ludzi. Legenda została. Tęsknota za mentalną rolą do odegrania także. Tymczasem np. w Holandii aktorzy nie są traktowani jak autorytety. Są rzemieślnikami, robią swoje. Wszystko, co mówię, mówię z perspektywy osoby, która pół życia spędziła w innym kraju, a drugą (tę dłuższą) obserwuje Polskę.

Łatwo nas zrozumieć?

Cały czas się uczę. Ale wiele jest dla mnie niejasne. Nie ma przejrzystych zasad, równych dla wszystkich, a to znaczy, „że inni szatani są czynni". Weźmy ten mój wpis sprzed niemal roku. To jest dowód na to, że chyba nie do końca nauczyłem się tu żyć. Wiele osób mówiło mi: „Nie powinieneś był robić tego wpisu" czy „Tak się w Polsce nie robi". A ja wciąż nie rozumiem, dlaczego nie mogę zapytać, czy środowisko LGBT odcina się zdecydowanie od pedofilii. Podobnie było ze „Smoleńskiem". Stałem się po tym filmie „smoleńskim moherem" tylko dlatego, że zadawałem takie same pytania jak Holendrzy po katastrofie MH17. Australia i Holandia oficjalnie oskarżyły Rosję o zestrzelenie samolotu nad Ukrainą. Zginęło wtedy 300 osób. Holendrzy pytali rząd, czemu działa opieszale, czemu nie ma wraku. Ale tamten rząd zadziałał, jak należało, sprowadził wrak, odbudował go. Ja zadawałem identyczne pytania o Tu-154M. Znajomi oskarżali mnie wtedy, że działam politycznie. Okazuje się, że nie można w Polsce zadawać prostych pytań, bo wszystko ma swój kontekst, kalkulację, interesy.

Dlaczego to Polskę wybrał pan na kraj swojej dorosłości?

To ona mnie wybrała. Polska jest super. Moja mama pochodzi z Polski. Byłem zachwycony polską szkołą teatralną, to była wtedy najlepsza szkoła w Europie. I tu zostałem. Jedni wybierają Indie, a ja osiadłem w kraju nad Wisłą.

eprasa.pl 1002e58ffc

Związek hamburgera z Hamburgiem



PIOTR CYWIŃSKI

Jeśli część amerykańskich żołnierzy z Niemiec trafi do Polski, podważy to ustalenia NATO–Rosja. Ani Europa, ani reszta świata nie są tym zainteresowane – komentują pogłoski o planach USA niemieccy politycy. Można rzec, „typisch deutsch". Polska traktowana jest bowiem za Odrą jako teren przygraniczny, bronowany przez niemieckie pługi. O co toczy się gra?

Po 11 miesiącach urzędowania w Berlinie ambasador Richard Grenell zawiązał krawat i wraca do Waszyngtonu. Że niby będzie wspierał kampanię wyborczą prezydenta Donalda Trumpa, taki niezbędny... Czy można snuć analogie do odwołania ambasadora Charlesa Redmana z początku lat 90., po zaledwie 17 miesiącach służby? Można, a nawet trzeba. Jego gabinet w Bonn stał de facto pusty przez półtora roku. Od zjednoczenia RFN z NRD stosunki niemiecko-amerykańskie przypominają sinusoidę.

Obecnie, jak tuż po zburzeniu muru berlińskiego, znajdują się w najgorszej fazie. Gdy opadła żelazna kurtyna, nad Renem, gdzie znajdowała się siedziba rządu federalnego, powiał wiatr nowych politycznych aspiracji. Do tego czasu zachodnie Niemcy, jako wschodnia flanka NATO, były oczkiem w głowie Ameryki. Po anszlusie NRD, ten – jak wcześniej pokpiwano – „polityczny karzeł" zaczął prowadzić własną grę. „Kit, który nas zlepiał w czasie zimnej wojny, nie istnieje", skwitował krótko ówczesny szef dyplomacji USA Warren Christopher.

O relacjach obu krajów przestał decydować parasol atomowy USA nad „republiką bońską", górę wzięły odmienne interesy polityczne i gospodarcze. Lista obustronnych pretensji wydłużała się niemal z miesiąca na miesiąc. Niemców irytowało, że dla USA wciąż znaczenie miała Kuba, a USA – demonstracyjny sprzeciw Kanzlerbungalow wobec polityki Białego Domu. „Prawie nie pojawiamy się w amerykańskiej telewizji", ubolewał „Hamburger Abendblatt", a jeśli, to „w obrazkach z orgii piwnej w Monachium i klepiących się po tyłkach facetów w skórzanych porciętach czy z okresu drugiej wojnie światowej", aż jedna trzecia artykułów o RFN w gazetach USA zawierała słowo „naziści" – dowodziły niemieckie analizy.

Politycy zza oceanu zaczęli omijać Bonn szerokim łukiem. Na otwarcie American Academy w Berlinie, mającej



Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1002e58ffc

„wpłynąć na poprawę wizerunku Niemców" za oceanem, przybyli prezydent RFN, kanclerz i przewodnicząca Bundestagu, USA reprezentował ambasador i były senator polityki zagranicznej. Już podczas inauguracyjnej debaty doszło do ostrych starć w sprawach polityki europejskiej i międzynarodowej.

„Naszą tradycyjną przyjaźń ogarnęła erozja", ubolewał chadecki poseł Karl Lamers z CDU, dziś wiceprzewodniczący Komisji Obrony w Bundestagu, a Karsten Voigt, rzecznik polityki zagranicznej SPD, przestrzegał: „Te małe utarczki mogą się przerodzić w rzeczywisty konflikt".

MYSZ RYKNĘŁA

Nie były to małe utarczki. Zaczęło się od symptomatycznej wypowiedzi kanclerza Helmuta Kohla: „Nie chcemy mniej Ameryki, chcemy więcej Europy", co bez dyplomatycznego rastra oznaczało: to koniec waszych arbitralnych rządów. Co więcej Kohl, który przyznał później, że granicę na Odrze i Nysie uznał „pod presją Amerykanów", zaczął się domagać miejsca w gronie głównych decydentów o losach świata, czyli wśród stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ: Stanów Zjednoczonych, Chin, Rosji, Francji i Wielkiej Brytanii.

Rozdźwięki między Niemcami a USA potęgowały skrywane skandale. Tygodnik „Der Spiegel" wydobył na światło dzienne wydalenie z Niemiec dyplomaty-szpiega CIA, który wpadł przy nakłanianiu do współpracy urzędnika ministerstwa gospodarki w Bonn. Z kolei „Focus" ujawnił porwanie byłego szpiega CIA Jeffreya Carneya, zwerbowanego najpierw przez wschodnioniemiecką STASI, a po zjednoczeniu przez BND. Wysłannicy CIA uprowadzili zdrajcę w biały dzień z ulic Berlina.

Do pierwszego wyraźnego pęknięcia doszło jednak dopiero po napaści Iraku na Kuwejt, gdy w Bonn w antyamerykańskiej histerii wyległo na ulice ćwierć miliona Niemców z hasłami „Amis go home", „Żadnej krwi za ropę" itp. W odpowiedzi wywiad USA upublicznił listę „niemieckich eksporterów śmierci", kilkudziesięciu firm zarabiających na dozbrajaniu państw objętych międzynarodowym embargiem. Kanclerz Kohl ratował reputację republiki wielomiliardowym czekiem na potrzeby USA w wojnie w Zatoce Perskiej.

Atmosferę pogarszała dodatkowo niemiecka fala liczonych w tysiącach napaści na obcokrajowców, podpaleń i mordów. Gdy do Waszyngtonu przybył minister spraw zagranicznych Klaus Kinkel, przed Białym Domem witały go tłumy skandujące: „naziści!", „totalitarne świnie!" itp., z transparentami o „niemieckiej powtórce z historii". Już po powrocie do kraju Kinkel odparował krytykę USA za wydalenie z RFN tysięcy uciekinierów bośniackich słowami: „Amerykanie nie będą nas pouczać, co mamy robić!".

Wkrótce nie było resortu, który nie zgłosiłby jakichś pretensji: ministerstwo transportu o utrudnianie Lufthansie zdobywania nowych połączeń, ministerstwo nauki o rzekomą dyskryminację za oceanem niemieckich instytutów naukowych, ministerstwo ochrony środowiska wytykające Amis zatruwanie okołoziemskiej atmosfery... – przykłady można mnożyć. Wydawać by się mogło, że gorzej być nie może, a jednak...

„FUCK U$A"

Po objęciu urzędu kanclerskiego przez Gerharda Schrödera następca Kohla wystąpił przez chwilę w zwodniczej roli apostoła porozumienia. Zaprosił na szczyt G-7 w Kolonii prezydenta Borysa Jelcyna i dosłownie doprowadził, podtrzymując pod pachą, pijanego gościa z Moskwy na miejsce obrad. To z inicjatywy Schrödera włączono rosyjskiego bankruta do grona... najbardziej rozwiniętych krajów świata.

Po sfinalizowaniu przeprowadzki parlamentu do Berlina na otwarcie odbudowanego Reichstagu kanclerz lewicy zaprosił do wygłoszenia inauguracyjnego przemówienia byłego agenta KGB w Dreźnie Władimira Putina i ku zaskoczeniu następcy Jelcyna oraz osłupieniu Waszyngtonu nazwał Rosję „strategicznym partnerem" Niemiec.

Moskwa ochoczo podjęła tę grę. Schrödera i Putina połączyła karykaturalna wręcz przyjaźń. „Wołodia" przywiózł na urodziny „Gierda" do jego willi w Hanowerze chór kozaków śpiewających po niemiecku, przysłał jego czwartej żonie bombki na choinkę, były wspólne sanny z pochodniami, ba, pośredniczył w adopcji dwojga sierot z Petersburga (dzieciom na dobre to nie wyszło, bo Schröderowie później się rozwiedli, ekskanclerz ma już piątą żonę).

Niemcy i partnerska Francja zaczęły budować z Rosją nowy sojusz, z artykułowanym jawnie celem „uwolnienia Europy od sobiepaństwa USA".

Czy Waszyngton coś przespał? Nie. Już administracja Billa Clintona nazywała politykę Paryża i Berlina „rozbijacką wobec NATO i całego Zachodu", a ilustracją jej stosunku do Niemiec było zbojkotowanie przez USA Światowej Wystawy Expo 2000 w Hanowerze.

Schröder także kampanię wyborczą o drugą kadencję w 2002 r. wygrał na antyamerykańskim wierzchowcu – między Berlinem a Waszyngtonem iskrzyło już na całej linii: od blokowania przez RFN negocjacji akcesyjnych Turcji z UE, przez różnice zdań co do interwencji zbrojnej w Iraku i atomowych ambicji Iranu, embarga na dostawy broni dla Chin, po irytujące Niemców milczenie USA w sprawie członkostwa w gronie stałych członków Rady Bezpieczeństwa, będącym od czasów Kohla priorytetem wszystkich koalicji rządowych.

Gdy prezydent George Bush junior przybył z ostatnią wizytą za Schrödera nad Szprewę, przez Berlin, podobnie jak wcześniej przez Bonn, przetoczyła się wielka antyamerykańska manifestacja z hasłami: „Amis go home", „Strefa wolna od Busha", „Fuck U$A"... W zapomnienie poszło nawet wezwanie prezydenta Ronalda Reagana spod Bramy Brandenburskiej z 1987 r.: „Mister Gorbaczow, tear down this wall".

Doradca Busha David Gompert upatrywał zlodowacenia stosunków z Niemcami nie tylko w wybujałych aspiracjach Kohla i Schrödera. Jak różnicował: „Nasz horyzont jest globalny, nasze działania zmierzają do integracji", a Europa zdominowana przez Niemcy i Francję „przejawia tendencje izolacjonistyczne". Ale właśnie z tego powodu administracji USA zależało na pozyskaniu Niemiec jako wpływowego sojusznika na Starym Kontynencie.

Nowe nadzieje na odgruzowanie transatlantyckich stosunków wzbudził za oceanem wyborczy sukces Angeli Merkel.

eprasa.pl 1002e58ffc

BECZKA ŚLEDZI

Gdy po objęciu urzędu kanclerz Merkel zaprosiła prezydenta Busha do złożenia wizyty, wszystko poszło w niepamięć. Prezydent USA wycałował gospodynię i wyznał do mikrofonów: „To wielki zaszczyt mieć Niemców za przyjaciół i partnerów", i zagaił: „Nasze narody ramię w ramię mogą osiągnąć bardzo wiele". Kanclerz Merkel odwzajemniła się zdaniem: „My, Niemcy, wiemy, komu zawdzięczamy życie w wolnym, zjednoczonym kraju", i obiecała „wspólną odpowiedzialność w świecie". Na cześć Busha nadziano w meklemburskiej wiosce Trinwillershagen na ruszt dziką świnię, której pilnowało 3 tys. uzbrojonych po zęby policjantów, by przypadkiem nie przedostał się jakiś demonstrant ze starym transparentem.

Przed piknikiem Uncle Sam odebrał w Stralsundzie „prezent od mieszkańców" – beczkę ze śledziami, zapalił świeczkę w kościele odremontowanym za amerykańskie dolary i podyrygował orkiestrą dętą, grającą na jego cześć. Świat miał zobaczyć spektakl „nowego otwarcia", prezydent USA nie przyjechał już do „starej Europy", lecz do nowych Niemiec, awansowanych w jego ustach do rangi „najważniejszego sojusznika w Europie i polityce światowej".

Kurs Busha pogłębił jeszcze Barack Obama, który nobilitował Niemcy przybyciem do Berlina przed i tuż po objęciu prezydentury, zresetował stosunki z Rosją, ignorując interesy środkowo-wschodniej Europy, w tym Polski, w naiwnym oczekiwaniu, że poprzez Berlin zyska wpływy w Unii Europejskiej, NATO, a może i w relacjach z Chinami. Pudło! Jest taka sentencja w „Fauście" Goethego: „Po niemiecku się kłamie, gdy jest się uprzejmym" („Im Deutschen lügt man, wenn man höflich ist") – Niemcy robili własną politykę, a okazjonalne zapewnienia o serdecznych więzach z USA miały tyle wspólnego z rzeczywistością, ile hamburger z Hamburgiem.

Prezydent Donald Trump stracił cierpliwość i siłą rzeczy stał się w Niemczech tak znienawidzony jak żaden z poprzedników. Przekonał się o tym podczas szczytu G20 w rozognionym Hamburgu, dokąd przybył wprost z Warszawy. Oliwy do ognia dolała sama Merkel, która miesiąc wcześniej, po szczycie G7 we Włoszech, skomentowała, że „na USA nie można już polegać".

Jest taka sentencja w „Fauście" Goethego: „Po niemiecku się kłamie, gdy jest się uprzejmym" – Niemcy robili własną politykę, a okazjonalne zapewnienia o serdecznych więzach z USA miały tyle wspólnego z rzeczywistością, ile hamburger z Hamburgiem

POLSKA W ROZUMIE

Z punktu widzenia Berlina Trump bruździ we wszystkich interesach Niemiec: krzyżuje plany niemiecko-rosyjskiego monopolu energetycznego na kontynencie, storpedował lukratywne dla eksporterów z RFN porozumienie celne USA–UE, na dodatek dozbraja Polskę, dowartościował Grupę Wyszehradzką i inicjatywę Trójmorza, a poza Europą działa na własną rękę na Bliskim Wschodzie, czepia się niemieckich geszeftów w Iranie, i nie tylko, i przeszkadza w rozwijaniu współpracy z Chinami.

Czarę goryczy dopełniała krytyka Trumpa za niewywiązywanie się Niemiec z sojuszniczych obowiązków w NATO. Amis nie mają ochoty dokładać do Niemiec i jeszcze ich bronić. Odwołany ambasador Grenell był równie niepopularny w RFN jak prezydent Trump. Ostro napiętnował rząd Merkel za sabotowanie polityki Białego Domu, zapowiedział wzmacnianie konserwatywnych ruchów antyestablishmentowych w Europie i to on pierwszy groził wycofaniem części amerykańskiego kontyngentu wojskowego, jeśli Niemcy nie zaczną łożyć na cele obronne tyle, ile powinni. Ostrzegł też rząd federalny przed zapaścią współpracy wywiadów, jeśli Niemcy zrealizują pomysł zaangażowania chińskiej grupy Huawei w rozwój swej sieci mobilnej 5G.

Minister spraw zagranicznych Heiko Maas (SPD) przyznaje, że stosunki z USA „są skomplikowane". Na spekulacje o relokacji amerykańskich żołnierzy odpowiada, że „współpraca leży w interesie obu krajów". Problem w tym, że od zjednoczenia Niemiec ich interesy są kontradyktoryjne. Szef frakcji SPD Rolf Mützenich powtarza starą piosnkę o „potrzebie ukształtowania nowej polityki bezpieczeństwa w Europie", zaś rzecznik polityki zagranicznej Zielonych Jürgen Trittin snuje: „Jeśli część amerykańskich żołnierzy zamiast do domu trafiłaby do Polski, oznaczałoby to większą niepewność. Gdyby wojska amerykańskie miały tam zostać na stałe, byłyby to mocnym podważeniem obowiązujących aktów NATO–Rosja". Jakich? Nie uściślił. I dalej: „Europa nie jest tym zainteresowana, podobnie jak reszta świata"... Można rzec, „typisch deutsch": Polska jako w najlepszym razie teren przygraniczny RFN, bronowany przez niemieckie pługi...

Niemcy po cichu woleliby, aby Amerykanie się wynieśli, socjaldemokrata Mützenich chce „wykluczenia stacjonowania amerykańskiej broni atomowej w przyszłości na terenie RFN", ale minister Maas wycisza te postulaty, notabene pojawiające się już od chwili zjednoczenia, z prostego powodu: Niemcy nie są na to przygotowane i obawiają się niewiadomych konsekwencji. Całkowite wycofanie żołnierzy byłoby też błędem USA, gdyż w praktyce oznaczałoby wypuszczenie spod choćby częściowej kontroli polityki Berlina, do której Waszyngton nie ma zaufania, ergo – nie leży to również w naszym interesie. Niezbędne jest zatem zachowanie równowagi, a więc utrzymanie 25 tys. żołnierzy US Army w RFN i równoczesne wzmocnienie sił amerykańskich w Polsce – takich jednak ustaleń nie podejmuje się w świetle jupiterów...

eprasa.pl 1002e58ffc

W cieniu Trianon

Sto lat temu został podpisany traktat, który do dziś stanowi głęboką ranę dla węgierskiego narodu

4 czerwca o godz. 16.30 na Węgrzech rozbrzmiały uderzenia kilkunastu tysięcy dzwonów. W Budapeszcie ustał transport uliczny, ludzie zaś zastygli w bezruchu. Na specjalnym posiedzeniu w budynku parlamentu zebrało się Zgromadzenie Narodowe. W 69 krajach świata mieszkający tam Madziarzy rozpalili 4850 ognisk. Tego dnia nasi bratankowie obchodzili 100. rocznicę podpisania traktatu w Trianon – aktu uważanego (obok klęski w bitwie z Turkami pod Mohaczem w 1526 r.) za najbardziej traumatyczne wydarzenie w historii narodu węgierskiego. Co się wówczas stało?



GRZEGORZ GÓRNY

UPOKARZAJĄCY TRAKTAT

Koniec I wojny światowej Polacy i Węgrzy witali w zupełnie odmiennych nastrojach. Polacy byli upojeni radością, ponieważ po 123 latach niewoli mogli świętować odzyskanie niepodległości. Madziarzy natomiast byli przygnieceni smutkiem.

Wszystko to za sprawą podpisanego 4 czerwca 1920 r. w pałacu Wielki Trianon pod Wersalem traktatu pokojowego. Okazał się on dla Węgier olbrzymim ciosem. Na mocy postanowień pokojowych terytorium Korony św. Stefana zostało zredukowane do jednej ósmej dawnego obszaru, a poza nowo wytyczonymi granicami państwa pozostawiono jedną trzecią Węgrów. Madziarzy utracili dostęp do morza, ok. 90 proc. lasów i złóż rudy żelaza, 78 proc. przemysłu papierniczego, 61 proc. tekstylnego czy 50 proc. hutniczego. Siedmiogród znalazł się w Rumunii, Słowacja i Ruś Zakarpacka w Czechosłowacji, Chorwacja, Banat i Baczka w Jugosławii, a Burgenland w Austrii.

Przygnębienie z powodu upokarzających warunków traktatu było powszechne, ale osłabieni wojną Węgrzy musieli ten stan zaakceptować. Przeciwko sobie mieli nie tylko państwa Wielkiej Ententy, takie jak Francja czy Anglia, lecz także kraje Małej Ententy – czyli Czechosłowację, Rumunię i Jugosławię. Sąsiedzi Węgier, którzy najbardziej skorzystali na traktacie w Trianon, zawiązali bowiem wspólny sojusz, by w przyszłości uniemożliwić Budapesztowi rewizję granic i odzyskanie utraconych terytoriów.

PAŃSTWO KADŁUBOWE

„Rozmiarów i głębi tragedii narodu węgierskiego spowodowanej przez narzucony mu dyktat pokojowy w wersalskim pałacu Wielki Trianon nie jest w stanie uczuciowo pojąć żaden inny naród na świecie", twierdzi polski poeta Konrad Sutarski, mieszkający od niemal pół wieku w Budapeszcie. Jego zdaniem, by zrozumieć skalę węgierskiego dramatu, powinniśmy wyobrazić sobie współczesną Polskę jako państwo kadłubowe, pozbawione Krakowa, Częstochowy, Górnego Śląska i Karpat: „Dopiero to razem dałoby w przybliżeniu obraz kalekiego torsu, pozbawionego kończyn, ale zmuszonego żyć nadal: obraz rodzeństwa, kiedy brat mieszka w nadal wolnej Warszawie, podczas gdy jego siostra już pod obcym panowaniem, bo w Krakowie albo w Wadowicach. Wszystko to zaś miałoby być karą za przegraną wojnę, której Polska nie wywołała, ale została tą winą kłamliwie obciążona przez amoralnych polityków wrogich krajów, którym świat jednak uwierzył".

Żaden inny kraj nie został potraktowany podczas rokowań wersalskich tak brutalnie jak Austro-Węgry. Zdaniem Mariana Zdziechowskiego zadecydowały o tym antykatolickie uprzedzenia politycznych elit Ententy: wolnomularskiej i antyklerykalnej Francji, laickiej i anglikańskiej Wielkiej Brytanii oraz protestanckich i antymonarchistycznych Stanów Zjednoczonych. Te uprzedzenia żywione przez głównych architektów ładu wersalskiego – Georges'a Clemenceau, Lloyda George'a i Woodrowa Wilsona – dały znać o sobie, gdy decydowano o przyszłości Węgier.

„CZERWONA MAPA"

W delegacji węgierskiej na rokowania pokojowe znalazł się późniejszy premier Pál Teleki, który był wówczas jednym z najbardziej cenionych na świecie geografów i kartografów. Do historii przeszła zwłaszcza jego słynna „czerwona mapa" (carte rouge) z 1910 r., ukazująca rozmieszczenie ludności węgierskiej w monarchii habsburskiej.

eprasa.pl 1002e58ffc

Konsekwencje traktatu w Trianon z 4 czerwca 1920 r.

tereny Węgier utracone na rzecz:



Była to jedna z pierwszych na świecie map ukazujących rozkład populacji według kryteriów narodowościowych z uwzględnieniem gęstości zaludnienia.

Teleki przyjechał do Francji, mając nadzieję, że zwycięskie mocarstwa – zgodnie z zapowiedziami prezydenta Wilsona – respektować będą prawo do samostanowienia narodów. Posługując się „czerwoną mapą", chciał przekonać przywódców Ententy, żeby pozostawili przy Koronie św. Stefana przynajmniej te ziemie, na których Madziarzy stanowili większość. Okazało się jednak, że zasada, która miała zastosowanie w przypadku innych narodów, tu nie znalazła uznania.

Delegacja węgierska na czele z Albertem Apponyim zdawała sobie sprawę, że imperium habsburskiemu – jako stronie pokonanej w wojnie – przyjdzie zapłacić dużą cenę, ale nikt się nie spodziewał, że aż tak wielką. Znikła dualistyczna monarchia, a potężne jeszcze do niedawna Austria i Węgry okrojone zostały do rozmiaru kadłubków. W rezultacie w granicach państwa madziarskiego pozostało 10 mln Węgrów, 5 mln znalazło się zaś na terenie państw ościennych.

KLĘSKA REWIZJONIZMU

Postanowienia układu w Trianon położyły się długim cieniem na sytuacji Węgrów w okresie międzywojennym i zdeterminowały politykę Budapesztu w kolejnym ćwierćwieczu. Podstawowym aksjomatem rządów Miklósa Horthyego, stojącego na czele państwa w latach 1920–1944, stało się obalenie ładu wersalskiego. Ponieważ wielu Węgrów zrzucało na niego część odpowiedzialności za niekorzystne warunki pokoju, rozwinął się w nim swoisty kompleks Trianon – obsesyjne wręcz pragnienie odzyskania utraconych ziem i chęć rehabilitacji przed trybunałem historii.

Węgry były jednak zbyt słabe, by dokonać tego w pojedynkę. Potrzebowały sojuszu z kimś potężniejszym,

eprasa.pl 1002e58ffc

kto będzie zainteresowany w obaleniu ukształtowanego po wojnie porządku. Takim partnerem okazały się Niemcy, zwłaszcza po dojściu do władzy w 1933 r. narodowych socjalistów. W efekcie Miklós Horthy stał się sojusznikiem Adolfa Hitlera. Dzięki temu w listopadzie 1938 r. na mocy tzw. pierwszego arbitrażu wiedeńskiego, będącego konsekwencją konferencji w Monachium, w skład Węgier weszły ponownie ziemie zamieszkane przez większość madziarską, które po traktacie w Trianon znalazły się w Czechosłowacji.

dostał się w sowiecką strefę wpływów, w której przebywał niemal pół wieku.

POSTULATY AUTONOMII

Dziś Węgry nie żyją już w cieniu Jałty, lecz nadal żyją w cieniu Trianon – głównie z tego powodu, że nadal wielu Madziarów mieszka w państwach ościennych. Władze w Budapeszcie zdają sobie sprawę, że polityka rewizjonistyczna nie ma sensu i jest drogą donikąd. Widzą też, że madziarska społeczność w krajach sąsiednich stale się kurczy: część populacji ulega wynarodowieniu, część

> Koniec I wojny światowej Polacy i Węgrzy witali w zupełnie odmiennych nastrojach. Polacy byli upojeni radością, bo mogli świętować odzyskanie niepodległości. Natomiast Madziarzy byli przygnieceni smutkiem. Ich państwo zostało zredukowane do jednej ósmej dawnego obszaru

Później, w marcu 1939 r., w ramach dalszej likwidacji czechosłowackiej państwowości Węgrzy przyłączyli część południowej Słowacji oraz Ruś Zakarpacką, gdzie świętowali uzyskanie wspólnej granicy z Polską.

Kolejnym etapem przekreślania Trianon był w sierpniu 1940 r. tzw. drugi arbitraż wiedeński, podczas którego Niemcy i Włosi wymusili na Rumunii przekazanie Węgrom części Siedmiogrodu zamieszkanej przez większość madziarską.

W kwietniu 1941 r. Horthy przyłączył się z kolei do Hitlera i wypowiedział wojnę Jugosławii. W ten sposób Budapeszt odzyskał kontrolę nad utraconymi wcześniej regionami Baczki i Banatu.

Polityka rewizjonistyczna, oparta na sojuszu z Trzecią Rzeszą, przyniosła jednak katastrofalne skutki. Węgry znalazły się w obozie państw pokonanych. Wszystkie nabytki terytorialne z lat 1938–1941 zostały utracone. Kraj przeprowadza się na Węgry, korzystając z podwójnego obywatelstwa.

Inny jest też kontekst międzynarodowy niż w międzywojniu, gdy Węgry otoczone były przez wrogo nastawione do nich państwa. Dziś sąsiadują z dwoma krajami sojuszniczymi, znajdującymi się razem z nimi w Unii Europejskiej i NATO. Chodzi o Słowację i Rumunię, gdzie mieszka najliczniejsza mniejszość madziarska.

Mimo to Bratysława i Bukareszt obawiają się węgierskiego rewizjonizmu. Uważają, że jego przejawem są wysuwane co jakiś czas postulaty autonomii dla Madziarów w południowej Słowacji (tzw. Górnych Węgrzech) oraz w Kraju Seklerów w Siedmiogrodzie. Budapeszt uspokaja, że chodzi o rozwiązania podobne do tych, jakie funkcjonują w południowym Tyrolu we Włoszech, ale nie przekonuje to Słowaków ani Rumunów.

Choć od podpisania traktatu w Trianon minęło sto lat, nadal pozostaje on ważnym punktem odniesienia w Europie Środkowej.



Z życia Kościoła

relacjonuje **Agnieszka Ponikiewska**

1. 1 czerwca w życie weszły nowe zasady przygotowania narzeczonych do ślubu kościelnego. Rewolucji nie ma, są zmiany, które mają na celu bardziej świadome i odpowiedzialne zawieranie małżeństw. Każdy z narzeczonych będzie rozmawiał z księdzem osobno. Znikają urzędnicze formularze, na które można było odpowiadać „tak" lub „nie". Dokładniej będą też weryfikowane okoliczności, które mogłyby prowadzić do stwierdzenia nieważności małżeństwa.

✠ ✠ ✠

2. Czy w roku pandemii będzie można pielgrzymować? Główny Inspektor Sanitarny wypowiedział się oficjalnie w tej sprawie. Ograniczeń jest sporo. Organizatorzy będą musieli się stosować do szczegółowych zasad sanitarnohigienicznych. Tradycja pielgrzymowania na szczęście zostanie podtrzymana. Jeszcze wyraźniej będzie widać, że pielgrzymka to droga niełatwa, pełna wyrzeczeń i zmieniająca nas duchowo.

✠ ✠ ✠

3. Metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz zapowiedział, że w najbliższych miesiącach może dojść do beatyfikacji kard. Stefana Wyszyńskiego. Została ona przełożona ze względu na pandemię koronawirusa. Oby stało się to jak najszybciej, bo potrzeba nam takich życiowych i duchowych przewodników. Prymas Tysiąclecia nauczał, że w każdej trudnej sytuacji najpierw trzeba ufać Bogu – jak Maryja – a potem dobrze przeżyć każdy dzień, pomagając innym i wykonując swoje obowiązki. Jakże to aktualne.

✠ ✠ ✠

4. Lednica 2020 przeszła do historii. Spotkanie młodych było inne niż wszystkie. Puste pola lednickie i 130 tys. osób uczestniczących w spotkaniu w sieci. Zapamiętajmy z tego spotkania dwa ważne przesłania. Franciszek zachęcił młodych, by przyjęli za swoje motto słowa św. Jana Pawła II „Totus Tuus". Bp Adrian Galbas natomiast podkreślił: „Dobrze, żeby nas było dużo, ale ważniejsze, żebyśmy byli jacyś, a nie byle jacy.

eprasa.pl 1002e58ffc



Niezwykłe

EKSPONATY

Muzeum II Wojny Światowej

Szanowni Państwo,

w czerwcowym numerze przedstawiamy Państwu eksponaty związane z obywatelami polskimi, którzy w czasie wojny znaleźli się we Francji, takie jak pamiątki organizacji harcerskich, dzieła artystów, a także dokumenty osobiste żołnierzy, którzy wstąpili do formowanego w tym kraju Wojska Polskiego. Wybór ten związany jest z 80. rocznicą niemieckiej inwazji na Francję, zakończonej kapitulacją armii francuskiej w czerwcu 1940 r. W wydarzeniach tych brali udział polscy żołnierze wywodzący się m.in. z Polonii zamieszkującej ten kraj.

Jednocześnie zapraszamy Państwa do zobaczenia otwartej 1 września 2019 r. wystawy czasowej „Walka i cierpienie. Obywatele polscy podczas II wojny światowej", będącej projektem interdyscyplinarnym, opartym na rozmaitych formach, mediach i rozwiązaniach scenograficznych. Wszystkie te zabiegi i działania składają się na spójną opowieść o polskim doświadczeniu lat 1939–1945, ze szczególnym uwydatnieniem grozy i tragizmu tamtych czasów. Wystawa ma przemyślaną strukturę z precyzyjnie odmierzoną chronologią i dramaturgią, pozwalającą się zapoznać z wieloma kwestiami dotyczącymi okresu wojny. Intencją twórców wystawy było poruszenie emocji osób zwiedzających tak, by w jak najbardziej sugestywny sposób opowiedzieć o okropieństwach II wojny światowej poprzez wydarzenia i zjawiska wskazujące na wyjątkowość polskiego doświadczenia.



Wystawie czasowej towarzyszył międzynarodowy projekt wystawienniczy „Walka i cierpienie. Obywatele polscy podczas II wojny światowej", będący owocem współpracy z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Jego inauguracja odbyła się 15 sierpnia 2019 r. W roku 2019 wystawa została zaprezentowana w ponad 150 miejscach, w 66 krajach świata, na 6 kontynentach. Międzynarodowy projekt był największą tego typu akcją informacyjną dotyczącą II wojny światowej w historii polskiej dyplomacji. Koordynatorami prac nad wystawą w placówkach zagranicznych były: ambasady, konsulaty, instytuty polskie lub stałe przedstawicielstwa RP, które do prezentacji jej wybrały interesujące i znane w przestrzeni publicznej miejsca. O polskim doświadczeniu lat 1939–1945, tragizmie wojny i staraniach polskiego żołnierza o odzyskanie niepodległej ojczyzny dowiedzieli się mieszkańcy takich miast jak m.in. Waszyngton, Brasília, Meksyk, Edynburg, Wiedeń, Belgrad, Bangkok czy Canberra.

O wielkiej wartości i atrakcyjności przedsięwzięcia świadczy duża liczba zwiedzających oraz liczne wyróżnienia, takie jak m.in. obecność wystawy czasowej „Walka i cierpienie. Obywatele polscy podczas II wojny światowej" wraz z towarzyszącym jej międzynarodowym projektem wystawienniczym w finale 13. edycji plebiscytu „Wydarzenie historyczne roku" w kategorii „wystawa", organizowanego przez Muzeum Historii Polski we współpracy z portalem historia.org.pl oraz Muzeum Łazienki Królewskie.

Serdecznie zapraszamy do oddawania głosu na wystawę poprzez stronę www.whr.muzhp.pl, jak i przede wszystkim do odwiedzenia Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

dr Karol Nawrocki,
dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

eprasa.pl 1002e58ffc



W czasie II wojny światowej los wielu polskich cywilów i żołnierzy związany był z Francją. Do roku 1939 obywatele polscy stanowili drugą po Włochach największą grupę obcokrajowców, liczącą około pół miliona osób. Byli to głównie potomkowie rodzin, które wyjechały z Polski w okresie rozbiorów, oraz emigranci zarobkowi pracujący w fabrykach i kopalniach. Polacy we Francji stanowili mniejszość aktywną, zaangażowaną w utrzymanie narodowej tożsamości. Jesienią 1939 r. polskie władze otrzymały możliwość powoływania żołnierzy do Polskich Sił Zbrojnych poza granicami kraju. Wraz z powstaniem Wojska Polskiego na obczyźnie do Francji przyjechali politycy, żołnierze, ale też ochotnicy, uciekinierzy z obozów jenieckich oraz internowania. W 1940 r. Wojsko Polskie we Francji liczyło około 85 tys. żołnierzy. W maju i czerwcu 1940 r. polscy żołnierze wzięli udział w walkach z niemieckimi jednostkami. Ponad 2 tys. z nich zginęło. Po kapitulacji oddziałów francuskich, w czerwcu 1940 r., do Wielkiej Brytanii ewakuowano około 25 tys. żołnierzy. Część została internowana, a około 15 tys. pozostało na terenie Francji.

eprasa.pl 1002e58ffc



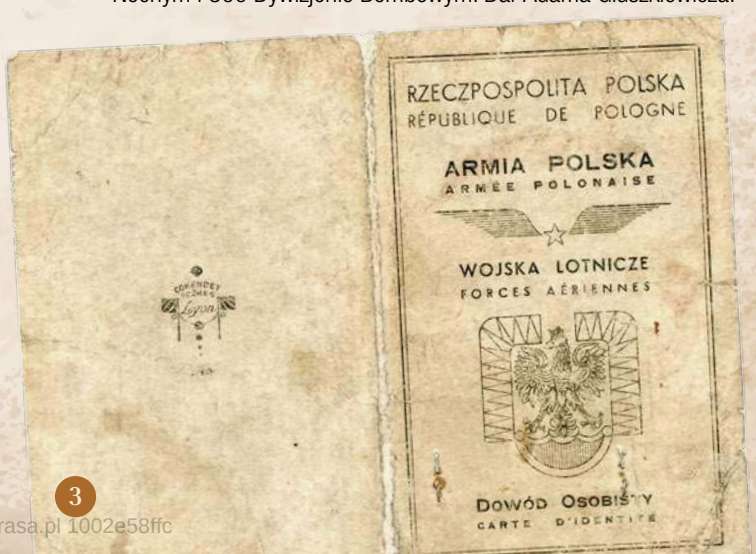
Sztandar drużyny harcerskiej w Rosieres z ok. 1937 r.

Na awersie barwy czerwonej zakomponowano wyszytego srebrną nicią polskiego orła w koronie, tuż pod nim widoczna jest maksyma: „Wszystko co nasze Polsce oddamy". W centrum rewersu barwy zielonej umieszczono krzyż harcerski otoczony poziomymi belkami z napisami „O.N.C." oraz „Druż. harc. w Rosieres". Drużyna harcerska należała do aktywnych organizacji polonijnych we Francji. Rozwijała się przy Stowarzyszeniu Strzeleckim w Rosieres od lat 30. XX w. Z chwilą wybuchu II wojny światowej uległa rozpadowi, a jej członkowie ochotniczo wstąpili do służby w Wojsku Polskim we Francji, walcząc nie tylko w 1940 r., lecz także w szeregach 2 Korpusu i Polskiej Marynarki Wojennej.


ARMÉE DE L'AIR
UNITÉS D'AVIATION POLONAISE — POLSKIE JEDNOSTKI LOTNICZE
Nom : GOŁOWACZ
Prénoms : JAN
Grade : soldat
Né le 26.XI.1911 à
Résidant à Bron (Rhône)
Profession : aide méc. d'avions
Fils de Jan et de Stefania Korzeniowska
Domicilié à Wilno
Situation de famille : Marié
Nombre d'enfants : 1
Taille : 1 mètre 69 centimètres
Marques particulières : cicatrice à la joue droite
Fait à Bron, le 21 Mai 1940.
EMPREINTES DIGITALES
SIGNATURE DU TITULAIRE :
ATTESTATION DE L'OFFICIER SUPÉRIEUR POLONAIS DÉLÉGUÉ
LE COLONEL COMMANDANT DU DÉPOT D'INSTRUCTION DE L'AVIATION POLONAISE :

Dowód osobisty Wojsk Lotniczych Armii Polskiej plut. Jana Gołowacza wystawiony przez dowódcę Centrum Wyszkolenia Lotnictwa Polskiego

W styczniu 1940 r. rozpoczęto we Francji formowanie polskich jednostek sił powietrznych. W Centrum Wyszkolenia Lotnictwa Polskiego w Lyon Bron, głównej bazie polskiego lotnictwa, trwały szkolenia personelu technicznego i pilotów, którzy przystąpili do działań bojowych już w maju 1940 r. Mechanik Jan Gołowacz (ur. 26 listopada 1911 r. w Wilnie) był członkiem naziemnego personelu technicznego lotnictwa polskiego we Francji. W późniejszym okresie, przebywając w Wielkiej Brytanii, odbywał służbę m.in. w 307 Dywizjonie Myśliwskim Nocnym i 300 Dywizjonie Bombowym. Dar Adama Głuszkiewicza.

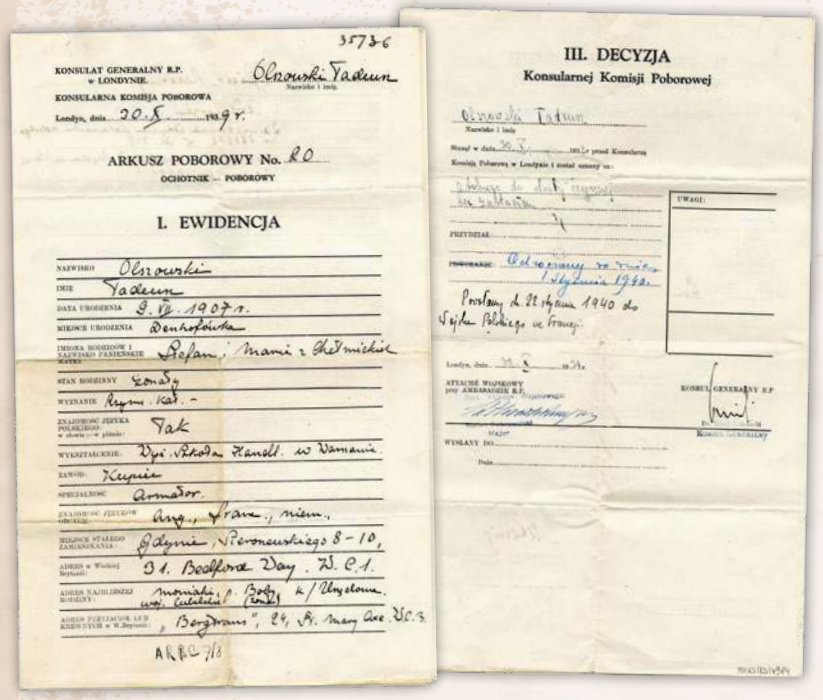

RZECZPOSPOLITA POLSKA
RÉPUBLIQUE DE POLOGNE
ARMIA POLSKA
ARMÉE POLONAISE
WOJSKA LOTNICZE
FORCES AÉRIENNES
DOWÓD OSOBISTY
CARTE D'IDENTITÉ

eprasa.pl 1002e58ffc

Francuski plakat „Loterie Nationale. Tranche de la Pologne heroïque" z roku 1940

Plakat zachęcający do wzięcia udziału w trzeciej turze Loterii Narodowej dla bohaterskiej Polski – dochód z niej przeznaczono na wsparcie polskich jednostek wojskowych organizowanych we Francji. Grafika utrzymana w biało-czerwonych barwach przedstawia orła w koronie. Została zaprojektowana w 1939 r. przez Louisa Marcoussisa, polskiego malarza działającego w Paryżu, cenionego reprezentanta kubizmu i surrealizmu. Ludwik Kazimierz Markus (ur. 14 listopada 1878 r. w Warszawie) był studentem krakowskiej ASP i paryskiej Académie Julian. Po studiach postanowił się osiedlić we Francji. W 1912 r. zmienił nazwisko na Marcoussis.





Arkusz poborowy ochotnika wystawiony dla Tadeusza Olszowskiego przez Konsularną Komisję Poborową w Londynie

Tadeusz Olszowski (ur. 9 lipca 1907 r.) był absolwentem Wyższej Szkoły Handlowej i dyrektorem Bałtyckiej Spółki Okrętowej w Gdyni. Decyzją Departamentu Morskiego Ministerstwa Przemysłu i Handlu został oddelegowany do Polskiego Komitetu Transportowego w Londynie, dokąd wyjechał 30 sierpnia 1939 r. W październiku 1939 r. stawił się jako ochotnik przed Konsularną Komisją Poborową w Londynie i w styczniu 1940 r. otrzymał powołanie do Wojska Polskiego we Francji. W Coëtquidan służył w II dywizjonie 1 Pułku Artylerii Lekkiej, a następnie został przeniesiony do ośrodka wyszkolenia oficerów w La Roche-sur-Yon. W grudniu 1941 r. otrzymał oficjalne powołanie do Rady Morskiej przy Ministerstwie Skarbu, Przemysłu i Handlu. Dar Simona Olszowskiego.



Dowód osobisty Zbigniewa Kozaka

Zbigniew Kozak (ur. 25 maja 1918 r. w Warszawie) w 1938 r. wstąpił do Szkoły Podchorążych Broni Pancernych w Modlinie, po czym otrzymał przydział do 8 Batalionu Pancernego w Bydgoszczy. We wrześniu 1939 r. batalion reorganizowano, a Zbigniew Kozak wraz z innymi żołnierzami został przeniesiony do Żurawicy. W styczniu 1940 r. jako tzw. turysta Sikorskiego, z dowodem osobistym zaszytym w kołnierzu płaszcza, przedostał się do Francji, gdzie chciał dołączyć do polskich oddziałów. Na miejsce dotarł dwa dni po rozpoczęciu niemieckiej inwazji i w czerwcu 1940 r. został ewakuowany do Wielkiej Brytanii na statku „Sobieski". Służył w 1 Dywizji Pancernej, został ranny w czasie bitwy o Normandię. W kwietniu 1945 r. brał udział w wyzwoleniu niemieckiego Stalagu VI C Oberlangen, gdzie poznał swoją przyszłą żonę, Genowefę Zofię Leśniewską, sanitariuszkę powstania warszawskiego. Dar Henryki Flisykowskiej-Kledzik.

Materiał powstał we współpracy z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku | 26/0320/F
Reklama | 60/0520/F

eprasa.pl 1002e58ffc

HUAWEI

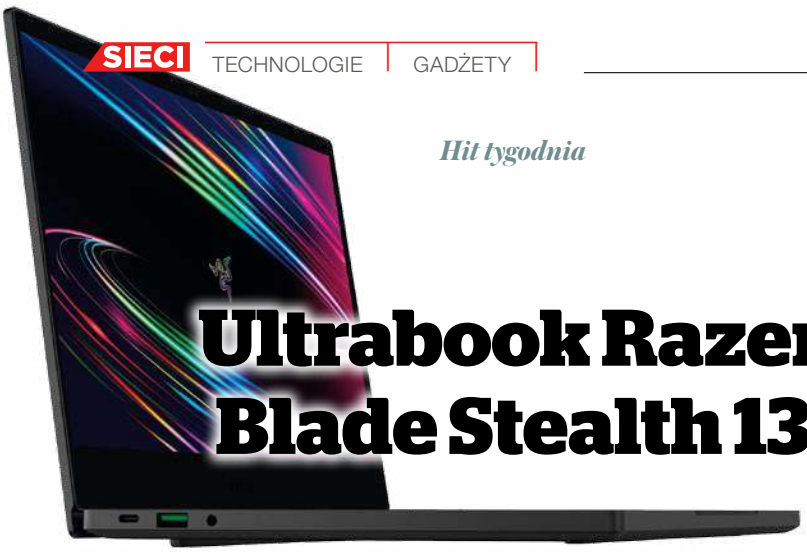
Najlepsze **aplikacje** pobieraj ze **sklepu HUAWEI**



ODKRYWAJ W
AppGallery

eprasa.pl 1002e58ffc

Hit tygodnia



Ultrabook Razer Blade Stealth 13

premiera

„Blade Stealth 13 to najpotężniejszy ultrabook na świecie, a my go dodatkowo jeszcze ulepszyliśmy" – powiedział Brad Wildes, starszy wiceprezes w dziale Systems Business Unit w firmie Razer. Czy można w sumie lepiej zareklamować swój produkt? Blade Stealth 13 to pierwszy ultrabook z ekranem o przekątnej 13,3 cala i z odświeżaniem 120 Hz. Wyświetlacz oferuje rozdzielczość 1920 x 1080 p i pokryto go matową powłoką dla lepszej redukcji niepożądanych odblasków. Dla osób korzystających ze sterowania dotykowego przygotowano również wersję Blade Stealth 13 z wyświetlaczem dotykowym 4K wykonanym ze szkła Gorilla Glass. Sercem ultrabooka jest 25-watowa wersja czterordzeniowego procesora Intel Core i7-1065G7H o taktowaniu do 3,9 GHz (przy uruchomionej technologii Intel Turbo Boost). Procesor graficzny to NVIDIA GeForce GTX 1650 Ti z 4 GB pamięci GDDR6 i 1024 rdzeniami NVIDIA CUDA, co zapewnia wzrost wydajności nawet o 80 proc. w porównaniu z GeForce GTX 1050. Blade Stealth 13 pozostaje obecnie najbardziej kompaktowym gamingowym laptopem na świecie, mierzącym zaledwie 15,3 x 304,6 x 210 mm i ważącym zaledwie 1,41 kg, przy jednoczesnym zachowaniu wszystkich funkcjonalności pełnowymiarowego laptopa do gier. Sugerowana cena to 2 tys. euro.

Plusy i minusy

+ PLUSY: ultrabook stworzony dla graczy i pod tym względem trudno się do czegoś przyczepić
– MINUSY: w zasadzie tylko gracz doceni w pełni możliwości komputera, pozostali mogą spokojnie zadowolić się tańszym (i wolniejszym) sprzętem



DJI Mavic Air 2

zapowiedź

Drony od kilku lat skutecznie wyrabiają sobie pozycję na rynku, DJI Mavic Air 2 to propozycja dla właściwie każdego: dla zawodowców i amatorów. Co ciekawego znajdziemy w tym modelu? DJI Mavic Air 2 ma nową kamerę z sensorem CMOS 1/2", matrycę 48 MP (przesłona: f/2.8). Dron potrafi nagrywać wideo hyperlapse w jakości 8K UHD. W przypadku 4K materiały filmowe jest to 60 fps. Urządzenie może latać (bez wiatru) do 34 min, zasięg to 18,5 km. Cena drona w podstawowej wersji to 849 euro.



Smartfon OPPO Reno3 Pro

cena: 2599 zł

OPPO Reno3 Pro to najnowszy flagowiec chińskiego producenta. OPPO Reno3 Pro napędza Snapdragon 765G i 12 GB pamięci RAM. Użytkownik otrzymuje 256 GB pamięci na pliki. Całość pracuje zaś wraz z najnowszą nakładką OPPO ColorOS 7 opartą na Androidzie 10. System wprowadza wiele użytecznych nowości, np. tryb ciemny, możliwość samodzielnego edytowania ikon systemowych. Urządzenie wyposażone jest w baterię 4025 mAh i tryb VOOC 4.0 30 W, dzięki czemu w ciągu zaledwie 20 min można naładować baterię do połowy, natomiast do 100 proc. – w ciągu 56 min. Smartfon ma jedynie 7,7 mm grubości, jest także bardzo lekki – waży zaledwie 171 g. Został wyposażony w zakrzywiony na bokach ekran AMOLED FHD+ o rozdzielczości 2400 x 1080 i przekątnej 6,5 cala (20:9). I oczywiście aparat fotograficzny: poczwórny aparat główny, który – przy wsparciu zaawansowanego algorytmu – umożliwi wykonywanie zdjęć w finalnej rozdzielczości aż 108 MP. Na ten zestaw składają się: obiektyw główny 48 MP (f/1.7), szerokokątny 8 MP (115°), teleobiektyw 13 MP (f/2.4) oraz monochromatyczny 2 MP.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 1002e58ffc

Hit tygodnia

Nadciąga nowy Volkswagen Arteon



Jeszcze w czerwcu ma się pojawić nowa odsłona Volkswagena Arteona, będzie także wersja Shooting Brake (czyli kombi z bardziej opadającą linią dachu). Nowy Arteon oprócz oczywiście liftingu zewnętrznego – być może zostanie zmieniony wygląd tylnych reflektorów, tylnego zderzaka, a także felg – otrzyma nową deskę rozdzielczą, która pozwoli na zastosowanie najnowszych systemów multimedialnych (MIB3) zapewniających lepszą łączność ze światem zewnętrznym. Czas zacząć odliczać do 24 czerwca.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Grupa McLaren szykuje się do restrukturyzacji. „Financial Times" podał, że w pierwszym kwartale 2020 r. straty McLaren Group wyniosły 133 mln GBP, a obroty -109 mln GBP. Jeszcze bardziej do wyobraźni przemawia liczba aut sprzedanych w pierwszym kwartale tego roku – 307 (rok temu trzy razy więcej). Pracę ma stracić 1,2 tys. osób. „To niewątpliwie ciężkie czasy dla naszej firmy, zwłaszcza dla pracujących w niej ludzi" – stwierdził Paul Walsh, prezes Grupy McLaren.

Na autostradzie A2 zamontowano system kamer, który ma pomóc wyłapywać wyprzedzające się ciężarówki. Anna Ciamciak, rzecznik prasowa Autostrady Wielkopolskiej, poinformowała, że system kamer jest w trakcie odbioru i że potem zostanie przekazany odpowiednim służbom. Czy pomoże to choć częściowo wyeliminować tzw. wyścigi słoni? Zobaczymy.

Niemcy mają pomysł, jak walczyć z hałasem. Za Odrą pojawił się pomysł, by zakazać jazdy na motocyklach w niedziele i święta. Zakaz nie objąłby jednośladów elektrycznych. Na razie jest to tylko pomysł, kontrowersyjny pomysł.

Nigdy dość kolejnych wariantów Fiata 500? Tego zdania jest chyba włoski producent – i, trzeba przyznać, ma rację. Po premierze nowego cabrio w marcu tego roku czas na limitowaną wersję hatchbacka z napędem elektrycznym o nazwie „la Prima". Samochód pojawi się na rynku już w październiku.

Na targach karawaningowych CMT w Stuttgarcie odbyła się premiera kampera firmy Affinity. W ten sposób zadebiutowała firma, której siedziba mieści się w... Ozorkowie pod Łodzią! Affinity Camper Van bazuje na dwóch modelach: Fiacie Ducato i Peugeocie Boxerze – tak, klient ma do wyboru dwie różne bazy pojazdu! Dzięki wsparciu przez szwedzkiego producenta przyczep i kamperów, firmę KABE AB, w styczniu 2020 r. uruchomiona została produkcja kamperów Affinity. Samochód zapewnia komfortową przestrzeń mieszkalną dla czterech osób, dwójki dorosłych z dwójką dzieci lub nastolatków.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 1002e58ffc

RAFAŁ MROCZEK AKTOR, TANCERZ

Wciąż jestem głodny

Można powiedzieć, że ukształtowały nas [z bratem bliźniakiem Marcinem – przyp. red.] dwa domy. Ten pierwszy, w Siedlcach, gdzie się urodziliśmy, i drugi, w telewizyjnej Grabinie, do którego trafiliśmy 18 lat później.

W „M jak miłość" jako Paweł Zduński przeżyłem – aż trudno uwierzyć – dwie dekady. I jeśli miałbym określić smak wspomnień związanych z tym serialem, to byłaby to mieszanka słodka-gorzko-słona. Jak 20 lat życia bohaterów. Były momenty piękne, ale też rozczarowania i zwątpienia.

Natomiast najwcześniejsze lata w rodzinnym mieście kojarzą mi się całkiem konkretnie, z... serkiem homogenizowanym z siedleckiej mleczarni. Smakowy hit naszego dzieciństwa bił wszystko inne na głowę. Przez długi czas w Warszawie tego właśnie serka bardzo mi brakowało.



W domu w Siedlcach smakowała też najlepsza sałatka jarzynowa mamy oraz obowiązkowy zestaw: schabowy z kapustą pekińską i parzaki.

Wyjazd do Warszawy na studia oznaczał także samodzielność kulinarną. Przyznaję, od początku lepszy w kuchni był Marcin, ale dania, które najczęściej przygotowywaliśmy, nie sięgały jakichś wyżyn. Numerem jeden, jak u wielu studentów, był ryż z mięsem mielonym w sosie słodko-kwaśnym. Na drugim miejscu plasowało się spaghetti bolognese.

Jak wspaniale może smakować świat – i w sensie dosłownym, i w przenośni – przekonałem się podczas podróży. Najlepszą na świecie kuchnię – etiopską – odkryłem, wędrując po Afryce, ale wcale nie w Etiopii.

Nie wiem, czy przypadła mi tak do gustu, bo byłem bardzo głodny po całym dniu wyprawy, czy może dlatego, że trafiłem na nią po długim czasie jedzenia najczęściej kurczaka z frytkami i sambusas (kenijskich pierożków). Pierwsze wrażenie było dziwne, ale potem – niebo w gębie.

Poza indżerą – dużym kwaśnym naleśnikiem wyrabianym ze sfermentowanego lokalnego zboża, podawanym z różnego rodzaju mięsem i sosami, czyli bazą kuchni etiopskiej – kulinarnym odkryciem Afryki była dla mnie... kaczka po pekińsku. Żeby było ciekawiej, jadłem ją w Ugandzie.

Wspomnienia z Karaibów przywołują z kolei smak świeżo wyciągniętego z morza i ugrillowanego homara. Rewelacja. Być może efekt był dodatkowo tak niesamowity, bo znajdowaliśmy się w fajnym towarzystwie, wyluzowani, a na tę knajpkę przy pięknej plaży – gdzie podawano tylko to, co niemal przed chwilą zostało złowione – trafiliśmy tuż po zacumowaniu katamaranów.

W minione wakacje – jak to często u mnie bywa – spontanicznie (czyli miałem wykupione bilety w obie strony i dzień przed wylotem zabukowałem miejsce na pierwszy nocleg) wybrałem się do Indii. Smakowo ten rejon świata bardzo mi odpowiada. To kuchnia znana w wielu miejscach, w Warszawie również można się nią cieszyć, chociaż potraw z maleńkiej knajpki w Delhi, do której trafiliśmy po całodniowej podróży, nic nie przebije.

Udało mi się dotrzeć w parę ciekawych miejsc na świecie, jednak najbardziej lubię podróże po Polsce. Uwielbiam się wspinać (najwyższym szczytem, na jaki wszedłem, było Kilimandżaro, 5895 m n.p.m.), ale w ostatnich latach szczególnie leżą mi na sercu Tatry. Wybiorę się w nie, jak najszybciej się da. A po dniu wspinaczki może skoczę na grillowany oscypek albo kwaśnicę.

Niesamowite, jak wiele jest jeszcze do odkrycia w naszym kraju. Każdy rejon ma coś innego do zaoferowania. Nie w każdym byłem, więc gdy gdzieś jadę, skręcam z głównych tras. Szukam czegoś, co by mnie zaskoczyło. I chciałbym zobaczyć wszystko, choć przecież się nie da [śmiech]. Ale wciąż jestem tego odkrywania głodny.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Pampuchy, parowańce, parzaki, buchty...

...pod tymi nazwami kryje się regionalny przysmak. Rodzaj pączków, tyle że przygotowywanych na parze i, w zależności od regionu, podawanych z różnymi dodatkami. Do ich zrobienia potrzeba: drożdży, mąki, mleka, trochę roztopionego masła, jajka i po szczypcie cukru oraz soli.

Pełny przepis m.in. na stronach kuchnia.wp.pl



eprasa.pl 1002e58ffc

SŁODKO-SŁONY



Zapach smażonej papryki

ANNA MONICKA

To się zawsze upiecze. Danie jest inspirowane „Ojcem chrzestnym", a konkretnie kulinarnymi popisami żony Vita Andoliniego Carmelli. Don wzbogacił się w czasie prohibicji na handlu alkoholem, zarządzał hazardem, ale jego oficjalnym biznesem była oliwa. Wspaniała, importowana prosto z Włoch. Carmella nie musiała jej sobie żałować, gdy smażyła warzywa, zwłaszcza soczystą paprykę.

Zawsze, gdy czytam tę książkę, mam ochotę na spaghetti z podsmażonymi na oliwie pomidorami, czosnkiem i cebulką (bez klopsików, które tak zachwalał jeden z przyjaciół rodziny Clemenza). Podlane odrobiną białego wina i posypane tartym parmezanem.

Ale ostatnio, gdy kartkowałam „Ojca chrzestnego", poczułam wręcz zapach smażonej papryki, którą Santino porywał matce wprost z patelni. Nakupowałam więc małych kolorowych papryczek, cebuli i porów, duże główki czosnku i wszystko to, po obraniu, ułożyłam na blasze wyłożonej folią (główki czosnku przekrojone w poprzek). W bukiecie warzyw mogą się jeszcze pojawić pomidory lub cukinie albo bakłażany, za którymi akurat nie przepadam, bo za bardzo wciągają tłuszcz. Trzeba polać wszystko oliwą, położyć świeże zioła, najlepiej kilka gałązek rozmarynu, skropić cytryną i posypać gruboziarnistą solą. Wkładamy na pół godziny do piekarnika nagrzanego do 180 stopni. Potem przekładamy warzywa na drugą stronę, posypujemy fetą i kaparkami, skrapiamy octem balsamicznym i znów pieczemy kilkanaście minut. Na tym etapie można dorzucić trochę porządnych czarnych oliwek.

Dom pachnie od podłogi po dach. Warzywa przekładamy do słoja i zalewamy sosem z pieczenia. Oliwa z sokiem, który wypłynął z warzyw, jest tak pyszna, że dokładnie wycieramy ją bułką z blachy. Co dalej? Jeśli zrobisz to danie z rana – masz boskie śniadanie, wystarczy że kupisz bagietkę. Jeśli w południe – obiad, ugotuj tylko makaron albo ryż. Dobrze smakuje też wieczorem, a jeśli coś zostanie – następnego dnia rano będziesz mieć miłą niespodziankę.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM



Podwójne życie kurczaka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czy istnieje szansa, aby na wypieczony kawałek kurczaka na talerzu spojrzeć inaczej niż na porcję mięsa? Tak, jeżeli zrozumie się, jak wielkie znaczenie dla starożytnych miały kury, i to znaczenie wcale nie kulinarne. Prawdziwe, zakorzenione w odległym antyku znaczenie drobiu ściśle łączy się bowiem z obserwacjami dzikich ptaków: orłów, sępów czy kruków.

Jak pisał Pliniusz Starszy, wróżenie czy też poznawanie woli bogów poprzez obserwację lotu ptaków stanowiło w Rzymie sztukę zwaną „auspicjum", praktykowaną przez kapłanów nazywanych augurami. Augurów początkowo było tylko dwóch lub trzech, za Cezara zaś liczebność kolegium augurów wzrosła do 15 osób, wybieranych z najznamienitszych rodów. O znaczeniu i dawności tego zwyczaju świadczy, że wywodzono go od Romulusa. Wszystkie ważne decyzje potężnego Rzymu musiały przejść przez procedurę, w której na podstawie lotu i zachowania ptaków ustalano, czy planowane zamierzenia nie są wbrew woli bogów.

Nie wiadomo dokładnie, jak i kiedy rolę dostojnych orłów, potężnych sępów i wieszczych kruków przejęły kury. Być może kury zostały uznane za bardziej odpowiedzialne i lepiej pojmowały ciążące na nich brzemię. Zapewne trudniej i ryzykowniej było powierzać losy Rzymu ptakom drapieżnym, na których lot mogło mieć wpływ wiele nieprzewidywalnych czynników, niż kurom, których dobry apetyt i łapczywość w jedzeniu ziarna przesądzały o pomyślnym wyniku zapytania.

Być może więc to skłonność do kooperacji zdecydowała, że kury zajęły prestiżowe stanowisko. Niewątpliwie muszą mieć wiele kompetencji interpersonalnych, skoro spośród tylu ptaków występujących na świecie to właśnie one zostały udomowione co najmniej 8 tys. lat temu i utrzymały czołową pozycję do dziś.

A może kury mają w sobie coś więcej, bo chociaż zwykliśmy uważać je za zwierzęta niezbyt bystre i pozbawione cech, które mogłyby predestynować te ptaki do decydowania o losach imperium, nie zapominajmy, że ich przodkiem jest szlachetny, barwny i bojowy kur bankiwa *Gallus gallus*, wciąż dumnie piejący w azjatyckich dżunglach.

Jeżeli dziwimy się Rzymianom, nie zapominajmy, że choć dziś nie wróżymy już z lotu orłów i zachowania kur, to wciąż próbujemy przepowiadać przyszłość z kukania kukułki lub lotu jaskółek.

eprasa.pl 1002e58ffc

Wojciech RESZCZYŃSKI

Duda i kontrkandydaci

Tylko jeden kandydat, urzędujący prezydent Andrzej Duda, otwarcie prezentuje swoje osobiste poglądy, prowadząc bardzo aktywny dialog z narodem. Jego „program" to nie jakieś wymysły, których prezydent nie jest w stanie zrealizować, gdyż jego urząd nie jest od tego, a wiadomo, na czym polega i do kogo należy rządzenie. Jego „program" to w większości konkretne deklaracje, za czym będzie się opowiadał w czasie kolejnej kadencji, a co jego zdaniem nie przejdzie. I o to chodzi w wyborach prezydenckich, żeby kandydat zaprezentował swoje osobiste, szczere poglądy, siłę swojego charakteru, stopień determinacji, swoją wizję Polski, do której chce przekonać rodaków. I to jest wystarczający „program", zważywszy na to, że tylko prezydent wywodzący się z tej samej formacji politycznej co obecny rząd jest w stanie wywiązać się ze swoich obietnic i dopilnować, aby władza wykonawcza nie odchodziła od wspólnej i spójnej wizji reformowania i budowy nowoczesnego państwa. Każdy inny kontrkandydat, wyniesiony jakimś trafem na urząd prezydenta, wniesie do rządzenia jedynie chaos. Opozycja nie ukrywa, że o to właśnie chodzi, aby jakimś cudem zainstalować na urzędzie prezydenta RP swojego kandydata i zablokować dobrą zmianę, tak jak zapowiedział to na jednym z wieców Leszek Balcerowicz: „Zatrzymamy tę dobrą zmianę".

Polska – zdaniem kontrkandydatów Andrzeja Dudy – ma powrócić do roli, jaką w Europie wyznaczyły jej Niemcy i Francja, takiej polityki, którą wspiera Rosja tęskniąca do starego i wypróbowanego „koncertu mocarstw". Ale jeśliby miało do tego dojść, będzie to koncert trzech mocarstw, bo bez Wielkiej Brytanii i USA.

Żaden z kontrkandydatów Andrzeja Dudy nie podnosi geopolitycznego znaczenia coraz większej obecności militarnej USA w Polsce. Widać, że temat ten nie należy do wygodnych dla liberalnej, postkomunistycznej lewicy w Polsce. Tej, która jest mistrzem w medialnej manipulacji, wywodząc swoje umiejętności z wrodzonej przewrotności umysłów i charakterów. Dlatego o tęsknoty proputinowskie oskarża rząd i Zjednoczoną Prawicę, a w Jarosławie Kaczyńskim upatruje komunistycznego dyktatora. Koń by się uśmiał!

Żaden z kontrkandydatów Andrzeja Dudy nie powiedział ani jednego dobrego słowa na temat przekopu Mierzei Wiślanej. Choć to zaledwie dwumiliardowa inwestycja, jej znaczenie jest podobne do obecności wojsk amerykańskich na wschodnich poligonach Polski. Przekop kończy bowiem w polityce Rosji międzynarodowy dyktat w stosunku do Polski, polegający na ograniczeniu naszej suwerenności przemieszczania się po polskich wodach Zatoki Gdańskiej i Zalewu Wiślanego dzięki pominięciu kontrolowanej przez Rosję Cieśniny Piławskiej. Dyktat oburzający, gdyż od czasów „Wolności mórz" Hugona Grotiusa (druga połowa XVI w.) nie tylko on, lecz nawet car Iwan Groźny protestował przeciwko ograniczeniu wolności mórz. W liście do królowej angielskiej Elżbiety pisał: „Jakżeż można przerwać ruch, przejąć i zamknąć drogę Bożą – ocean–morze?".

Przeciwnicy przekopu nie chcą docenić potencjalnych możliwości handlowych Elbląga, który był długo przed Gdańskiem pierwszym portem Rzeczypospolitej, a w późniejszych latach, kiedy stał się pruski, był ważnym ośrodkiem przemysłu. W Elblągu produkowano torpedowce, samochody Komnica, działały zakłady metalowe Neufelda, fabryka cygar Losera & Wolffa, liczne zakłady metalowe, tkackie itd. Po 170 latach Elbląg powrócił do Polski i swój najlepszy okres miał wtedy, gdy stał się stolicą województwa. Elbląg sławiły w świecie zakłady mechaniczne Zamech (ponad 5 tys. pracowników), produkujące śruby napędowe statków. Reformy III RP lat 90. zatrzymały rozwój miasta. Ludność skurczyła się do 120 tys. mieszkańców. Na swój lepszy los czekają też inne miejscowości wokół Zalewu Wiślanego: Hadyny, Tolkmicko, Frombork, Nowa Pasłęka, Krynica Morska, Kąty Rybackie, a także Braniewo.



Żaden z kontrkandydatów Andrzeja Dudy nie pochwalił pomysłu budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Rafał Trzaskowski wiadomo – „po co nam ten port, skoro mamy lotnisko w Berlinie".

Wszystkich kontrkandydatów Andrzeja Dudy (może poza kandydatem Konfederacji) łączy jeszcze jedna idea. Nie podoba się Karta rodziny ogłoszona przez prezydenta. Andrzej Duda zobowiązał się w imieniu państwa chronić polską rodzinę, gdyż – „rodzina to dla mnie podstawowa wartość" – powiedział prezydent. Ta ważna deklaracja to coś więcej niż gwarancja zatrzymania lewicowej tęczowej ideologii spod znaku LGBT i gender, dążącej do zniszczenia rodziny, to droga do utrwalenia takiego porządku prawnego i obyczajowego w Polsce, który będzie sprzyjał rozwojowi społeczno-gospodarczemu i stabilizacji państwa. Karta rodziny, co warto podkreślić, w dużym stopniu nawiązuje do Karty praw rodziny przedłożonej przez Stolicę Apostolską w Rzymie w 1980 r., którą przyjął Sejm RP i ustanowił dzień 22 października Dniem Praw Rodziny.

www.wojciechreszczynski.pl

Sejm ucywilizowany



Jerzy Jachowicz

Z powodu powtarzających się gorszących wydarzeń, do jakich od niedawna dochodzi w polskim Sejmie, prezydium Sejmu postanowiło radykalnie przeciąć nieprzynoszące chluby polskiemu parlamentaryzmowi zachowania posłów. „Stop popularyzacji przemocy!" – to hasło, które doprowadziło do zasadniczych zmian w poruszaniu się po Sejmie, jakie obowiązują od 15 czerwca.

„Panie pośle Nitras, proszę nie dusić pana posła Suskiego! Proszę przestać! Rozejść się, natychmiast! Będziemy filmować. Materiały przekażemy prezydium Sejmu"– w taki mniej więcej sposób w ostatnich kilku tygodniach kilkakrotnie interweniowała Straż Marszałkowska w różnych częściach sejmowych korytarzy. Strażnicy, nie chcąc dopuścić do awantur i bijatyk na terenie Sejmu między zwaśnionymi posłami skonfliktowanych politycznie partii, poprzestawali na ostrzeżeniach. Powstrzymywali się od przysługującego im uprawnienia użycia przymusu bezpośredniego, różnego rodzaju chwytów obezwładniających, np. nelsona albo krawata, gdyż bali się zarzutów o naruszenie immunitetu, który przysługuje okładającym się pięściami politykom. Przebiegli posłowie na miejsce brutalnych porachunków wybierali zaułki i wnęki w częściach, do których nie mieli prawa wstępu dziennikarze. Widać, nie pragnęli rozgłosu. Najbardziej krewcy świadectwo swojego temperamentu politycznego mieli wypisane na pokiereszowanych twarzach, pełnych siniaków i zadrapań. Niestety, liczba karczemnych burd rosła w zatrważającym tempie. Im bliższy stawał się termin wyborów prezydenckich, tym więcej przybywało trudnych do opanowania utarczek.

Aby przerwać proceder i zapobiec jego eskalacji, podzielono wnętrze budynku sejmowego na dwie izolowane od siebie strefy – oficjalnie nazwane „Aleją Relaksu Opozycji" i „Centrum Zjednoczonej Prawicy". Do każdej strefy prowadzą osobne śluzy komunikacyjne, do których posłowie wchodzą przez bramki pilnowane przez Straż Marszałkowską.

Sejmowy Wydział Inżynieryjny pracuje nad konstrukcją izolacji w sali plenarnej.

Przyłączamy się do płynących zewsząd życzeń: „Powodzenia".

CO MNIE WKURZA

Ludzie do wynajęcia



Katarzyna Łaniewska

W czasach mojego dzieciństwa była taka zabawa – komórki do wynajęcia. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z telefonami komórkowymi. Takich wtedy nie było. Komórki to były również składziki na małe szpargały – niepotrzebne, ale może się jeszcze przydadzą. Ta moda minęła. Zabawy naszych czasów też się skończyły.

Teraz jest ostra polityka i też widzę, że są ludzie do wynajęcia. Ci ludzie, o których myślę, dzielą się na ulicę i zagranicę. Ci zagraniczni mają mandat swoich partii, posyłający ich do pracy w instytucjach europejskich, aby występowali w imieniu swojej ojczyzny i dla jej dobra. Ci, których wybrała totalna opozycja – niestety ku zdziwieniu nawet kolegów z innych krajów, dbających o swój interes narodowy, mimo sprzeczności i innego punktu widzenia – starają się mącić, donosić i przeszkadzać tym polskim europosłom, którzy naprawdę wiedzą, po co tam są, i chcą, by nasz kraj mógł się rozwijać jak najlepiej i liczył się w hierarchii krajów europejskich.

Ci zaś, którzy okupują ulice, to często ludzie do wynajęcia. Znajdują się oni zawsze w miejscu protestów, kiedy w czymkolwiek mogą przeszkodzić. Występują przeciwko wszystkim sprawom, które podejmuje rząd, protestują, wymyślają, szkalują i kłamią. Niezależnie od sprawy znajdują się ci sami ludzie i ordynarnie demonstrują. Czasem zmieniają słownictwo, ale nadal pozostaje ono wulgarne. Byle dołożyć, dowalić i dokopać rządowi PiS. Te osoby są rozpoznawalne i jeżdżą po całej Polsce. Dochodzi do paradoksów, że jest demonstracja w sprawie równości kobiet z czarnymi parasolkami, a okrzyki prowodyrów brzmią: „Precz z dominacją kobiet!". Ciekawa jestem, kto i za ile ich wynajmuje. I czym ci Polacy – myślę, że dużo wśród nich katolików – się kierują? Czy tylko pieniędzmi, czy nudą w swoich domach – nie mają co robić, to pójdą i porozrabiają? Czy to jest coś głębszego? Kto ich do tego podnieca, daje pożywkę?

A najsmutniejsze jest to, że tych demonstracji broni polska policja w sposób niezwykle łagodny i taktowny. Odbywa się to tak, że wydaje im się, że wolno policję lżyć i zwymyślać. My, zwykli zjadacze chleba, czekamy na praworządną, ale zdecydowaną formę skończenia ze wsparciem np. z budżetu m.st. Warszawy ludzi z organizacji typu Antifa. Tym ludziom, wskrzeszającym uliczne zamieszki, trzeba wreszcie odciąć finansową kroplówkę.

eprasa.pl 1002e58ffc

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wakacje czasu wojny



Aleksander Nalaskowski

Zbliżają się wakacje. Specyficzne i szczególne, bo po długim okresie nieobecności uczniów i nauczycieli w szkole. Wszystko wskazuje na to, że od września też dzieciaków w szkole nie zobaczymy. Zatem lipiec i sierpień będą miesiącami przerwy pomiędzy nieobecnościami dzieciaków w szkołach. A co z pierwszoklasistami? Jak będzie wyglądała ich szkolna inicjacja? Przecież dla nich to zupełnie nowe i doniosłe przeżycie. Być może oni i rok czy dwa starsi koledzy zaczną lekcje normalnie. Ale tutaj byłoby mnóstwo szczegółów techniczno-sanitarnych do opracowania i korygowania na bieżąco. W wymiarze oświatowym dopiero szkolny wrzesień, a potem akademicki październik pokażą całe niebezpieczeństwo i kataklizm pandemii. Będzie bardzo pod górkę.

Same wakacje będą też trudnym okresem dla organizatorów wszelkich obozów wypoczynkowych, kolonii, rajdów. Wprawdzie są wytyczne, jak można je organizować, ale czy znajdzie się wielu chętnych na odpoczynek wyjazdowy pod specjalnym, reżimowosanitarnym nadzorem? Czy może raczej rodzice, wzmocnieni prezydenckimi pięcioma stówkami na dzieciaka, wybiorą wyjazdy rodzinne, agroturystyczne i inne pozwalające w miarę normalnie żyć i jednocześnie wspólnie odpoczywać?

Należy wspierać wszelkie formy wypoczynku rodzinnego, wspierać z całych sił, bo tylko w rodzinie, wśród najbliższych, jest bezpiecznie

Znam klub jeździecki, który cały rok funkcjonował niemal tylko dzięki temu, co zarobił na kilku wakacyjnych turnusach dla młodzieży. Znam jego infrastrukturę i bazę noclegową. I wiem, jak trudno będzie mu się dostosować do nawet najłagodniejszych obostrzeń wirusowych. Bardzo podobnie jest z rajdami rowerowymi czy pieszymi. Wszak nocowanie, jedzenie często „byle gdzie" to jedna z ich atrakcji. A obozy surwiwalowe? Podobnie. A kolonie letnie z nocowaniem w szkołach zamienionych w bazę noclegową? Tak samo.

Wakacje to będzie prawdziwe wyzwanie. Dlatego należy wspierać wszelkie formy wypoczynku rodzinnego, wspierać z całych sił, bo tylko w rodzinie, wśród najbliższych, jest bezpiecznie. Wierzę w mądrość rodziców, wierzę też w rzetelność rolników oferujących agroturystykę. Bo to tak jak w rodzinie. Ot, jakby kuzynostwo z daleka się zjechało na tydzień czy dwa.

Gdybym był nieco młodszy i zdrowszy, tobym jako wolontariusz zgłosił się do nauczania hipiki w jakiejś agroturystyce. To akurat atrakcja, którą dla dwóch–trzech osób można by całkowicie dostosować do najsurowszych nawet rygorów sanitarnych.

Przypatruję się naszym miastom, nawet już dwukrotnie wybrałem się do popularnego hipermarketu niespożywczego (wiadomo, pierwsza potrzeba wyposzczonego majsterkowicza) i uderza mnie margines beztroski moich współobywateli. W hipermarkecie pan ochroniarz wymaga odkażenia rąk i założenia maseczki. Kto nie ma, musi kupić (7 zł za trzy sztuki). Ale niektórzy kupują, zakładają i po wejściu na salę natychmiast zdejmują. Zupełna nieodpowiedzialność. Zwróciwszy raz uwagę niezamaskowanej niewieście, która akurat kichnęła, zostałem ofuknięty jak sztubak, że to jej sprawa. Ale z odsieczą przyszła mi jakaś zamaskowana nieznajoma, która już w mniej grzecznych słowach zmusiła niesubordynowaną klientkę do zakrycia twarzy. Natomiast na ulicach brak masek zaczyna być powszechny. To rodzimy wskaźnik naszego nierozsądku. Rozumiem odmrażanie gospodarki, ale nie rozumiem zelżenia rygorów maseczkowo-odległościowych. Nie usypiajmy czujności, bo za chwilkę zapłacimy za to podwójnie! I wtedy będzie prawdziwa bieda i zgrzytanie zębów. Z zarazą nie da się negocjować. Jest bezwzględna.

Wojny i wielkie rewolucje zawsze przynosiły śmierć i cierpienie. Dewastowały jakiś fragment świata, moralności. Tak było z rewolucją francuską, bolszewicką, I i II wojną światową. Ale wybuchały one zawsze w stanie pewnego nabrzmienia, gnicia, butwienia świata. Każda wojna i wielka rewolucja zmieniały rzeczywistość, rzeczywistość „po". Bodaj jakiś poeta, ale nie jestem tego pewien, powiedział, że każde pokolenie ma swoją wojnę, która jest końcem czegoś „starego" i początkiem „nowego". Przy czym wcale „nowe" nie musi oznaczać „lepsze". Udało się Europie, do dzisiaj wystraszonej II wojną światową, uratować pokój przez wiele dekad. Ten czas to niesłychany postęp technologiczny, łatwość przeżycia, dostatek. Ale na tym dobru wcale nie wyrosły dorodne owoce, lecz skarłowaciałe dziczki demoralizacji, odrzucenia Boga, urągania prawom natury (widać to najlepiej na przykładzie seksualności). I wybuchła wojna na miarę naszych czasów. Jest krach gospodarczy, są ofiary śmiertelne, jest cierpienie i strach. Zarysowuje się nowy układ sił światowych. Ta wojna jeszcze trwa, jeszcze może przybrać okrutniejsze oblicze i poważnie okaleczyć ludzkość. Prośmy dobrego Boga, aby nam ją jak najszybciej zakończył.

Autopromocja

eprasa.pl 1002e58ffc

PRZEZ ŚWIETLIK

Wolski niepolityczny



Wiktor Świetlik

Wśród miliarda różnych dziwnych podręczników, które co roku produkuje rynek amerykański, jest i taki zatytułowany „Podróżowanie jako akt polityczny" Ricka Stevesa. Na czymże ta polityczność miałaby polegać? Oczywiście, gdyby książkę napisano teraz, byłoby jasne. W końcu, aby sprawnie podróżować po świecie ogarniętym koronazakazami, musielibyśmy sprawdzać systemy graniczne, przekopywać się pod ogrodzeniami, kryć w kontenerowcach między maseczkami albo przekupywać władze.

Ale Steves swoją książkę napisał kilka lat temu, gdy świat przypominał mrowisko, w którym nikt nie mógł usiedzieć spokojnie. Aktem politycznym miało być w dużym przybliżeniu nietraktowanie innych jako bandy dzikusów ze stereotypów. Na przykład Francuzów jako arogantów opychających się bez przerwy ślimakami, Rosjan jako wiecznie pijanych, Irańczyków jako fanatycznych kandydatów na terrorystów. Dodajmy, że Steves to bliski kolega polityczny Hillary Clinton i podróżniczy gwiazdor mediów amerykańskich, które od kilku lat w przypadku Polski... no właśnie. Nie przedstawiają nas jako bandę zdziczałych antysemitów tęskniących za totalitaryzmem, tylko jako jakąś jeszcze straszniejszą bandę antysemitów tęskniących za totalitaryzmem. Jak widać, stereotypy można łamać w dwie strony.

Można też je sobie darować, podobnie na chwilę politykę, i po prostu cieszyć się swoimi podróżami. Czerpać z nich to, co się chce zobaczyć, oglądać świat przez okulary swoich zainteresowań i pasji, a także widzieć w nim własny zmieniający się kraj. Marcin Wolski przez kilkadziesiąt lat naprawdę sporo zjeździł i napisał o tym książkę. Miło odnaleźć miejsca, w których byłem, i te, w których jeszcze nie byłem, ale tak naprawdę Wolskiego lubię z innej przyczyny. Bo pisze, jak jest, czyli jak on to widział. To jego perspektywa, szczera, a nie udawanie. Szczerze pisze, że jadąc w latach 70. czy 80. za granicę jako artysta, był w sytuacji lepszej niż większość Polaków, że czasem oglądał się za dziewczynami, coś mu się bardziej spodobało, a coś mniej.

Jeśli chodzi o teksty podróżnicze, to dziś wielu z nas mogłoby co najwyżej napisać przewodnik w stylu „Podróży dookoła pokoju" osiemnastowiecznego pisarza Xaviera de Maistre'a, który opisał swój areszt domowy. Ewentualnie, z drugiej części: „Nocnej podróży dookoła stołu". Tym milej sięgnąć po Wolskiego.



eprasa.pl 1002e58ffc

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Widmo irracjonalizmu

Czasem proste eksperymenty dają piorunujące efekty

Korzystając ze zdobyczy, jaką są portale społecznościowe, postanowiłem rozszerzyć swoją wiedzę. Jestem warszawiakiem od lat wyobcowanym we własnym mieście, ponieważ rządząca nią Platforma to są ludzie bezwzględni, oni się nie patyczkują. Kiedyś byłem dyrektorem DK Praga, ale za myślozbrodnie przeciwko donaldizmowi tuskizmowi zostałem usunięty ze stanowiska. Poskutkowało to tym, że danie recitalu, nawet z piosenkami o Warszawie, stało się niemożliwe. Dyrektorzy placówek kulturalnych, których przecież znałem, patrzyli mi powłóczyście w oczy, uśmiechali z lekkim zakłopotaniem... „Rozumiesz...". Rozumiałem. Czego miałem nie rozumieć.



Ryszard Makowski

Piszę to dlatego, by podkreślić, że mój stosunek do władz Warszawy jest zupełnie nieobiektywny. Dla mnie idealnie mieszczą się w określeniu prezesa, które tak ostatnio zbulwersowało salę sejmową. Pomyślałem sobie, że może nie dostrzegam osiągnięć magistratu. Zrobiłem prosty wpis w internecie: „Czy ktoś ze zwolenników albo niekoniecznie zwolenników może mi powiedzieć, co @trzaskowski_ zrobił dobrego dla warszawiaków podczas swojej prezydentury? Tylko poważne oferty". I co się okazało? Nikt nie był w stanie napisać nic sensownego. A wiem, że jestem obserwowany przez sporą grupę antypisu. Najczęściej są to sfiksowane ofiary Studia Yayo. Jak trzeba mieć przenicowany rozum, żeby popierać kogoś, kto ma na koncie osiągnięć – zero. Bo co? Taki ładny, europejski? Widmo irracjonalizmu krąży po Warszawie i idzie w kraj. Może nie dojdzie.

eprasa.pl 1002e58ffc

***Michał Korsun prezentuje:* Skąpy Grześ**



Wycinki z przeszłości

Na okładce wydania „Na Szerokim Świecie" z 16 czerwca 1935 r. sympatyczna dziewczyna, ale w środku znajdujemy także „Dwuznaczniki na temat ponury". Rzeczywiście. Oto one:

„O umarłych nie mów nic, chyba tylko dobrze" – zauważył spadkobierca skąpej ciotki-lichwiarki, inkasując zapisany mu przez nią majątek.

„Niech mu ziemia lekką będzie" – wypowiedział sakramentalną formułę grabarz okrętowy, spuszczając do wody zawinięte w całun, z kamieniem u nóg, zwłoki zmarłego w czasie podróży pasażera.

„Umarli szybko jadą" – zacytował słowa poety woźnica żałobny, zacinając konie karawanu.

„Przyzwyczajenie jest drugą naturą" – pocieszał przyjaciel wdowę, która biadała, że mąż jej umarł nagle i nieprzygotowany.



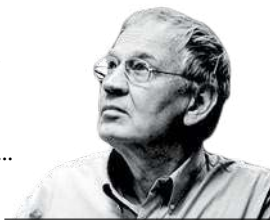
„Kto milczy, ten się zgadza" – zauważył grabarz, zasypując niedbale trumnę z nieboszczykiem.

„Działam zawsze szybko, zwłoki pozostawiam innym" – oświadczył chirurg, dokonując pośpiesznie kolejnej beznadziejnej operacji.

„Dziękuję, gram tylko na zwłoki" – powiedział właściciel dobrze idącego zakładu pogrzebowego, gdy mu zaproponowano założenie kasyna gry.

(mk)

Sobie samemu na urodziny



Leszek Długosz

Właśnie obszedłem swoje urodziny
Przyznam, że zręcznie mi to poszło
Nawet z wprawą

Zamigotało szkiełko słodko-gorzkie
– To już tradycja
– I chłód i gorąc
I pod powieką błoga mgiełka naraz...

Obszedłem... a to jest, kładką
Nad przepaścią
Przemknąłem może właśnie?
Nie zahaczając o horyzont
Czeluści nieświadomy z każdej strony
– Nie przywołując znikąd żadnego imienia...
Tej lekcji pomny:
– Nie patrz tak prosto w światło
Trzymaj kierunek
Pilnuj krawędzi szosy
Kiedy mijasz...
(Ja, ty, wy, oni...)
– Sposób wciąż przydatny
Margines ten ochronny...
Kiedy mijasz
– I postać świata gdy przemija...
Z drobiną każdą
W ułamku wszelkiej chwili
W nieustającej koniugacji – transformacji...
(Ja, ty, wy, oni)
– I pierwszy lepszy kiedy... I ostatni
Obchodząc ledwie, gdy odchodzi...

Właśnie obszedłem urodziny
Przyznam, że poszło mi to nawet zręcznie
Daleka wszak już data, wypracowany dystans
– Z wprawą zadrżała piosnka
Słodko-piołunowa
Ach Boże, ludzie, dolo niewydolna
Nieudolna...
Boli? –
Są przecież na to jakieś środki?
– Ironii manewr zręczny?
– Pomocna sztuka słowa?
(Margines, triki i sposoby)
W sumie to jeszcze jakoś
Jakoś to jeszcze się obchodzi...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**243** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 1002e58ffc



OD A DO ZYBERTOWICZ

Edukacja w czasach zarazy

Umysł młodego człowieka, a zwłaszcza wykuwanie jego charakteru, wymaga środowiska sprzyjającego wymianie idei, jakie mogą dać tylko spotkania z drugim człowiekiem

Podstawówki nie lubiłam. Liceum też nie. Nie chodzi o to, że nie szła mi nauka. Nie mam też traumatycznych wspomnień. Nie chodzi nawet o jakieś skonkretyzowane, niesympatyczne relacje międzyludzkie, chociaż przecież bywało, że ktoś nie przepadał za mną, a ja za nim. Ale prawda jest taka, że jak pomyślę „szkoła", to pierwsze skojarzenia są zdecydowanie negatywne. Za to wyraźnie rysuje się przy okazji wspomnienie rokrocznej tęsknoty za wakacjami. Od wielu lat wspomnienie to odżywa za sprawą syna, który wakacji wyczekuje podobnie jak ja (niczym więźniowie końca odsiadki).

KORONAFERIE?

Gdy na początku marca tego roku Ministerstwo Edukacji zamknęło szkoły w związku z pandemią, to w klasie licealnej syna ponoć wybuchła euforia. Dzieciaki cieszyły się, że mają niespodziewane koronaferie... Radość nie trwała zbyt długo, bo rozpoczęło się zdalne nauczanie.

Sytuację globalnej pandemii wielu ekspertów porównuje do stanu wojny, zwłaszcza w kontekście czasowego zamrożenia społeczeństw oraz przemodelowania relacji międzyludzkich i w pracy, i w domu. Reorientacja nastąpiła także w edukacji.

Nauczanie nawet w czasie II wojny było kontynuowane. A jednak fizyczne zamknięcie szkół niemal na cały semestr postawiło uczniów, nauczycieli i rodziców w sytuacji bez precedensu. Uczniowie ze szkolnych klas i korytarzy przenieśli się przed ekrany komputerów, smartfonów i telewizorów.

Wielu z rodziców uświadomiło sobie, jak ważna jest nie tylko techniczna orientacja w nowoczesnych narzędziach komunikacyjnych, lecz przede wszystkim równy dostęp do wiedzy, który zapewnić może tylko państwo.

TELEWIZJA TEŻ UCZY

Niektórzy krzywią się, że TVP to paździerz. Nie ma co udawać, że elementów paździerza nie widać, ale czy nie brakuje go i w innej, prywatnej, telewizji?

Telewizję oglądam rzadko. Jeśli już, to wybieram głównie programy TVP Kultura czy TVP Historia. Pamiętam, gdy TVP Kultura transmitowała ostatni konkurs chopinowski, to telewizor w mieszkaniu „chodził" niemal na okrągło. Normalnie to się mi nie zdarza. Bardzo lubię także Teatr Telewizji.

Brutalna polityka w czasie pandemii mocno przysłoniła jaśniejsze oblicze polskiej telewizji. Ilu z nas zwróciło uwagę, że wszędzie tam, gdzie dostęp do edukacji był z jakichś powodów utrudniony, z pomocą przyszła TVP. Żadne inne medium w Polsce nie przygotowało tak szerokiej gamy propozycji uczniowskich – to np. „Szkoła z TVP", „Repetytorium maturzysty", „Wesoła nauka", „Wielkie dzieła małych rąk" oraz wiele innych programów dostępnych również na VOD.

Media publiczne to nie jest tylko polityka na okrągło. Pewnie część rodziców, a może i nauczycieli z powodu niechęci do obecnej władzy i wszystkiego, co się z nią kojarzy, nawet nie zerknęło na telewizyjne programy edukacyjne.

ŻYWY NAUCZYCIEL KONIECZNY

Upragnione wakacje lada moment. Wreszcie! A jednak coś jest inaczej. Nietypowe przekazanie świadectw? Niedosyt z powodu gorszych ocen, bo przecież nie wszystkie dzieci poradziły sobie z nietypowym zdalnym uczestniczeniem w lekcjach?

Edukacja i wychowanie to nie są te sfery życia człowieka, które można bez ryzyka poddawać technologicznemu zapośredniczeniu. Umysł młodego człowieka, a zwłaszcza wykuwanie jego charakteru, wymaga żywego kontaktu. Wymaga środowiska sprzyjającego wymianie idei, jakie mogą dać tylko ożywione, nawet konfrontacyjne spotkania z drugim człowiekiem.

Oczywiście możemy się zżymać na to, że w rzeczywistości szkoła tak pięknie nie wygląda. Że nasz system edukacji jest mało wydolny, że kładzie nacisk na mechaniczne rozwiązywanie testów, a nie samodzielne wypowiedzi, na odtwarzanie, a nie kreatywne poszukiwania.

Wysławiana pod niebiosa w czasie pandemii technologia jest przydatna. Bez niej zdalnej szkoły by nie było. Ale nawet najlepsze programy edukacyjne, najszybsze łącza internetowe, najsprytniejsze testy nie zwolnią nas z wysiłku pokazania naszym dzieciom tego, jak być dobrym człowiekiem, jak radzić sobie w świecie. Świecie, który tylko czasem udaje, że poddał się naszej kontroli.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 1002e58ffc

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

prezentuje laureatów konkursów



NAJLEPSZY BANK 2020

Poznaj laureatów konkursu w kategoriach

Bank **Komercyjny** i Bank **Spółdzielczy**

Dowiedz się, kto został **Bankowym Menedżerem Roku 2019**

TechnoBiznes 2020

Przeczytaj o zwycięzcach konkursu w kategoriach **Lider** i **HIT**



Szczegóły w lipcowym wydaniu „Gazety Bankowej”

PATRONAT HONOROWY KONKURSU TECHNO BIZNES:

Ministerstwo Cyfryzacji

MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY

Ministerstwo Rozwoju

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju

PARTNER ZŁOTY: ORLEN

PARTNER GŁÓWNY: PZU

PARTNER MERYTORYCZNY: KEARNEY

PARTNER: accenture

2 prezenty dla konsumentów patriotów

22 czerwca w tygodniku SIECI



Naklejka akcji Kupuję, bo polskie

Przyklej i pokaż wszystkim,
że wspierasz polskich producentów!

PARTNER LOTOS

Dodatek specjalny
Jak zostać patriotą gospodarczym?



PARTNERZY

PKP POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE Spółka Akcyjna

TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl 1002e58ffc